ZABAWKI TEATRALNE

NAPISANE

Przez X. Nikodema Muśnickiego

Societatis JESU

TOM I.

Za pozwoleniem Zwierzchności

---

w POŁOCKU

w Drukarni Coll: Societatis JESU.

Roku 1803.

FLAWIUS
KLEMENS
MĘCZENNIK.
TRAGEDIA.

Treść tey Tragedyi wyjęta z dziejow Męczeńskich. Można też onę znaleść w Historyi Kościelney X. Fleury Tom. I. kar: 251, Ma także treść tę Swetonius w życiu Domiciana.

OSOBY

DOMICIANUS Cesarz.
FLAWIUS KLEMENS brat stryjeczny Domiciana.
KRYSPUS) Synowie Klemensa.
MARCELLINUS)
METELLUS) Przyjaciele Klemensa.
EMILIUS)
KOMMODUS Syn Metella.
TRYBUN.
LIKTOROWIE.
ZOŁNIERZE.

Scena w pałacu Cesarskim.

AKT I.

SCENA I.

KLEMENS, METELLUS, EMILIUS.

EMILIUS.

Tu wam, Klemenſie i Metellu, czekać na ſiebie Domicianus każe; tu, ieśli ſię nie mylę, wyrok ſwòy ogłoſić chce, ktòrego z dwuch was ma wybrać, z ktòrymby ſię na rok niniey ſzy konſularnemi miał liktorami dzielić, ktòregoby w tey naypierwſzey po tronie godności miał ſwym towarzyſzem uczynić: O jako ſię cieſzę, że na ktòregokolwiek z was wybor padnie, zawſze na mego przyjaciela padnie.

KLEMENS.

Iako ſię i ja cieſzę, że los taki między mną i Metellem wisi! tym albowiem ſamym los ten już dla mnie rożſtrzyżonym ieſt. W ſobie lub w przyjacielu Konſulem dziś będę. Jedno to dla mnie. Przyjaciel prawdziwy drugą ieſt, że tak rzekę, oſobą naſzą.

METELLUS.

Ròwnie na przyiaźń taką, Klemensie, nie zasługuię twoię, jak na to, abym spòr prowadził z tobą o nayważszą godność. Krew twoia zkoiarzona ścisłą związką z samym Augustem pierwsze ci bez wątpienia naznacza mieysce.

KLEMENS.

Tobie zaś krew starożytna i starożytne imie do oney starożytney godności słusznieysze nadają prawo; a do tego zasługi. Krew i powinowactwo nie sciągają na siebie nadgrod, ściąga zasługa.

EMILIUS.

O jaka dla Emiliusza, spòlnego przyiaciela, radość, że w dwuch osobach jednego do godności kandydata baczy! a to wtenczas, kiedy tak wiele od oney godności zależy. Cesarz postanowiony, jeżeli nie wiecie, komu tego-roczne Konsulowstwa poruczy pęki, tego potomstwo obok przy sobie posadzić na tronie, tego potomstwu naznaczyć panowania następstwo. Twòy dziś Kommodus, Metellu, lub twòy Kryspus, Klemensie,

i twòy

i twòy Marcellinus na państwo dziś świata przeznaczonym zostanie. Wiem to z ust pewnych; cieszcie się.

Klemens.

Potomstwo nasze ròwnie jak nas samych przyjaźń łączy. Kryspus, Marcellinus, Kommodus, ròwne w mym sercu mają mieysce.

Metellus.

Krew Cesarska Cesarskiego naybliższa tronu. Dla Kommoda dosyć, jeżeli z szczęścia przyjacioł swoich cieszyć się będzie mògł.

Emilius.

O przyjaźni za przykład wystawiona być godna! Gdzież przyjaźń ktòraby się nie zachwiała nie co na wzmiankę naywyższey po Cesarzu godnosci! W tych dwuch tylko osobach, mniemam, świat onę widzi, i dawney się wspaniałości i cnocie Rzymskiey odnowioney dziwuie. Tumult wreszcie liktorow słyszę. Cesarz zbliża się, a z nim wespòł tak dla mnie i dla was przyiaciele pożądany moment.

SCE-

SCENA II.

DOMICIANUS, KLEMENS, METELLUS, EMILIUS.

DOMICIANUS.

Dzień pamiętny zaiaśniał Rzymſkiemu Państwu, kiedy nie tylko Konſulow rok ten otrzymać ma, lecz i potomność tronu mego naſtępſtwo. Dziś i towarzyſza ſobie konſularnych pękow, i dziedzica tronu mianować chcę, a te oba wybory razem uczynić. Na was Klemenſie i Metellu obróciłem me oczy. Jednego z was imieniem rok dziſieyſzy w kronikach mianowany będzie. A ktòremu zoſtać towarzyſzem moim w konſulowſtwie zdarzy ſię, tego oraz potomſtwo do dziedzictwa korony tey przypuſzczonym zoſtanie. Tak uchwaliłem, tak poſtanowiłem. Was i waſze domy Klemenſie i Metellu ſzczęście to czeka; lecz ktòre z tych dwuch imion wybierać mam, pròżno ſię namyślam. Obaście doſtoyni ſami, oba doſtoyne potomſtwa macie. Trudny mi w tey mierze wybor. Tym czaſem Państwo Rzymſkie i naywyżſzego

go

go po tronie urzędu ſwego, i naſtępcy mego niecierpliwie wygląda. Wiek mòy nachyla ſię coraz, życie moie codziennym podległe przypadkom, zdradom i ſpiſkom. Niechcę państwa na ſieroctwo narażać, dziedzica wreſzcie mianować chcę. Z was dwuch nie chcę aby ſię ktòry uſkarżał na mię, gdy ſiebie upośledzonym uyrzy. Was ja obieram obu, wy z ſiebie ſami obieraycie jednego. Los między ſobą rzucić macie. Los temu rokowi Konſula, łos tenże ſam, i tymże rzuceniem, potomſtwo Państwu Rzymſkiemu i Domicianowi da.

KLEMENS.

Panie, pozwoliſz-że przemòwić ſłowo?

DOMICIANUS.

Mòw.

KLEMENS.

Jeżeli tylko o to chodzi Ceſarzu, abyś jednego z nas nie zdawał ſię zaſmucać, jako mòwić raczyſz, gdy drugiego obierzeſz, jeśli o to chodzi tylko ſamo, łoſu żadnego nie potrzeba Auguście. Obierz Metella,

jeśli

jeśli raczyſz, a Klemensa nie tylko nie zaſmuci ten wybor, lecz ucieſzy.

Domicianus.

Co ſłyſzę? Maſz-że na to baczność, że nie tylko ſiebie od naywyżſzey po tronie godności uſunąć gotoweś, lecz i twe ſyny od tronu?

Klemens.

Komodus, ſyn Metella, doſtoynym mi ròwnie być zdaie ſię tronu, jak ociec jego pierwſzey po tronie godności.

Domicianus.

Mòwiſz to ſzczerze?

Klemens.

Szczerze Ceſarzu.

Domicianus.

Co tak niezwyczaynego ſentymentu pobudką?

Klemens.

Zaſługi Metella, i rodowitość, Metella i Kommoda godne tych otuch przymioty, w ktòrych dziś zoſtają.

Domicianus.

Patrz, abyś nie żałował. Moment ſię ten zbliża, ktòrego Konſula Państwu i naſtępcę tronowi wydadzą te uſta.

Kle-

Klemens.

Czekam z ochotą Cesarzu.

Domicianus.

Obieray losy: ieszczeć raz te ofiaruję, ieszcze ci onych dozwalam.

Klemens.

Jako każesz Panie; lecz jeśli mojey woli pytasz, ta iest szczera jak nieodmienna równie.

Domicianus.

Więc mianuję na ten rok Konsula, a mianuję tym urzędnikiem ciebie Klemensie; mianuję następcami mey władzy Kryspa i Marcellina twego. Taka twoia wspaniałość, jakąś w tym momencie *okazał, zasługuje na to*. Tymcś dostoynieyszy godności, im mniey się o tę ubiegasz. Metellus cieszyć się bardziey powinien, że podniesionego widzi takiego przyjaciela swego, niż gdyby podniesionego widział samego siebie. Spiesz, oznaym synom twoim, i już oraz moim, wybor mòy, i staw onych przedemną.

Klemens.

Panie! nie wiem iakie są zdolne słowa oświadczyć ci godne dzięki za to,

że

że mię nad takiego przenosisz męża, jakim iest Metellus. Cieszyłbym się wprawdzie bardziey, gdyby ...

Domicianus.

Zaniechay teraz. Kwap, abyś stawił przedemną swe syny, których widzieć niecierpliwość czuię.

Klemens.

Pełnię twoie rozkazy.

SCENA III.

Metellus, Emilius.

Emilius.

Metellu! o jakiego w Klemensie przyjaciela masz! Nie słowy tylko, łecz rzeczą samą, jak cię miłuie, okazał.

Metellus.

Rzeczą samą? przyymując wnet dostoyność, skoro tę ofiarował Cesarz?

Emilius.

Miałże oney odmawiać, z ust ofiarowaney Cesarskich? Miał-że się opierać wyraźnemu wyrokowi Cesarza? Nieznasz-że Domiciana? Nie wiesz, jako gniewy jego równie prędkie,

jak

jak ſtraſzne? Nic wieſz, jako przed nim jedno ſłowo, jedna naydrobnieyſza niebaczność głowę koſztować może? Teyże niebeſpieczeńſtwem godność dla ciebie Klemens kupować miał? Ach przyjacielu! i myślić o tym nie godzi ſię zapewnie! Jak czynił wiele, jak ſzczerze, pòki mògł, widziałeś; daley nie mògł.

Metellus,

Mògł, i będzie mògł, jeśli pewniey życia ſtracić nie chce, niż odmawiając godność.

Emilius.

Przebòg!

Metellus.

Tak Emiliuſzu!

Emilius.

Co w tych oznaczaſz ſłowach!

Metellus.

Chrześcianinem jeſt.

Emilius.

Przebòg!

Metellus.

Pewniem ſię dowiedział. Owoż idź, radź mu, niech mi Konſularney uſtąpi godności, albo go wydam.

Emi-

EMILIUS.

Nieba! z uſt-że Metella te ſłowa ſłyſzę!

METELLUS.

Z uſt Metella.

EMILIUS.

Nie o tymże to Klemenſie mòwiſz, którego przyjaźń z tobą ſławna po całym Rzymie?

METELLUS.

Miła mi jego przyjaźń, lecz milſzy honor. Nie powie Rzym, że Metellus rzuconym przez nogę zoſtał, że nad niego Flawius Klemens przenieſiony ieſt.

EMILIUS.

A przecież Klemens przyjaźń twoję nad tę ſamą, pòki było wolno, przenoſił godność, ktòrę tak ſzacuieſz.

METELLUS.

Niech więc przenoſi do końca.

EMILIUS.

Lecz nie może daley bezpiecznie.

METELLUS.

Niech obiera raczey niebezpieczeńſtwo, niż pewną zgubę.

EMILIUS.

Ach Metellu! takaż nad tobą panuje pycha! taki ambit! ME-

Metellus.

Wyznaję. Smierć mi nad pogardę znośnieyſza. Wyznaję jako przed przyjacielem przyjaciel.

Emilius.

Lecz czy nie oświadczałeś ſię przed momentem na tym mieyſcu ſamym, że konſularney godności bardziey dla przyjaciela, niż dla ſiebie ſamego, żądaſz?

Metellus.

I takżeś proſty, że te zwyczayne dworſkim uſtom wyrazy za ściſłą prawdę i iſtotną poczytaſz?

Emilius.

Dworſkim uſtom, zdrayco! lecz nie uſtom przyjacielſkim! I także cię więc dotąd nie znałem, o chytry, o ambitny, o niegodny przyjaźni prawdziwey Metellu!

Metellus.

Znieważay mię tu jako chceſz ſam na ſam, między temi głuchemi ścianny, łatwiey znioſę; lecz aby Rżym cały, lecz aby świat cały powiedział, że Klemens zoſtał nad Metella przenieſiony, tego nie wytrwam. Jeśli ſprzyjaſz Klemenſowi, ſpieſz kniemu

tym

tym rychley, im ieſzcze zręczniey-ſza pora. Jeſzcze Domician ſwego wyboru nie ogłoſił publicznie, jeſzcze go łatwiey Flawius nakłonić może, aby ſię na zaſługi raczey w wyborze ſwoim, i na dawną rodowitość, niż na krew ſwoję oglądał. Moment ma tylko Klemens do użycia tey rady. Niech idzie do Ceſarza, nim ten wybor ſwòy publicznie ogłoſi, lub ja do niego z donieſieniem pòydę. Jeśli pękow koniecznie konſularnych chce, nie inne te ſobie niech wycinać każe, jedno z cypryſu.

SCENA IV.

EMILIUS.

O zdrayco! Tak ſię więc zawſze kończy niezaſadzona na cnocie przyjaźń! Lecz oby wiadomość, ktòrę zdrayca daie, fałſzywa była! Klemens Chrześcianinem!.. O ſtraſzliwe ſłowo!.. ſtraſzliwe uſzom moim, Domicianowym nieznośne!.. Nie wierzę temu, lecz chociażby i prawda była, ieſzcze bynaymniey nie potrzeba rozpaczać. Doſyć, aby ſię Klemens

mens tego imienia wyparł, dosyć aby od tey religii odstąpił. Naprawi się wszystko. Więcey po nikim prawa nie wyciągają Rzymskie, więcey tym bardziey po Flawiuszu wyciągać Domicianus nie będzie, bo go szacuie i miłuie. Wygra Klemens! a ja szczegulnie ztąd uczuję radość, ze wygra z Metellem; że ten zdrayca w to mieysce rażony zostanie, ktòre ma naydotkliwsze. Co jeżeli się na tey ranie jednak nie zakończy jeszcze? Co jeżeli o fałszywe doniesienie odpowiadać Domicianowi przyydzie, jeśli o włożoną potwarz na miłą onemu osobę? A przyydzie jednak odpowiadać pewnie. Więc możnaż wątpić o zgubie Metella, gdy przed sądem Domiciana stanie? Nie. Umrze. Gotuy Metellu dla siebie, wycinay raczey Metellu dla siebie z smutnego cyprysu pęki! Spieszyć tylko potrzeba, Klemensa znaleść, uwiadomić się o rzeczy, wcześnie wszystko ułożyć.

AKT

AKT II.

SCENA I.

KLEMENS EMILIUS.

KLEMENS.

Otoż więc wreſzcie na ſamotności, jako żądałeś, Emiliuſzu, jeſteśmy. Wynurz mi ſwobodnie, co wynurzyć miałeś. Spieſz jednak, bo wnet tu przybędą ſynowie moi, abym onych do Ceſarza prowadził.

EMILIUS.

Jeżeli prawdziwe ſą o tobie wieści, a jeśli pilnie o ſobie nie radziſz, nie maſz ſię czego do Ceſarza wybierać. Uciekay od niego raczey, jeśli przed panem świata uciec można; kryy ſwą głowę oſtatniemu, w naywyżſzey ſzczęśliwości, niebezpieczeńſtwu podległą.

KLEMENS.

Przebòg! otwieray prędzey.

EMILIUS.

Nie zaſługujeſz w prawdzie na otworzyſtość moję, jako mniey ku mnie otwo-

otworzyſty wzajemnie. Lecz ja twego przykładu naśladować nie chcę. Nieſzczęśliwy! Chrześcianinem jeſteś!

Klemens.

Zkądeś o tym ſłyſzał?

Emilius.

Taić ſię jeſzcze przedemną chceſz? jeſzcze Emiliuſzowi nie ufaſz?

Klemens.

Ufam. Jeſtem.

Emilius.

Jeſteś?

Klemens.

Wyznałem.

Emilius.

Nieſzczęśliwy!

Klemens.

Cóż? wie o tym może Ceſarz?

Emilius.

Wiedzieć za moment będzie.

Klemens.

Jako?

Emilius.

Metellus ma donieść.

Klemens.

Metellus?.. Wie on o tym?

Emilius.

Wie.

Klemens.

Lecz bardziey mię to zadziwia, że mię wydać chce? Nie wierzę!

Emilius.

Wierz, i wierz prędko, bo moment tylko do wierzenia maſz.

Klemens.

Metellus, móy przyjaciel, za świeży, nie naypoſpolitſzy zaiſte, mojey ku ſobie przyjaźni dowod tak mi odwdzięcza? krwi mojey pragnie?

Emilius.

Pragnie pęków konſularnych, choćby krwią zbroczonych twoją.

Klemens.

Jakie mi monſtra zwiaſtujeſz?

Emilius.

Monſtra zaprawdę! Monſtrum jeſt ukryte Metellus! Padalca jadowitego oba chowaliśmy w zanadrzu. Ciebie przeznaczył los, aby tobie pierwſzemu ſwego dał doświadczyć jadu.

Klemens.

Niebioſa!

Emilius.

Nie trać jednak nadziei. Biegnę wnet do Ceſarza, uprzedzam raz; wyznaję dobrowolnie, żeś Chrześcianinem

nem był, lecz że się postrzegasz, że się wyrzekasz imienia tego...

Klemens.

Nie waż się, nie idź!

Emilius.

Czemu? spuść się na mię. Cesarz cię tak miłuje: że mu więcey zapewnie nie trzeba.

Klemens.

Nie idź, mòwię, nie czyń tego; bo próżno to uczynisz.

Emilius.

Nie lepieyże, iż tak uczynię, niż że sam od nieprzyjacioł doniesiony, i spytany od Cesarza, czynić to będziesz musiał.

Klemens.

Nigdy nie uczynię tego.

Emilius.

Nie uczynisz? Rozpaczliwy! więc utracisz Konsularską godność!

Klemens

Wszystko raczey.

Emilius.

I zdasz tę w ręce obmierzłego donosiciela! w ręce zdraycy Metella!

Klemens.

Wszystko raczey.

EMILIUS.

Lecz nie dosyć tego; życie utracisz pospołu.

KLEMENS.

Chętnie.

EMILIUS.

Przebóg! Wszystko zaś to za imię jednego ukrzyżowanego człowieka!

KLEMENS.

Nie bluźń Emiliuszu, lub odstąp! albo ja to uczynię!

EMILIUS.

Więc drugą stronę pozostaje obierac.

KLEMENS.

Mów, jaką. Wszystko pierwiey uczynię, niż to, coś dotąd radził.

EMILIUS.

Jdź do Cesarza, złoż u nóg jego świeżo darowaną ci godność, proś, aby onę na mieyscu twoim Metellowi oddał.

KLEMENS.

Nie dopuszczę się tey podłości. Jako żądałem tego dostojeństwa dla Metella szczerze, dałem tego w samych Metella oczach dosyć niewątpliwy dowod. Uczyniłbym jeszcze teraz nawet,

wet, czego żąda, gdyby żądzy swojey nie popierał groźbami. Miłowałem zawsze Metella, alem się jego nigdy nie lękał, ani się lękam teraz. Pierwiey skłonię głowę pod topor, niż serce ku słabości podłey. Nie troszcz się przyjacielu; umrzeć jest lepiey, niż życie lub wiarołomstwem lub podłością kupować. Gdybym uczynił, co radzi mniey uważnie Emilius, nie zasługiwałbym na przyjaźń Emiliusza samego,

EMILIUS.

Nie chcesz się ty uniżyć dla zachowania siebie, idę ja, abym się dla zachowania ciebie uniżył bardziey, Biegnę do nóg Metella, doświadczę, izali...

KLEMENS.

Przebóg! Co mòwisz Emiliuszu! słowa tak niegodne i ciebie i mnie! Przysięgam, że jeślibyś co podobnego uczynić miał...

EMILIUS.

Cóż więc chcesz, abym Metellowi odniosł?

KLEMENS.

Że, jeśli jego potępiam pychę, nie

prze-

przeto się sam podłości, którey po mnie żąda, ująć jestem zdolny; że nie pierwiey pęki mnie oddane weźmie, jedno moją spryskane krwią.

EMILIUS.

Wcześnie przychodzą synowie twoi. Na tych obracay oczy. Jeśli nie nad sobą, wżdy lituy się nad nimi, których twoja ruina przywali wespół: Ja powracam do Metella, abym leczył w jego sercu, jeśli rzecz można, ambitu ranę.

KLEMENS.

Idź, lecz; tak w tym kroku jednak pomiarkowanie postępuy, aby, gdy dziśiay niegodnym Metella czyni mey przyjaźni pycha, ciebie niegodnym oney nie uczyniła jaka popełniona podłość.

SCENA II.

KLEMENS, KRYSPUS, MARCELLUS.

KRYSPUS.

Oycze! także to rzecz zupełnie pewna, że głowy nasze korona czeka?

KLE-

Klemens.

Teraz wreſzcie zupełnie pewna; tego momentu, gdy przychodzicie, wiadomość o tym od Emiliuſza odebrałem niezawodną. Jakokolwiek rzecz póydzie, głowy waſze, ſynowie, korona czeka; a może to ſzczęście i tę głowę nawet niegodną potka.

Marcellus

Co mówiſz oycze? owſzem ty panować będzieſz, my w purpurze i w koronie nawet podnożkami nóg będziemy twoich.

Kryspus.

Jeśli panować nad światem będziemy, pod tobą panować będziemy, tobie poſłuſznieyſi, niżli świat nam.

Marcellus.

Gardziemy wſzyſtkim tym, co śmiertelne ſerca nęcić i nadymać zwykło, jakoś nas nauczył. Jeżeli weſelſzym okiem na tę poglądamy Fortunę, która dziś ſię nam rodzi, tedy przeto tylko, że krzyża znamię podnieść na naſzych głowach, że obrzydłe bałwochwalſtwo niſzczyć po świecie będziemy zdolni.

Kry-

KRYSPUS.

Ze ſtrumienie świętey Męczeńſkiey krwi zawściągnąć będziemy mogli.

KLEMENS.

Stóycie! Może raczey ſtrumieniom onym dodacie krwi.

KRYSPUS,

Przebóg! jakie ſłowo?

MARCELLUS.

Jaki piorun z tey ciemney ſłów twoich chmury?

KLEMENS.

Nie trwożcie ſię!

KRYSPUS.

Boiſz ſię: aby ſynowie twoi krwi nie *przelewali męczeńſkiey?*

KLEMENS.

Nie boję ſię, lecz raczey wam równie tego, jako ſobie życzę.

MARCELLUS.

Nieba! jako ciemne i niezrozumiane ſłowa?

KRYSPUS.

Zyczyſz, abyśmy przelewali Męczeńſką krew, gdy wſtąpiemy na tron?

KLEMENS.

Tak jeſt; lecz abyście onę przelewali z własnych *żył*, jeżeliście doſtoyni

ſtoyni tego, lub wſtąpiwſzy na tron, lubo na ten nie wſtąpiwſzy.

Marcellus.

Krew twoja w naſzych żyłach płynie, i przeto zawſze do wylania gotowa za religią Krzyża. Lecz czemu teraz o męczeńſtwie wzmiankujeſz, kiedy błyſka tak niezwyczayna nadzieja raczey, że męczeńſkie przeminą czaſy?

Klemens,

Oby! lecz pono raczey...

Kryspus.

Kończ Oycze!

Marcellus.

Ach Oycze! twierdziſz, że tron, że korona, że purpura dla Kryſpa i Marcellina gotowe i pewne, i o Chrześciańſką lękaſz ſię krew?

Klemens.

Tak ſynu, i o waſzę nadto, i o moję własną; jeśli tylko właściwie mówić można, że lękam ſię o to, co jeſt raczey naywyżſzym i naypierwſzym celem Chrześciańſkiey żądzy. Czeka was pewny tron, potwierdzam; lecz w Ceſarſkim pałacu, lub pod ołtarzem: czeka was pewna korona lub Domiciana,

ana, lub Wawrzyńca: czeka was pewna purpura lub z Sydońſkiey wełny, lub z męczeńſkiey krwi.

Kryspus.

Przebóg!

Marcellus.

Nieba!

Klemens.

Trwożycie ſię na wzmiankę taką?

Kryspus.

Odpuść Oycze! Przeto tylko, iż nagła.

Marcellus,

Daruy Oycze ſłabey młodości, i ſłabemu śmiertelności przyrodzeniu! Małą tę trwogę, w jednym wydaną ſłowie, krwią naſzą całą, wytoczoną do kropli, gdy będzie potrzeba, nadgrodziemy. Lecz zkąd niebezpieczeńſtwo? wydał-li kto nas, żeśmy Chrześcianie?

Klemens.

Ma wydać Metellus.

Kryspus.

Nieba!

Marcellus.

Metellus!

Kry-

Kryspus.

Ach zdrayca!

Marcellus

Ach niewdzięczności powtóra!

Klemens.

Hamuycie gniewy! Złorzeczyć nie jeſt rzeczą Chrześciańſkich uſt, lecz raczey ſamym nieprzyjaciołom błogoſławić. Cóż gdy Metellus naſzym nieprzyjacielem nie jeſt, lecz raczey dobroczyńcą naywiększym? Jeżeli wam on Ceſarſką odbiera koronę, tedy miaſto tey daje lepſzą i wyżſzą. Mnie jeśli topory Konſularne wydziera, tedy większa jeſt chwała, i większe ſzczęście, poddać pod one dla Chryſtuſa ſzyję, niż onemi władać.

Kryspus.

Lecz właśnie Metellowego ſyna, Kommoda widziemy. Dozwol nam z nim Oycze pomówić,

Marcellus.

Dozwol Oycze!

Klemens.

Spieſzcie jednak. Ja na was w Ceſarſkich przedpokojach czekam.

SCE-

SCENA III.

KRYSPUS, MARCELLINUS, KOMMODUS.

KOMMODUS.

Kryspie! Marcellinie! w życiu przyjaciele naydrożſi! radość ſtopom moim byſtrych dodała ſkrzydeł, ſkorom ſię o waſzym dowiedział ſzczęściu. Do was biegę, was ſzukam, abym wylał przed wami to weſele moje, które czuję z waſzego... Lecz Przebóg! Gdy ja ſię z ſzczęścia waſzego tak niezmiernie cieſzę, was ſamych ſmutnemi widzę!.. Cóż to? oczy odwracacie ode mnie!.. Kryspie!

KRYSPUS.

Zdrayco!

KOMMODUS.

Marcellinie!

MARCELLINUS.

Wiarołomco!

KOMMODUS.

Ach niebioſa! ach pioruny nie ſłowa! Co was tak ſrogiemi dla Kommoda czyni? w czymem przewinił!.. Ledwie na naywyżſzey władzy ſtajecie

cie ſtopniu, a już takie przedſiębierzecie czoło! a już tak na przyjaciół zapominacie ſwoich!

Kryspus.

Wżdy tyle uczciwości zachoway zdrayco! abyś ſię zdradzonym nie narągał!

Marcellinus.

Odſtąp raczey, albo...

Kommodus.

Lecz przez bogi! o jakim narąganiu mówicie? Nie prawdaż to, że wy dziś na Ceſarſki wſtępujecie tron? że Oyciec wasz konſularne obeymuje pęki?

Kryspus.

Nie prawdaż to, że ty raczey do tronu zmierzaſz po naſzych głowach?

Marcellinus.

Nie prawdaż to, że Oyciec twóy raczey Oyca naſzego ma objąć pęki, oyca naſzego zkropione krwią?

Kommodus.

Co mòwicie?.. Przyſięgam, że nic nie rozumiem! że zgoła tak ſtraſznych waſzych nie poymuję ſłòw! Poprzyſięgam was, mòwcie mi jaśnie.

Kry-

KRYSPUS.

Nie wieſz w rzeczy ſamey?

KOMMODUS.

I tak-że w tym momencie pomieſzania ſwego na całą moję ku ſobie zapominacie przyjaźń? Także mi nie wierzycie!

MARCELLINUS.

Więc nie wieſz, że Chześcianami jeſteśmy?

KOMMODUS.

O piorunie nie ſłowo!.. Wyście Chrześcianami?

KRYSPUS.

Tak jeſt.

KOMMODUS.

Drętwieję cały!

MARCELLINUS.

I tyż o tym nie wierzyſz, o czym wie twóy Oyciec?

KOMMODUS.

Obym nie wiedział nigdy!

KRYSPUS.

Owoż żeśmy Chrześcianami, nas i Oyca naſzego, chce donieść twòy Oyciec.

KOMMODUS.

Mòy oyciec?.. Co ſłyſzę!.. Nie wierzę bynaymniey. MAR-

Marcellinus.

Czekay moment, uwierzyſz, gdy krwią naſzą rynek Rzymſki zbroczony uyrzyſz.

Kommodus.

Gdzie jeſtem!., Coby oyca mego do takiey wiarołomności pobudzić mogło?

Kryspus.

Pobudził ambit, i chęć konſularney godności.

Kommodus.

Jednak nie wierzę jeſzcze. Przyjaciele wybaczcie! wſzakże cokolwiek bądź, dobrey myśli bądźcie. Waſz ten intereresſ moim jeſt właſnym. Ja z wami ocaleję, lub z wami zginę. Jakokolwiek oyciec miłuje konſularną godność, wiem jednak, że bardziey miłuje mnie. Bądźcie dobrey myśli, wnet ſpieſzę do oyca.

Kryspus.

Ach Kommodzie! Kommodzie! ty więc zawſze ku nam tym ſamym jeſteś!

Marcellinus.

Drogi Przyjacielu!

Kry-

KRYSPUS.

Ach jaki nam wſtyd!..

KOMMODUS.

Zaniechaycie proſzę!

MARCELLINUS.

Daruy przez Niebo! drogi Kommodzie!

KOMMODUS.

Ach przeſtańcie proſzę. Przyjaźni mojey jeſzcze w rzeczy i w dziełach nie doświadczyliście, lecz doświadczycie. Idźcie wy do oyca ſwego, abyście go cieſzyli, ja idę do mego.

AKT III.

SCENA I.

METELLUS, KOMMODUS.

METELLUS.

Ciebie ſynu ſzukam właśnie.

KOMMODUS.

Ja też właśnie zmierzam do ciebie oycze.

METELLUS.

Smutny jeſteś? Rozpogodź czoło. Rzeczy ſą w lepſzym ſtanie, niżeli mniemaſz.

KOM-

Kommodus.

Owſzem nigdy nie były w gorſzym.

Metellus.

Myliſz ſię. Pęki z żywego lub umarłego Klemenſa wezmę dziś ręki; tobie żywi lub martwi ſynowie jego uſtąpią do tronu drogi.

Kommodus.

J to właśnie ſmutku mojego przyczyną oycze. Do tegoż przyſzliśmy, że na wzór zbóycow śmiercią ſobie cudzą urzędy kupować mamy? owſzem śmiercią przyjacioł ſamych?

Metellus.

Wieſz już o wſzyſtkim?

Kommodus.

Bodayby przed tą wiadomością śmierć moje była zatknęła uſzy!

Metellus.

Hamuy twe byſtrey młodości ognie! Chwalę twoję do cnoty i wſpaniałości ſkłonność; ale jeſt niewczeſna. Klemens jeſt Chrześcianinem. Prawa go donieść każą, Ceſarzow wola, i bogów honor. Na te imiona pierwſzy wzgląd mieć należy, niż na imię przyjaźni.

Kommodus.

Przebóg oycze! co mówiſz? Ambit w tym kroku jeſt jedynym prawem twoim, Ceſarzem twoim, i bogiem twoim. Rzecz to nazbyt jaſna!

Metellus,

Wyrodku! uſilność bronienia honoru ſwego i ſwojey ſławy ambitem nazywać?

Kommodus.

Ach! ty raczey oycze ambit wyuzdany i wiarołomny intereſem ſławy i honoru mianujeſz!

Metellus.

Ach odrodny ſynu!

Kommodus.

Słuſznie mię tak mianujeſz. Jeſtem odrodny, i chlubię ſię ztąd, że ſię od takich twoich odrodziłem przywar.

Metellus.

Niewdzięczny! niewidziſz-że, iż więcey tym krokiem o tobie niż o ſobie radzę. Mnie tylko w tey ſprawie o doroczną godność, tobie o wieczne nad światem panowanie chodzi.

Kommodus.

Tobie i mnie o wieczną chodzi

hańbę,

hańbę, mnie zaś o smierć, i o zgubę nad to!

Metellus.

Co mówiſz nieſzczęſny! o jakiey zgubie? o jakiey śmierci?

Kommodus.

Przyjaźń moja z ſynami Klemenſa od dziecinnych zabrana lat, wiadoma jeſt ſamemu tobie. Oni zginą wespół z oycem, ja weſpół z nimi.

Metellus.

Niebaczny młodzieńcze! co mòwiſz? Tobie więc przyjaźń dwóch młodzianów obcych większa nad oyca, większa nad Ceſarza, który ſam tobie dziś ſię oycem ſtanie, *większa nad* jego tron, *większa* nad cały świat, nad którym panować maſz?

Kommodus.

Swiat cały niechcę aby dla mnie był kupiony zbrodnią. Ceſarſkiemu tronowi nie chcę też aby takim ſpoſobem taka była wyrządzona zniewaga. Oyca co ſię tycze, umrzeć raczey ze względu tego naybardziey żądam. Umrzeć raczey żądam, niż oyca widzieć takim pokalanego wyſtępkiem.

METELLUS.

Idź, day odpocząć na moment twoim rozhukanym myślom. Zbytnie się zaciekasz. Po chwili, gdy uwagę zbierzesz, inaczey sądzić będziesz.

KOMMODUS.

Nie Oycze. Oby tak twoie przedsięwzięcie odmiennym było, jak moje nieodmiennym jest. Pomniy, że jeśli wydasz Klemensa, wydasz wespół na śmierć i syna. Występków bogowie nie puszczają bez kary. Twemu dzisiay mniemam że w moiey tę śmierci naznaczyli, jeśli mię miłujesz.

SCENA II.

METELLUS.

Coraz więcey ciężaru i boleści przybywa do serca mego. Wstyd i zgryzota szarpały to dotąd, i obrażona przyjaźń; teraz miłość Oycowska łączy się, i bojaźń. Bystry młodzian i ognisty!.. Co jeśli z serca mówi?.. Być zaś to może. W takim razie tron

mu

mu gotując, grob zgotuję. Syna oraz z przyjacielem ſtracę, i razem honor nawet pono, ſzukając honoru, a to wſzyſtko przeto, aby mię w czaſie jednego roku dwunaſtu poprzedzało liktorow, aby na czele publicznych kronik raz imię położone moje. Ach ſerce ſię mi coraz bardziey wzruſza!.. Wygra bez mała Kommodus.. Lecz liktory i oręż widzę. Imperator zbliża ſię. Uſunę ſię. Twarzy mey pomieſzaney ſtawić nie śmiem przed podeyrzliwym Domiciana okiem.

SCENA III.

Domicianus.
potym Metellus.

Metellus z ſmutną ztąd i pomieſzaną uſunął ſię twarzą, gdy mnie ſnać przychodzącego obaczył. Trybunie! wróć Metella, ſtaw go przedemną. Czuć potrzeba, gdzie przeciwko mnie tyle czuje oczu. Dzień dziſieyſzy zwłaſzcza, kiedy tak ważne ſtanowię dzieła, ſzczegulnego baczenia, i ſzczegulney oſtróżności

godny,

godny.. Metellu! jaka przyczyna pomieszania tego, które jaśnie na twey wydaje się twarzy?

Metellus.

Nic Panie! spokoyny jestem.

Domicianus.

Taisz się? Boli cię bez mała, jak widzę, że Konsularna godność mija cię na rok ninieyszy. Niewdzięczny! tak to więc zayrzysz urzędu takiemu przyjacielowi, który tak usilnie tenże sam dla ciebie urząd usiłował zjednać?

Metellus.

Bynaymniey Panie. Nie zayrzę, owszem się cieszę.

Domicianus.

Jakaż twojego pomieszania przyczyna? Mów, bo wiedzieć chcę.

Metellus *na stronie.*

Co pocznę!

Domicianus.

Milczysz? i upornie taisz?

Metellus.

Nazbyt różny jest powod mojego smutku, niżli mniemasz Panie. Miłość raczey, niż żawiść ku Klemensowi jaka, jest smutku mojego przyczyną.

Domi-

DOMICIANUS.

Miłość?

METELLUS.

Litość i bojaźń, Cesarzu, są to dwie pierworodne miłości córy; z tych zaś nieuchronnie rodzi się smutek.

DOMICIANUS.

Litujesz się nad Klemensem? boisz się o Klemensa? co litości i bojaźni zrzódłem?

METELLUS.

Trudno mi to zrzódło otworzyć, mając wzgląd na Klemensa osobę, lecz trudno też taić, mając wzgląd na roskazy twoje.

DOMICIANUS.

Otworz mi wszystko; roskazuję.

METELLUS.

Klemens, Auguście, Chrześcianinem jest.

DOMICIANUS.

Bogowie!.. Coś wymówił?

METELLUS.

Do czego mię swoim przymusiłeś roskazem.

DOMICIANUS.

J tego dowieść jesteś zdolny?

ME-

METELLUS.

Jeśli roſkażeſz Panie.

DOMICIANUS.

Patrz, na kogo padnie potwarz, jeśli ſię ukaże. Dom móy własny i krew moję obwiniaſz właſną.

METELLUS.

Roſkazałeś Panie. Wſzakże potwarzy ſię nie lękay. Wiem, com wymówił.

DOMICIANUS.

Wziąć go pod ſtraż Trybunie! i pilnie na pałacu ſtrzec. Wezwać Emiliuſza do mnie.

SCENA IV.

DOMICIANUS.
potym EMILIUS.

Winien, lub niewinien Klemens, donieſienie gniewa mię ſłuſznie. Czyż albowiem okoliczności nie pokazują jaśnie, że język donoſzący podnieca zawiść? Urząd konſularny po donieſionym objąć chce; ta jawna pobudka. Bodayby wżdy bez świadkow był go wydał! utaiłbym wiadomość moję, bo Klemenſa miłuję; lecz przy całey

mey

mey świcie wyrzekł fatalne imię. Cokolwiek jednak bądź, trzeba o Klemensie radzić. Wcześnie Emilius. Wiesz Emiliuszu? twóy przyjaciel Klemens, a móy krewny, i świeży w Konsulowstwie Kollega, ów nasz spólny Klemens, Chrześcianinem jest!

EMILIUS.

Nieba!

DOMICIANUS.

Tak jest; o to go przynaymniey imię donosi Metellus. Ty idź, i poweźmiy wiadomość. Jeśli prawda, mów imieniem Klemensowi moim, niechay krzyża odstąpi, a żadnych skutkow *doniesienia niech się nie lęka. Co jeżeli pospolitym obyczajem tey sekty*, zaciętym przy oney Klemensa znaydziesz (komuż bowiem nieznajomy sławny Chrześcianow upor) tedy mów mu, niech tajemnie swoich się zabobonow trzyma, a niech tylko publicznie spytany odemnie, zaprzeczy, że Chrześcianinem jest. Jdź, i tę wolę moję Klemensowi oznaym.

EMILIUS.

O Panie! jako i ja i Klemens do-

broć twoję potrafiemy wysławić! Tak łaskawego, tak pełnego dobroci wyroku twego nie wątpię że z wielką chęcią i wdzięcznością dopełni Klemens.

Domicianus.

Zadam go ocalić, żądam tę sprawę zatrzeć, równie przeto że Klemensa miłuję, jako że domu mego i krwi mojey chcę niesławie zapobiedz.

AKT IV.

SCENA I.

Klemens, Emilius.

Emilius.

Ach Klemensie! jako smutny z tobą na tym się rozstałem mieyscu, tak wesoł i szczęśliwy widzę się z tobą! wszystko pomyślniey nad nadzieję poszło.

Klemens.

Metellus zapewnie pohamował zbyteczną swoję do godności chęć?

Emi-

Emilius.

Owſzem dopełnił niecnoty. Z chmury, którą groził, wypadł nareſzcie piorun, lecz ſię na głowę obrócił ſamego. Pod ſtraż od Ceſarza oddany drży nad ſwoim loſem, my ocaleliśmy.

Klemens.

Rzecz mi zaprawdę nader dziwną zwiaſtujeſz. Domicianus ſłyſzy, żem Chrzescianinem, i mię ocala, a grozi donoſicielowi memu? O przechodząca zaprawdę wſzelkie nadzieje pomyślnosci!

Emilius.

Tak jeſt, tak cię Jmperator miłuje. Słuchay, jaki jego względem ciebie wyrok. Oto tego tylko żąda, abyś ſpytany od niego, czy Chrześcianinem jeſteś, uſty ſię tylko zaparł imienia tego, wreſzcie...

Klemens.

Ten wyrok Ceſarza?

Emilius.

Ten.

Klemens.

Uciśniy-że przyjaciela Emiliuſzu! Rozſtaniemy ſię z ſobą wkrótce!

Emi-

Emilius.

Jak to? Co mówiſz? Co nas rozdzielić ma?

Klemens.

Smierć.

Emilius.

Przebóg!

Klemens.

Takiż wyrok nazywaſz pomyślnym?

Emilius.

Czyli i tego uczynić nie możeſz?

Klemens.

Nie.

Emilius.

O nędzny! Nie doſyć-że iż ci Chrześcianinem być dozwala Ceſarz?

Klemens.

Nie doſyć, jeśli tego imienia zapierać ſię potrzeba. J Chrześcianinowi zapierać ſię religii ſwojey nie godzi ſię, i Konſulowi Rzymſkiemu nie przyſtoi kłamać.

Emilius.

Lecz gdy chodzi o życie!

Klemens.

Lepſza śmierć niż wyſtępek.

Emilius.

Dobrze. Więc nie żegnay ſię Klemenſie

menſie zemną; umrzemy razem.

KLEMENS.

Jak to?

EMILIUS.

Uczyniłem pewną Domicianowi nadzieję, że wyrok jego ſpełnić miałeś. Znaſz Domiciana. Wieſz jako ten krok, jako zawod w tey mierze życie mi łatwo koſztować może.

KLEMENS.

Ach! cóś uczynił? na coś mu w tey mierze nadzieje dawał?

EMILIUS.

Obawiaćże ſię mogłem, że tak łatwego warunku dopełnić nie zechceſz?

KLEMENS.

Łatwego? Wżdy znałeś Klemenſa, że kłamać nie umie łatwo?

EMILIUS.

Stało ſię teraz; ty radź o ſwoim i o moim życiu.

KLEMENS.

Uſuńmy ſię nieco. Oto tu Metellus nadchodzi. Twarz moja dla niego być nieznośną zapewnie muſi.

EMILIUS.

Uſuway ſię jako chceſz; ja proſto ztąd iść do Ceſarza muſzę, i odnieść

nieść odpowiedź twoję. Moję i twoję głowę wespół do niego niosę. Masz jeszcze czas!

Klemens.

Ach przyjacielu! nie trap mię próżno! odmienić odpowiedzi nie mogę. Słońce bieg swóy odmieni pierwiey, niż prawego Chrześcianina odmieni się serce.

Emilius.

Nieszczęśliwy Klemensie! nieszczęśliwy Emiliuszu!

SCENA II.

Metellus *pod strażą*, Kommodus.

Kommodus.

Owoż oycze skutek twych niepomiarkowanych chęci. Błyszczą oto nad tobą dobyte żelaza, które tak łatwo pod rządami Domiciana spadaią na szyję. Jednak to jeszcze nie wszystko. Ja, com wyrzekł, wykonam. Umrę z Klemensem, umrę z synami jego. Abyś zaś łatwiey wierzył, oto sposob, którym słowa dotrzymam danego. Chrześcianinem się być ogło-

ogłoſzę, żem Chrześcianin, w obecności Ceſarza zawołam, jeśli Klemenſa nie ratujeſz z tey zguby, w którąś go popchnął.

Metellus,

Oycobóyco! tę oycu w nieſzczęściu zoſtającemu pociechę dajeſz! Jako chceſz, abym ratował Klemenſa, gdy tak daleko poſunięte kroki? zaprzeczyćże mam, com wyrzekł? cofnąć żałobę moję? udać ſię za potwarcę, i głowę moję miaſto Klemenſowey pod topor poddac? To mi radziſz okrutny i nieludzki ſynu!

Kommodus.

To radzę, tak jeſt. To radzę, nie tylko abym ocalił Klemenſa, lecz abym głowę twoję ocalił właſną. Nie doſyć-że jaſno poznajeſz, że Ceſarz z żałoby nie kontent twojey? Nie jaſnymże tego dowodem to ſamo nagie żelazo, które ned twoim świeci ſię karkiem? Cóż więc pozoſtaje, jeżeli nie cofnąć przyczynę nieukontentowania Monarſzego? z niebezpieczeńſtwem to wprawdzie niejakim dla ciebie będzie, nie przeczę; lecz jeśli tego zaniechaſz kroku, wierz mi,

mi, większemu niebezpieczeństwu podlegałz. Uważ też, że jeśli postąpisz, jako radzę, sam się Klemens za tobą wstawi, którego tak Imperator miłuje, jako czujesz; wstawi się też za tobą Emilius, który też nie pośledznie w sercu ma Cesarskim mieysce. Co jeżeli zaś zaniesioney żałoby mścić się nad tobą Pan Rzymu zechce, kto jego zatrzyma gniewy? kto się przyczyni za tobą?

METELLUS.

Ach... Ustąp! day mi do pomyślenia chwilę.

KOMMODUS.

Klemensa, siebie, i Kommoda ocal pospołu oycze!

SCENA III.

METELLUS *pod strażą*.

Rozumnie mówi, przyznaję. Domiciana z żałoby moiey nieukontentowanie jest jawne. Na czele to samym jego wydało sie wyraznie. Ta też straż do mego dodana boku dowodem niewątpliwym. Co uczynię? Cofnęż w rzeczy samey żałobę?...

Stra-

Straszny! straszny krok !... lecz jednak, jako widzę, potrzebny ! . . O w jakie mię ciasnoty nieszczęsna dostoyności wprawiła chciwość! Dwóch utraciłem przyjacioł ! Syn też rospaczą grozi ! Własne życie nawet w niebespieczeństwie widzę, a w niebespieczeństwie grożącym z obu stron , dokądkolwiek pomknę kroki ! Miasto władzy spodziewaney nad konsularnemi topory, kark móy prawie pod toporem liktora Cesarskiego widzę . . . Zewsząd ciasnoty! Bespiecznieyszą jednak drogę obierać potrzeba ; bespiecznieyszą w istocie, lubo na pozor strasznieyszą. Blask toporow Domicianowych postrzegam. Zdam się, jakobym już one na mą szyję podniesione baczył.

SCENA IV.

DOMICIANUS, EMILIUS.

DOMICIANUS *Do Emiliusza.*

Więc staw i winowaycę i donosiciela przedemną. Jeśli niechce niewdzięcznik łaski , niechay surowości doświadczy. Urzędownie rzecz całą

wnet rozſtrzygnąć chcę, wnet ſprawę Klemenſa oſądzić.

EMILIUS.

Pomniy jednak Panie (jeżeli uſta ſługi twemu otworzyć dozwoliſz) pomniy jednak Panie w tym momencie, że naypierwſzą ozdobą tronow łaſkawość jeſt, pomniy na Klemenſa zaſługi, na wierność ku tobie, na cnotę.

DOMICIANUS.

I na wdzięczność, i na hardość, z którą odpycha mą właſną rękę, uſiłującą ratować ſiebie!

EMILIUS.

Panie!

DOMICIANUS.

Idź, dopełniay roſkazu.

SCENA V.

DOMICIANUS.

Jaki hardy umyſł, jakie zuchwałe duchy wpaja ta fatalna ukrzyżowanego ſekta! jaką pogardę wſzyſtkiego, cokolwiek ludzkie ſerca i wabić i przerażać może! Jednego ſłowa wyrzec rozpacznik nie chce, które mu ocala

życie,

życie i godność, które go zasłania od śmierci i mąk!.. Wszystko się przed Domicianem płaszczy, sam się ten jemu rospaczliwy rodzay opiera ludzi!... Zal mi Klemensa, to prawda. Prawą jest podporą mojego tronu. Zasadzkami mi zewsząd otoczonemu, wiernych nade wszystko potrzeba ludzi; a w nim naybezpiecznieyszy wierności znaydowałem filar. Lecz czyli taką hardość, i taki upor, przeciwko samey dobroci mojey okazany zniosę? Nie zniosę! Umrze zuchwały niewdzięcznik! Wcześnie go wespół z oskarżycielem swoim przychodzącego postrzegam.

SCENA VI.

Domicianus, Emilius, Klemens, Metellus.

Domicianus.

Staway Klemensie! obwiniony jesteś. Metellus cię oskarża, iż Chrześcianinem jesteś.

Metellus.

Panie! cofam żałobę moję.

DOMICIANUS. *na ſtronie.*

O Nieba! jako trafia w myśl moję!

EMILIUS *na ſtronie.*

O bogowie!

METELLUS.

Złe mię i fałſzywe wiadomości zawiodły. Omyłony zoſtałem. Odwoływam. Klemens Chrześcianinem nie jeſt. Głowę moję potwarzy winną, twemu Monarcho miłoſierdziu poruczam.

EMILIUS *na ſtronie.*

O dziwna i bogów ſamych ręką uczyniona odmiano!

DOMICIANUS.

Bądź dobrey Metellu myśli. Omyłce twojey przepuſzczm. Ludzką jeſt rzeczą omylić ſię; rzeczą zaś mądrego człowieka, rychło omyłkę poprawić. Klemenſie! cieſzę ſię, iż ta chmura tak groźna, nad twoją zebrana głową, tak ſzczęśliwie rozproſzoną zoſtała.

KLEMENS.

Imperatorze! prawa Chryſtuſowey religii wyjawiać ſię z oną dobrowolnie, i bez przyczyny nie każą; i przeto ſię z tą religią nie wydawa-

łem

łem aż dotąd. Lecz teraz kiedy Metellus jaśnie i urzędownie w moich zaprzecza oczach, żem Chrześcianinem jeſt, ſądzę, że milczeć w takim razie, potwierdzaćby zdanie Metella było, co ſię nie godzi. Oświadczam ſię więc ſam, i wyznaję wyraźnie, żem Chrześcianinem jeſt.

Emilius *na ſtronie*.

O nowy piorunie!

Domicianus *na ſtronie*.

O rozpaczy! *Do Klemenſa*:

Nieſzczęśliwy! rozum ci ſię mieſza! Nie wierzę wyznaniu twemu. Nie wieſz ſam, coś wymówił; bez uwagiś i przytomności powiedział.

Klemens.

Więc powtarzam Panie wyznanie moje. Chrześcianinem jeſtem.

Domicianus.

Szaleńcze! naragaſz ſię?

Klemens.

Czynię, Panie, co czynić mi powinność każe, i prawo naywyżſze, prawo pierwſze nawet nad twoje Ceſarzu wyroki.

Do-

Domicianus.

Wzgląd tylko na ſyny twoje hamuje me uſta, że nie wymawiają w tym momencie ſłowa, któreby twą głowę zdało katu. Trybunie! do więzienia go wtrącić. Po chwili, gdy roſkażę, ſtawić go przedemną poſpołu z ſynami. Tobie Metellu poruczam wykonanie wyroku tego. Ty miey nad tym, com roſkazał, dozor. *Odchodzi Klemens pod ſtrażą i Metellus.*

Ty zaś Emiliuſzu patrzay, abyś uſkutecznił obietnicę, którą mi dałeś. Tyś mi uczynił nadzieję, że tego wyrodka łatwo do mojey woli nakłonić maſz. Takżeś ſwoje obietnicę uiścił? Tak mię zawodziſz? Nauczyſz ſię dziś, jako uważnie Ceſarzom przyrzekać maſz. Albo mi ſwojey obietnicy dopełniſz, albo ſpólny ciebie los z Klemenſem czeka.

Emilius.

Panie....

Domicianus.

Tak będzie. Głową twoją odpowieſz.

AKT

AKT V.

SCENA I.

Klemens *w pętach*, Metellus.

Metellus.

Tu czekać ci Jmperator na ſiebie kazał. Posłałem, aby wnet przybyli ſynowie twoi. Tu ſądzony być maſz. Ubolewam Klemenſie nad tobą, ubolewam, żem nieſzczęścia twego powodem niejakim był, nie bez twey jednak winy właſney. Lepiey było toporow *konſularnych* ſię wyrzec, niż teraz pod one poddawać głowę.

Klemens.

Ja i teraz loſu mego na twóy mieniaćbym nie chciał. Moim zdaniem lepiey poddać pod topory głowę, niż władzę onych kupować wyſtępkiem, i zdradą przyjaźni.

Metellus.

Ządałeś, abym przyjaźń twoję nazbyt cenił drogo.

Klemens.

Hamowanie ſię od zdrady i zawiści krwa-

krwawey to ceną nazywaſz nazbyt drogą?

Metellus.

Bierz język wreſzcie twemu przyzwoitſzy ſtanowi. Patrz, co na ręku dźwigaſz, miaſto konſularney laſki.

Klemens.

Widok tych pętow pychęby raczey wemnie rodził, gdybym miał Metella ſerce. Pęta te ſą dla mnie zadatkiem korony oney, z którą porównana Domicianowa korona mniey jeſt niż dziecinną cacką.

Metellus.

O gdybyś był tak zawſze myślił! gdybyś był zawſze tych dóbr i doſtojeńſtw żądał, które gdzieś wam Chrześcianom po śmierci rozdają, a gdybyś był Rzymſkich pękow i toporow nie tykał; byłbyś ſzczęśliwſzy!

Klemens.

O gdybyś umiał Metellu onych przyſzłych dóbr i doſtojeńſtw żądać! żądałbyś dóbr i doſtojeńſtw ninieyſzych z pomiarkowaniem większym. Lecz Emilius nadchodzi. *na ſtronie*:

Jeśli aby znowu ſtatku doświadczał

czał mego, obcowaćbym wołał z nieprzyjacielem tym, z którym obcuję, ani żeli z przyjacielem owym.

SCENA II.

Klemens, Metellus, Emilius.

Emilius.

Metellu! mam rozkaz od Cesarza, abym z Klemensem osobno mówił. *Metellus ustępuje.*

Klemensie! jakom przepowiadał, tak się stało. Przynoszę głowę moję pod wyrok twóy. Jmperator obietnicy domaga się mojey, którąm mu dał względem ciebie, że łatwo na jego wolą przystać miałeś. Jeślibym ciebie teraz do pomienioney nie nakłonił woli, gardłem mi grozi wespół z tobą. Klemensie! umieray, jeżeliś się tak uporczywie zaciął, lecz za co mię pospołu gubić chcesz? Także m się zasłużył tobie? Taż ma być odpłata mojey ku tobie przyjaźni? Metellus, twóy śmiertelny nieprzyjaciel, względy odzyskiwa Cesarskie, i laskę po tobie pono konsulowską obeymie;

Emi-

Emilius, twóy przyjaciel wierny, krwią przyjaźni ſwojey przypłacić ma! Tegoż ſpokoynie ſłuchaſz? i nie wzruſzaſz ſię?

KLEMENS.

Emiliuſzu! gdybym miał drugą głowę, poświęciłbym tę za ciebie nayChętniey, gdy pierwſzą dla Chryſtuſa kładę; lecz gdy jednę mam tylko, na co mię próżno ſłowy ſwojemi trapiſz, w oſtatnich życia mojego momentach? Mów pierwiey co uczynić mogę, a potym ſię domagay. Zycie moje ſetniebym oddał za życie twoje, lecz ſumnienia nigdy. Chceſz-li mię ſłuchać? chceſz bym ci zachował życie? zachowam, ſłuchay mię jedno. Zachowam ci życie, i życie zachowam ci lepſze; nie to ſkazitelne, które jeżeli nie Domicianus, tedy przyrodzenie odbierze, lecz życie nieznające końca równie jak nieſzczęścia żadnego. Słuchay mojey rady! umieray nie za Klemenſa, lecz za Chryſtusa, a życia nie utraciſz, owſzem życia nabędzieſz lepſzego.

EMILIUS.

Klemenſie! odwołay rozum! powróć do uwagi! a żyymy oba! KLE-

Klemens.

Zyymy, lecz zyciem lepszym, zwłaszcza gdy życia podleyszego nie możemy zachować.

Emilius.

Więc idę, abym wyrok twóy na głowę moję do Cesarza odnosił. Zostań Klemensie! może już cię nie oglądam na wieki. Tey nawet pociechy nie mam, abym cię zwykłemi mógł pożegnać słowy; abym ci mógł wyrzec te słowa: zostań zdrowy! zostań szczęśliwy! Nie mam i tey pociechy; bo nieszczęśliwy zostawuję nieszczęśliwego. Obym przynaymniey *mógł żyć w tobie, w drugiey połowicy mojey, chętnieybym* umierał; lecz umrzemy oba!

Klemens.

Nie Emiliuszu! nie dosyć ci jeszcze Klemens nieszczęśliwym zdaje się, gdy serce jego skargi nad to takiemi trapisz. Co mi nieszczęście rozwodzisz swoje? Mniemasz-że, iż sam onego nie czuję aż nadto?

Emilius.

Mniemam; bo słowy nie skutkiem twierdzisz. Oto odchodzę! potwierdzasz

dzaſz ſwóy wyrok? wyrok na Emiliuſza głowę?

Klemens.

Ach okrutny! dobić mię przed czaſem chceſz?

Emilius.

Mów! ſłowa twego oſtatniego czekam?

Klemens.

Nieba!.. Lecz wcześnie ſynowie oto, aby me ſłabe wſpierali ſerce.

Emilius.

Synow twych wcześnie poſtrzegam. Mało u ciebie ſiły przyjaźni mogą, może więcey miłość oycowſka podoła. Chceſz gubić przyjaciela z ſobą, nie wydzieray wżdy życia tym, którym ono dałeś. Ja idę, jako na śmierć pewną, ty zachoway wżdy ſiebie i ſyny ſwoje, a pozyſkay rozum choć późno. *Odchodzi.*

Klemens.

Chryſte! ty ſam przeciwko takim taranom ſerce wzmacniać człowiecze jeſteś zdolny!

SCE-

SCENA III.

KLEMENS, KRYSPUS,
MARCELLINUS, KOMMODUS.

KRYSPUS.

Przebóg; jaki widok!

MARCELLINUS.

Oyciec w żelazach!

KOMMODUS.

Nieba!

KLEMENS.

Zelazą te dla Chryſtuſa dźwigam. Cieſzcie ſię ſynowie raczey. Wkrótce i z tych więzow, i z więzow uwolniony ciała, lepſzey i wyżſzey doſtąpię godności, niżli owa, którey niepomierną pała Metellus żądzą; wkrótce lepſzy nierównie za Domiciana Pan przyymie mię do pałacu ſwego, uciśnie mię ramiony ſwemi.

KRYSPUS.

Szczęśliwyś oycze!

MARCELLINUS.

Dozwól niech pęta ucałuję twoje.

KOMMODUS.

Przez nieba! tak prędka odmiana! Juz ſię z nieſzczęścia oycowſkiego cieſzycie? KRY-

Kryspus,

O to tylko proſzę oycze! nas nie zoſtawuy.

Marcellinus.

Czemu i na nas nie wkładają kaydan? i myśmy Chrześcianie równie!

Kommodus.

Rospaczni! co mówicie! Pomniycie na kwitnące ſwe lata! i na kwitnące nadzieje! w reſzcie na Kommoda!

Kryspus.

Ach przyjacielu! przyznaję, że jeżeliby co ſerce naſze pod ſłońcem uwięzić mogło, tedy rzeczą tą byłaby przyjaźń twoja!

Marcellinus.

Łatwo świat nam i ſłońce opuścić, Kommoda trudniey!

Kommodus.

Więc nie opuſzczaycie nieczuli! nie naśladuycie oyca! owſzem go ſamego zatrzymuycie w życiu! Przez nieba! Klemenſie! jeśli ſam koniecznie umierać chceſz, wżdy nie zayrzyy życia ſwym ſynom!

Kry-

Kryspus.

Przestań Kommodzie! umrzeć potrzeba!

Marcellinus.

Dozwól, abyśmy moment osobno pomówili z oycem.

Kommodus.

Nie dozwolę przez bogi! Z wzajemną siebie rospaczą na smierć pobudzać chcecie? Tey waszey chęci zamiar! Nie odstąpię, przysięgam! z wami raczey zginę!

Klemens.

O Boże! toż to głos, toż to postępki Metellowego syna! O Kommodzie! nie wiesz, jaką wdzięczność ku tobie serce nasze czuje! i razem jaki wstręt, jaką odrazę!

Kommodus.

Razem wstręt i odrazę?

Klemens.

Tak jest, bo zbytnią i nieuważną miłością swoją ku nam zguby naszey szukasz. Odstąp, zaklinam cię! i pożegnay nas, albo nas od siebie przymusisz uciekać!

Kommodus.

Moment tylko. Nie żądalibyście, aby

aby Kommodus Chryſtuſa wyznał?

KLEMENS.

Ach co ſłyſzę!

KRYSPUS.

O niebioſa!

MARCELLINUS.

O Kommodzie!

KRYSPUS.

O przyjacielu!

KOMMODUS.

Wyzna; wyzna, i czcić go będzie z wami, jeśli wy tylko uſty ſamemi zaprzecie ſię imienia tego dopiero, gdy was ſpyta Ceſarz.

KLEMENS.

Odſtąp niezbożny!

KRYSPUS.

Przeſtań; nie godzi ſię.

MARCELLINUS.

Nie wolno.

KLEMENS.

Synowie! uchodźmy ztąd!

KOMMODUS.

Przebóg! późno! Ceſarz zbliża ſię. Owoż moment, gdzie ſię pożegnam z wami, kiedy miecz nieſzczęśliwe karki waſze w jednym momencie przetnie, a w nieſzczęśliwym ſercu mo-

im

im wieczną uczyni ranę! Klemenſie! Kryſpie! Marcellinie!.. przez niebo i ziemię! przez waſzę ku ſobie wzajemną miłość! przez miłość wreſzcie ku wam nieſzczęśliwego ſerca tego! pomniycie, że oſtatni zbliża ſię moment! oto topory na waſze ukute ſzyje! oto rozgniewane Domiciana czoło, na którym czytam zguby waſzey wyrok!

Kryspus.

Bądź ſpokoyny Kommodzie!

Marcellinus.

Nie w życiu śmiertelnym, przyjacielu, jeſt prawdziwe ſzczęście, nie w końcu onego prawdziwe nieſzczęście.

Klemens.

Lepiey ſię z nami ſtanie, Kommodzie miły, aniżeli mniemaſz.

Kommodus.

O nieba! jako mocny być muſi Bógów, który ſercom śmiertelnym takie nadaje ſiły!

SCENA IV.

DOMICIANUS, EMILIUS, METELLUS, KLEMENS, KRYSPUS, MARCELLINUS, KOMMODUS.

DOMICIANUS.

Wcześnie tu winowaycę znayduję. Klemensie! przystąp. Moment wreszcie przyszedł, kiedy osądzony być masz; kiedy lubo odzyskasz naypierwszą nad światem po Cesarskiey władzę, lubo poddasz głowę pod ten topor, który godność twoję oznaczać miał. Dobroci moiey ku tobie i łaski, znaney po całym Państwie, nie zapominam jeszcze, acz niegodnemu. Cokolwiek słyszałem o twojey winie, cokolwiek wiem, za niesłyszane i niewiadome mam. Jakobym cię raz pierwszy pytał, tak postąpię. Oto w tym momencie z twych własnych ust dekret na ciebie wypadnie. Od tweyże odpowiedzi twóy zależy los. Gotowyś na odpowiedź?

KLEMENS.

Gotowym Panie.

Domicianus.

Jesteś Chrześcianinem?

Klemens.

Jestem Cesarzu.

Emilius.

Ach!

Kommodus.

Ach!

Domicianus.

Osądziłeś siebie tym słowem. Już winieneś śmierci. Abyś znał jednak zbytek mojey ku sobie łaski, jeszcze głowę twoję na moment w twoim zostawuję ręku, jeszcze całość sobie z ust swoich urodzić możesz. Wyrzecz się *ukrzyżowanego słowem* jednym, a panuy *nad światem z Domicianem* i synami swemi.

Klemens.

Nie godzi się. Jeżelim był wierny zawsze ku tobie Cesarzu, będę wiernym zapewnie i ku Bogu memu.

Domicianus.

Lecz co ci ta wierność pomoże, gdy dzisiay umrzesz?

Klemens.

Owszem w śmierci, Panie, naywiększa Chrześcianow nadzieja. Gdy u-

mrzemy ſłońcu, w ten czas zyć lepſzey zaczniemy światłości.

Domicianus.

Patrz niewdzięczniku! jak ſię daleko moja ku tobie poſuwa dobroć. Jeſzcze na moment twóy zawieſzam wyrok. Kryſpie, Marcellinie, upadniycie na kolana przed oycem, proście niech nie ginie, niech was nie oſieraca, niech dzień naywyżſzey ſzczęśliwości waſzey nie czyni dniem grubey żałoby waſzey.

Kryspus *przyklękając przed oycem*:

Oycze!

Marcellinus *toż czyniąc*:

Oycze!

Kommodus.

Ach niebioſa! odżyłem!

Kryspus.

Trway oycze, zaklinam! w tak chwalebnym ſtatku ſwoim!

Kommodus.

Co ſłyſzę!

Marcellinus.

Nie przeſtaway tak piękny dawać przykład Domiciana dworowi!

Emilius.

Ach nieba! Do-

Domicianus.

O zdraycy! o zuchwałości bezprzykładna! Czy i wy przykładem oyca wyznajecie Chryſtuſa?

Kryspus.

Wyznajemy Panie.

Marcellinus.

Wyznajemy Ceſarzu.

Kommodus.

O nieſzczęsliwi!

Domicianus.

I wolicie więc z oycem ginąć, niż z Domicianem panować?

Kryspus.

Daruy, że wolemy raczey z Panem nieba i ziemi panować; aniżeli z tobą.

Domicianus.

J ty też Marcellinie tak myśliſz?

Marcellinus

Tak Monarcho!

Domicianus.

Niewdzięczni! niebaczney młodości jeſzcze wybaczam waſzey. Jam dziś ſam zoſtał oycem waſzym, gdym was ſobie do dziedzictwa wybrał. Wolicie iść za oycem Klemenſem, czy za oycem Domicianem?

Kry-

Kryspus.

Jeśli Chryſtuſa odſtąpić każeſz, iść za Klemenſem wolemy.

Domicianus.

Za Klemenſem na śmierć? czy za Domicianem na tron?

Marcellinus.

Jeśli krzyżem gardzić koniecznie każeſz, iść raczey, Ceſarzu, wolemy na śmierć.

Domicianus.

Więc idźcie wreſzcie! Ach nazbyt długo przewlokłem wyrok! Trybunie! prowadź zbrodnie, oyca i ſynow podday pod topor głowy!

Klemens.

Dzięki ci Chryſte wieczne! Dzięki tobie też Ceſarzu ſzczere! Pożądańſzego dla nas wyroku nie mogłeś wydać.

Kryspus.

Zyy długo Ceſarzu! za tak ſzczęśliwy dla nas wyrok!

Marcellinus.

Zyy naſze, Jmperatorze, lata, które nam odeymujeſz!

SCE-

SCENA V.

Domicianus, Emilius, Metellus, Kommodus.

Domicianus.

Gdzie jeſtem?.. Głowę mi prawie zadumienie zawraca!.. Tak ſię ochoczo ci ludzie na śmierć kwapią! taką wdzięczność okazują za wyrok oney!.. Nieba! ludzież to ſą, czy wyżſze jakie nad ludzkość umyſły?

Emilius.

Panie takiemi ſłowami ſam mi otwieraſz do śmiałości drogę. *upadając na kolana*: Monarcho!.. miłoſierdzie! Daruy *Klemenſowi*, lub potęp Emiliuſza poſpołu!

Domicianus.

Powſtań.

Kommodus *upadając na kolana*:

Panie!.. miłoſierdzie! Przepuść Klemenſa ſynom, lub potęp i Kommoda razem!

Domicianus.

Powſtań. Ty zaś, Metellu, co radziſz?

Metellus.

Ja, jeśli głoſu przyjaźni ſłuchać mam

mam, tedy ta jeſt i moja proźba, która tych. Lecz jeśli na honor twòy obracam oczy, jeśli na honor też bogów, i Rzymſkiego prawa, tedy zdanie jeſt moje, aby żyli, lecz aby ofiarowali bogom.

EMILIUS.

Nieba! Trybun powraca! już być po czaſie muſi!

SCENA VI.

Ci ſami i Trybun.

TRYBUN.

Wykonany twóy Ceſarzu wyrok nad Klemenſem, i ſynami jego.

DOMICIANUS.

Już?

TRYBUN.

Nie żyją.

EMILIUS.

O piorunie okrutny!

KOMMODUS.

O Kommodzie nieſzczęśliwy!

TRYBUN.

Klemens mię, Ceſarzu, proſił, abym za oſtatni teſtament ſłowa jego donioſł do uſzu twoich.

Do-

Domicianus.

Mów.

Trybun.

Prosi cię Panie, abyś Metella na mieyscu jego uczynił Konsulem.

Domicianus.

Metella? Mylisz się!

Trybun.

Metella Panie.

Domicianus.

O nieba! widzieliściež kiedy między samemi bogami takiey przykład cnoty!.. Lecz synowi pierwiey Metella nadgrodzić przystoi, anizeli oycu, bo ten bardziey nad oyca Klemensowi sprzyjał. *Kommodzie! ciebie na mieyscu twych przjacioł* mianuję dziedzicem moim.

Kommodus.

Ach Cesarzu! po zbytnim smutku jaką zbytnią radością, tak nagle...

Domicianus.

Przestań teraz. Spiesz tego momentu do Kapitolium co nayrychley: każ, aby gotowano ofiary.

Kommodus.

Pełnię skwapliwie roskaz. Potym me serce wdzięczności pełne u nóg wyleję twoich. *SCE-*

SCENA VII.

Ci ſami krom Kommoda.

Domicianus.

Ciebie Emiliuſzu na mieyſcu przyjaciela twego mianuję Konſulem.

Metellus *na ſtronie.*

Ach co ſłyſzę!

Domicianus.

Ty zaś, niewdzięczny Metellu ku tak cnotliwemu przyjacielowi twemu, idź natychmiaſt, i za krew jego wyley ſwoję krew. Trybunie! uciąć Metellowi głowę. Ty Emiliuſzu idź za mną, abyśmy pocieſzyli ſyna, który lepſzego jeſt godzien oyca.

Metellus.

O Metellu! o Klemenſie! o ſynu móy! który nie wieſz że ginę! o pycho! i ambicie nieſzczęſny! który mię gubiſz poſpołu, i przyjaciela tak lepſzego ode mnie!

KONIEC.

PRZYJACIEL
WSZYSTKICH i NICZYY.
KOMEDYA.

OSOBY

KLOEN) Bracia.
KLEANT)
ROBERT)Przyjaciele wzajemni, i pomienionych Braci.
DORANT)
LELIUSZ, Przyjaciel wſzystkich i niczyy.

AKT I.

SCENA I.

ROBERT, DORANT.

DORANT.

Nie inaczey Mospanie Robercie! Mówię to WMPanu, jako jego prawdziwy przyjaciel. WMPan kiedy chcesz być tak surowym Filozofem, to idź chyba na pustynię; bo na świecie, zwłaszcza teraźnieyszym, mieysca zapewnie nie znaydziesz, a szczegulnie w tym domu, w którym mamy się jednak bardzo dobrze. Panowie onego są to dwa młode paniątka. *I jako panow, i jako młodych* powinniśmy ich przyjaciele szczegulnie menażować; bo równie Pańſki stan, jak młody wiek szczegulnie się zwykł obrażać prawdą.

ROBERT.

Jest-że jednak co droższego na świecie nad prawdę? jest-że co rzadszego a szczegulnie względem panow, którym tak rzadko kto się odważy powiedzieć prawdę? Jest-że wreszcie

nad

nad prawdę pierwſzy obowiązek przyjaciela? Nie mieliby mię raczey ci Panowie za ten móy przymiot naybardziey ſzacować?

DORANT.

O co WMPanu chodzi, kiedy oni ſami WMPana od tego obowiązku uwalniają? WMPan rozumieſz że z Filozofami maſz ſprawę? To ſą młode panięta, które myślą o ſtrojach, o pſach, o koniach, i o podobnych teraznieyſzey poſpolitey młodzieży cackach, nie o naukach, nie o Filozofii.

ROBERT.

Darmo móy Dorancie, jeżeli prawda zgoła w tym domu nie może mieć mieyſca, tedy ani ja.

DORANT.

Nie mówię, aby prawda mieyſca tu nie miała mieć zgoła, ale że to lekarſtwo takim panom trzeba przyprawować bardzo oſtróżnie i zręcznie.

ROBERT.

Alboż ja tak nieoſtróżny jeſtem i tak gruby z moim prawdomówſtwem? owſzem uczę ſię coraz bardziey milczeć i dyſsymulować; co większa, uczę

czę ſię nawet ile możności mojey, tym paniętom potakiwać; a jednak próżno, widzę, że coraz mniey mam u nich łaſki.

DORANT.

Bo WMPan tak milczyſz, że ſamo milczenie WMPana wydaje to nieukontentowanie; milczenie czaſem bywa wymównieyſze nad ſamę wymowę; a częſto w ſwoim milczeniu nie wſtrzymujeſz ſię WMPan od niektórych wyraźnych znakow ſwego nieukontentowania. Kiedy zaś naſzym paniczom potakujeſz, to czyniſz tak ozięble, tak krótko, że...

ROBERT.

Chceſz tedy WMPan, żebym wyraźnie pochlebiał?.. Nie umiem.

DORANT.

Wcześnie Pana Leliuſza poſtrzegam nie daleko tu przechadzajęcego ſię, abym go WMPanu za przykład poſtawił. Ja chciałbym, że tak rzekę, żebyś ſię WMPan od niego trochę pochlebſtwa nauczył: ale trochę, nie wiele. Broń Boże, abyś miał być pochlebcą takim jak on!

Ro-

ROBERT.

WMPan Pana Leliuſza pochlebcą nazywaſz? za co? Jeżeli chwali ſpoſob myślenia i życia tych ludzi, którym ſię ja mam nieſzczęście nie podobać, znać, że ſię jemu ten ſposob podoba.

DORANT.

Tak, chwali Kleona przed Kleonem, a Kleanta przed Kleantem: gani zaś Kleona przed Kleantem, a Kleanta przed Kleonem, i ſzydzi z obu na ſtronie.

ROBERT.

WMPan krzywdę razem czyniſz i Leliuſzowi i mnie; bo to móy przyjaciel!

DORANT.

Och! on jeſt przyjaciel wſzyſtkich, i niczyy! a kiedy jeſt czyim prawdziwym przyjacielem, tedy tylko ſwoim. On ſię czyni i przyjacielem moim, ale znam ja tego panicza!

ROBERT.

Co ſię zaś tycze mojey z tym kawalerem przyjaźni, ja nic jeſzcze tey przeciwnego nie doświadczyłem.

DO-

DORANT.

Strzeż się więc WMPan, bo kiedy doświadczysz, może być późno. Ludzi takiego rodzaju, jakim jesteś WMPan, pospolity to jest obyczay, tak sądzić o drugich jak o sobie. Bo do ich szlachetnego umysłu wstąpić to nawet nie może, aby mieli bywać na świecie ludzie tak podłego gatunku, jak bywają.

ROBERT.

Cicho WMPan! Oto Pan Leliusz nas postrzegł, i tu nadchodzi.

SCENA II.

LELIUSZ, ROBERT, DORANT.

LELIUSZ.

Ach dobrze, że WMPanow postrzegłem! Uciekaycie WMPanowie!

DORANT.

Czemu?

LELIUSZ.

Ja wreszcie uciekłem, ale nasi kawalerowie jak z wozowni powrócą, przyydą tu zapewnie znowu do nas na sądy.

ROBERT.

Jacy kawalerowie?

LELIUSZ.

Nasze *par nobile fratrum* Pan Kleon i Kleant. Powadzili się w wozowni o swoje karety, jako zwykli; każdy swoję karetę nad drugiego karetę przenosi. Ja dziwnję się, że oni z sobą nigdy zgodzić się nie mogą, kiedy nie tylko są braćmi, ale i jednostaynego trzymają się sposobu życia. Oba się zabawiają cackami, ale się o swe cacki zawsze wadzą jak dzieci, i gust ich we wszystkim zawsze różny.

ROBERT.

Są to godni Panowie, i przyrodzenia bardzo dobrego; ale ci winni, którzy im nie dali dobrego wychowania.

DORANT.

A do tego są bardzo jeszcze młodzi. Jak trochę więcey pożyją, porzucą cacki: a jak też się dobrami podzielą, i jak każdy osóbno osiądzie, to też zgodnie z sobą żyć będą.

ROBERT.

Tym czasem im szczerze sprzyjać powinniśmy, gdy nas przy sobie wszystkich

ſtkich czeſtują nie tylko jako przyjacioł, lecz jako braci.

LELIUSZ.

Prawda, ale kiedy jednak mam prawdę powiedzieć, jako człowiek ſzczery, to mnie z nimi konwerſacya nudna, i ja w nich nie upatruję przymiotow prawdziwych doſkonałey przyjaźni. Jeżeli ſię mam ſzczerze przyznać, tedy WMPanowie jeſteście mojemi naymilſzemi w życiu przyjaciołami, i z WMPanami mnie obcować naymiley Owa ſkromność, owa powaga, owa nauka, owa ſzczerość w zdaniu, owa...

DORANT.

Ach zaprzeſtań nas WMPan chwalić! Raczey bądź naſzym przyjacielem rzeczą ſamą, niż ſłowami.

LELIUSZ.

Alboż WMPan o rzeczywiſtości mojey przyjaźni powątpiwaſz?

DORANT.

Nie; ja tylko mówię że...

LELIUSZ.

WMPanowie niedziwuycie ſię, że ja lekkości naſzych Panow młodych często przez grzeczność pobłażam.

L2 Cóż

Cóż robić? na czyim wozku, jak mówią, jedziemy, temu śpiewamy i piosnkę. W rzeczy zaś samey ja jestem o nich tego zdania, co i WMPanowie, że są jednym słowem czyści trzpioci.

ROBERT.

Przepraszam WMPana, my się do tego zdania nie przyznajemy.

DORANT.

Uymiy lepiey *WMPan* z naszych pochwał, które nam świeżo tak *hoy*nie szafowałeś, bylebyś razem ujął i z nagany tych osob, którym tak wiele winniśmy.

LELIUSZ.

Ale to mówiąc między nami; wszakże ja... Ale ja mówiłem, że oni tu zaraz nadeyść muszą. Otoż idą! zapewnie na sądy o karety.

DORANT.

Można takie bagatele im wyświadczać, i takie sądy dla nich odbywać, doświadczając od nich takich łask i takiey przyjaźni, jakiey doświadczamy.

SCE-

SCENA III.

Ci sami, KLEON, KLEANT.

KLEON.

Mościpanowie proszę o zdanie! Móy brat uprządł sobie koniecznie w głowie, że żółty lakier na karetach naylepszy.

KLEANT.

Zapewnie naylepszy.

LELIUSZ *do Kleona sekretnie*.

Co się WMPan z bratem swoim sprzeczasz? on żadnego gustu nie ma!

KLEON.

A ja jestem pewien, że wszyscy będą za lakierem czerwonym.

KLEANT.

A ja jestem pewien, że będą za żółtym.

LELIUSZ *do Kleanta*.

Ale co się WMPan z swoim bratem sprzeczasz; kiedy on nie ma żadnego gustu?

KLEON.

WMPana jest taka dzisieysza prawda, jaka była wczoraysza, kiedy utrzymywałeś, że gustownieysze są trzewiki z

nosa-

nosami prostemi niż z zadartemi.

LELIUSZ *do Kleona*.

Tak właśnie.

KLEANT.

A WMPana taka dzisieysza prawda, jaka była onegdaysza, kiedy twierdziłeś, że lepiey się wydają sprzążki okrągłe, niż czworograniaste.

LELIUSZ *do Kleanta*.

Właśnie i ja to myśliłem.

KLEANT.

WMPan zaś Mospanie Robercie ściskasz ramionami? Zapewnie się te WMPanu nasze rozmowy niepodobają, jako bywać zwykło. WMPan nie lubisz słuchać, jak tylko o gwiazdach, albo...

ROBERT.

Bynaymniey, ja chętnie słucham.

KLEANT.

Cóż się więc WMPanu o naszych karetach zdaje?

KLEON.

Czerwony jest lakier lepszy, czy żółty?

ROBERT.

Moje jest zdanie, aby dla pogodzenia WMPanow, oba te kolory pomieszać, z którego pomieszania wy-

niknie kolor pomarańczowy. Tym oba WMPanowie ſwoje karety pofarbować każcie.

KLEON. (żółty.

A już wolałbym kolor pomarańczowy, niż

LELIUSZ *do Kleona.*

J jabym wolał.

KLEANT. (czerwony.

J jabym wolał raczey pomarańczowy, niż

LELIUSZ *do Kleanta.*

J ja.

KLEON.

WMPanu, Panie Kleancie, o to tylko chodzi, żebyś ſię mnie zawſze ſprzeciwił. Tak będąc ongiś u Pana Podkomorzego, *kiedy ja* chwaliłem konia, który miał *białą plamę na czele,* WMPan zacząłeś chwalić konia, który miał plamę przy ogonie.

LELIUSZ *do Kleona.*

Jak w porę WMPan przypomniałeś!

KLEANT.

Chwaliłem owego konia i ſłuſznie.

LELIUSZ *do Kleanta.*

Jak WMPana brat uparty!

KLEANT.

Chwaliłem i chwalę, bo lepſza jeſt u konia plama przy ogonie, niż na czele. *Do Roberta.* WMPan zaś plujeſz!

ROBERT.

A już też wytrzymać nie mogę, zwłaſzcza gdy ſami WMPanowie nie dozwalacie milczeć, a wyciągacie za język. Takim paniętom, tak ubogaconym i od fortuny i od przyrodzenia, nie wſtydże zawſze o tak bagatelnych rzeczach myślić i mówić! Nie bardzo ja wprawdzie tych młodych Panow chwalę, *którzy* będąc ſami w domach ſwoich ekonomami i woytami, piękne częſto talenta ſwoje w roli, równie jak ich chłopi, grzebią; wſzakże wolałbym jednak taki ſpoſob życia, niż jaki WMPanowie prowadzicie. Jeżeli Panowie mają ochotę do dyſput o guście, tedy niech przed ſię biorą piękne ſztuki, które ſą ozdobą, zabawą, pociechą, i nauką świata. Te Pańſkiego guſtu godnemi będą. Z owych zaś dyſput o lakierach, o trzewikach, o plamach przy ogonie co ſię zawiąże? Oto ani honoru Panom dyſputy takie, ani pożytku żadnego przynieść nie mogą. Widzę, że ſię Panowie na mnie gniewają, i dla tego uciekam

z ich

z ich oczu. Niebem ſię tylko świadczę, że, co mówię, mówię z ſamego czyſtego przywiązania ku Panom.

SCENA IV.

Ci ſami krom Roberta.

KLEANT.

Bardzo dobrze! Powiedział nam piękne kazańko, i poſzedł!

KLEON.

A już też to trochę nad to!

DORANT.

Niech nic nie uważają Panowie. Muſi trochę nie domagać, muſi mieć jaką niedyſpozycyą. Ale póydę zaraz, i wytrę jemu obie uſzy na wſzyſtkie ſtrony. Nie bóycie ſię WMPanowie. WMPanowie ſami nie moglibyście lepiey jego połajać, jak ja połaję; i biorę to na ſiebie, że ſię poprawi.

KLEON.

Powiedź WMPan, że jeżeli ſię nie podobamy, tedy może nas opuścić. Gwałtem nikogo w naſzym domu nie trzymamy.

Do-

DORANT.

Powiem mu jeſzcze więcey, ſpuśćcie ſię WMPanowie na mnie. Upewniam, że ſię poprawi.

SCENA V.

KLEON, KLEANT, LELIUSZ.

LELIUSZ.

Ja prawdziwie takiemu zuchwalſtwu nie mogę ſię wydziwić!

KLEANT.

Widzę coraz jaśniey naſze nieſzczęście, że ſię Panu Robertowi podobać nie możemy.

LELIUSZ.

Och ja widzę to aż nadto dawno! ale nie macie ſię bardzo WMPanowie o co fraſować. Cóż robić? WMPanow konwerſacya nie podoba ſię Panu Robertowi, równie jak konwerſacya Pana Roberta nie podoba ſię mnie, nie mniey jako i konwerſacya Robertowego przyjaciela Pana Doranta. Przyznam ſię WMPanom bez pochlebſtwa, że kiedy po rozmowie z WMPanami zdarza ſię mi rozmawiać z owemi

wemi dwoma Jchmościami, to taki właśnie ſmak czuję w obcowaniu z nimi, jak gdybym po nayſłodſzym winie ſkoſztował octu. Jakaś ponurość w nich ſię zawſze wydaje, jakaś wymuſzona powaga, jakaś pedanterya. Słowem, jeżeli wzgląd im jaki wyświadczam, tedy to czynię jedynie dla tego, że widzę WMPanow ku nim względnemi. Wreſzcie przyznam ſię, że pod jednym z nimi dachem i trzechbym dni nie wytrwał.

KLEON.

Jednak z Pana Doranta zupełnie kontenci jeſteśmy, ale co do Pana Roberta,...

KLEANT.

Chyba że Pan Dorant uiści ſwoję obietnicę, którą nam teraz uczynił, że ma Pana Roberta uczynić trochę na nas łaſkawſzym. Wſzakże nie wiem, czy tego dokazać potrafi.

KLEON.

Wątpię i ja bardzo.

LELIUSZ.

Cha! cha! cha! A ja w tey mierze nie mam wątpliwości żadney! WMPanowie jeſzcze nie widzicie, że

natu-

natura tego Pana Roberta jeſt do góry nogami obrócona względem natury WMPanow, równie jak i względem mojey. Kiedy my chcemy gadać o ziemi, tedy on o niebie, kiedy my o niebie, to on o piekle. Cokolwiek my mówiemy, cokolwiek czyniemy, on ſię na wſzyſtko marſzczy. Mniemacie WMPanowie, że Dorant odmieni jemu naturę? A do tego... Ale nie chcę mówić.

KLEON.

Proſiemy mówić.

LELIUSZ.

Mam niektóre ſzkrupuły. Ja nie chcę nigdy ſzkodzić ſławie bliźniego, choćbym co pewnego wiedział.

KLEANT.

Jeżeli WMPan wieſz co pewnego, tedy powinieneś raczey mieć ſzkrupuł ubliżać obowiązkom przyjaźni, milcząc przed nami o tym, co nas intereſsuje.

LELIUSZ.

Jeżeli tak, tedy życzę WMPanom, żebyście ſamemu Panu Dorantowi wiele nie ufali.

KLE-

KLEON.

Ach o Dorancie WMPan nic nie mów, przynaymniey jeżeli nie masz dowodow pewnych.

KLEANT.

Doznana nam jest dobrze Doranta przyjaźń, i doświadczona nie samemi słowami.

LELIUSZ.

Jak się WMPanom podoba. Będę więc milczał. Wszak i to, co powiedziałem, przymuszony od WMPanow samych powiedziałem.

KLEON.

Przynaymniey odłożmy ten interess na czas inszy, i nie czyńmy sobie razem *dwojakiego umartwienia*. Mówmy teraz o tym, o kim mówić zaczeliśmy.

LELIUSZ.

O Panu Robercie? Cóż mamy mówić? Jeżeli WMPanowie potrzebujecie jeszcze Pedagoga, możecie go przy sobie trzymać.

KLEON.

Nie; jeżeli Jegomość chce być *koniecznie* Pedagogiem, może sobie szukać inszych uczniow.

KLE-

KLEANT.

Feruły zapewnie Jegomościney nie potrzebujemy.

LELIUSZ.

Więc nie pozoſtaje, jak tylko napiſać krótki bilecik, i poſłać temu kawalerowi. Ja ten bilecik, jeżeli ſię podoba WMPanom, wnet napiſzę, WMPanowie podpiſzecie.

KLEON.

Cóż to za bilet?

LELIUSZ.

Treść onego będzie, że ponieważ ſię WMPanowie Panu Robertowi nie podobacie, tedy będziecie go w tym bilecie grzecznie proſili, aby ſobie tey przykrości nie czynił, iżby miał mieſzkać z WMPanami.

KLEON.

Co WMPan na to Moſpanie Kleancie!

KLEANT.

Ja taki bilet podpiſać gotow.

KLEON.

Więc i ja podpiſzę. Idźmy do tego pokoju, tu znaydziemy papier, kałamarz, i pióro.

KLE-

KLEANT.

Idźmy. Bo wreſzcie obietnice Pana Doranta zapewnie ſą próżne.

LELIUSZ.

Ja dam gardło, kiedy te obietnice jaki będą miały ſkutek!

KLEON.

Pozbądźmy wreſzcie tego naſzego niewczeſnego i nieproſzonego opiekuna.

LELIUSZ *ſam do ſiebie.*

Brawo! Wreſzcie zaczynam zoſtawać ſam jeden Panem na tym dworze, i pozbywam ſię człowieka bardzo dla mnie niewygodnego, który mi jeſt ſolą w oku. Ey wyſadziwſzy Roberta, wyſadzę potym i Doranta!

AKT II.

SCENA I.

DORANT.

Otoż WMPana piękna poprawa po mojey przeſtrodze.

ROBERT.

Prawda! unioſłem ſię niecierpliwością. Ta nieſzczęśliwa plama przy ogonie mnie dobiła. Do-

DORANT.

Zgrzeſzyłeś WMPan, teraz pokutuy.

ROBERT.

Na pokutę już dawno gotowem. Wyjeżdżam zaraz.

DORANT.

Fe! WMPan o tym nie myśl bynaymniey.

ROBERT.

Myślą o tym naſi Mecenaſowie, i mnie o tym myślić potrzeba.

DORANT.

Nie myślą już bynaymniey o tym Mecenaſowie naſi.

ROBERT.

Wſzakże WMPan mówiłeś że namienili przed WMPanem na tymże ſamym mieyſcu, iż...

DORANT.

Poſłuchay tylko WMPan, powiem WMPanu jeſzcze więcey. Gdy do naſzych Mecenaſow powróciłem od WMPana, znalazłem u nich bilet już napiſany, a to ręką kochanego naſzego Pana Leliuſza, w którym WM Pana wyraźnie od ſwojey kompanii uwalniali. Znalazłem też ſamych na-

ſzych

ſzych paniąt tak przeciwko WMPanu rozjątrzonych, jak ich bynaymniey na tym mieyſcu nie zoſtawiłem. Sprawka i to zapewnie tegoż Pana Leliuſza. Co miałem czynić? Powiedzieć muſiałem, że WMPan ſwoich dawnieyſzych poſtępkow i ſentymentow zupełnie żałujeſz, że wyraźnie obiecałeś poprawę, że ſłowem na moję przeſtrogę w inſzego ſię odmieniłeś człowieka.

ROBERT.

Co WMPan uczyniłeś?

DORANT,

Kiedy inaczey nie mogłem.

ROBERT

Skutkiem tego WMPana poſtępku będzie, że wyjadę tym prędzey, że wyjadę dziś.

DORANT.

Co WMPan mówisz? Więc i ja wyjadę z WMPanem razem. Jak ja teraz oczy pokażę naſzym Dobrodziejom? Wyda ſię przed nimi moje kłamſtwo. Przez wſzyſtkie obowiązki przjaźni proſzę, uczyń to WMPan przynaymniey dla mnie, jeżeli nie chceſz

dla ſiebie, przynaymniey choć przez jeden moment.

ROBERT.

Co mam uczynić?

DORANT.

Poſtaw ſię przed nimi WMPan weſoło, okaż ſię być ze wſzyſtkiego kontent, co oni mówią i czynią. Potwierdzay z ukontentowaniem ich ſentymenta. Wſzak nie o wielkie rzeczy chodzi? kiedy oni będą chwalili lakier czerwony, to i WMPan chwal czerwony, kiedy oni żółty, to i WM Pan żółty. A to tylko przynaymniey na moment, przynaymniey przy pierwſzym powidaniu.

ROBERT.

Jeżeli chodzi o milczenie, to upewniam, że ſię tak nie potknę, jak nie dawno.

DORANT.

Ach nie doſyć milczenia! Ja inſze teraz cale naſzym Panom o WM Panu uczyniłem obietnice.

ROBERT.

WMPan chceſz, żebym wyraźnie pochlebiał. Czy WMPan nie wieſz jak jeſtem do tego niezdatnym.

DO-

DORANT.

Ale uczyń WMPan siebie zdatnym choć na moment.

ROBERT.

Będzie Komedya, ja widzę. Uczynię jednak moje usiłowanie dla przyjaźni jedynie WMPana, ponieważ tak obowiązujesz; bo zapewnie dla żadnego naywiększego interessu mego własnego na tobym się nie podjął. Wszakże jeżeli się nie uda, nie winuy mnie WMPan.

DORANT.

Ale WMPan staray się, żeby się koniecznie udało.

ROBERT.

Już obiecałem, na staraniu i usiłowaniu moim nie zbędzie.

DORANT.

Otoż znowu tu nasz Leliusz. Zapewnie znowu tu poprzedza swoich dobrodziejow, żeby z nich szydził przed nami, a potym przed nimi z nas.

ROBERT.

Ale jakie WMPan jednak masz o Panu Leliuszu tak pewne dowody, że tak o nim . .

Dorant.

Cifzey WMPan! wchodzi.

SCENA II.

Leliusz, Robert, Dorant.

Leliusz.

Przyjaciele kochani! przyprowadzam do was znowu nafzych Aktorow. Będziecie mieli z nimi znowu komedyykę! Cha! Cha! Cha! Dyfputują fię znowu o polowaniu. Przyznać trzeba, że fą zabawni. Ale jednak już mnie takich zabawek aż nadto, i fzczerze wyznaję WM Panom, żegdybym fię od miłey WM Panow kompanii mógł oderwać, tobym w tym domu i trzech dni nie wytrwał.

Robert.

Cifzey WMPan, bo oto nadchodzą.

SCENA III.

Ci fami, Kleon, i Kleant.

Kleant.

Nie Mofpanie Kleonie, to już troche

chę

chę nadto! Co inſzego trzy piędzi, co inſzego cztery łokcie.

KLEON.

Bo też co inſzego zajęcze uſzy, co inſzego liſi ogon.

DORANT *do Roberta*.

Przemów WMPan pierwſzy, przywitay.

KLEANT.

Co do mnie, to ja WMPana upewniam, że tą właſną ręką, tą właſną piędzią owe uſzy mierzyłem.

KLEON.

J ja też właſną ręką mierzyłem mego liſa ogon.

LELIUSZ *na ſtronie*.

Przyſięgam, że komedya!

ROBERT *z miną weſołą i poufałą*.

Godzili ſię wiedzieć, o co to Panom idzie?

KLEANT.

Oto brat móy twierdzi, że zabił liſa tak wielkiego, że miał ogon długi do czterech łokci. Patrz WMPan, czy to rzecz podobna do wiary?

KLEON.

Pan Kleant zaś twierdzi, że złapał żywego zająca za uſzy, które były dłu-

długie po trzy piędzi; i właśnie to rzecz do wiary podobnieyſza?

ROBERT.

Obie te rzeczy nie ſą niepodobne do wiary. Ja zaś zabiłem liſa, który miał ogon długi do ośmiu łokci, a zająca, który miał uſzy do ſześciu piędzi.

KLEANT.

WMPan z nas chyba żartujeſz!

ROBERT.

Swiadczę ſię Panem Dorantem! On widział!

DORANT *na ſtronie*.

Bodayby!... Tak ſię pięknie popiſał na pierwſzym kroku.

LELIUSZ *do Kleona*.

On lepiey z WMPanow poluje, niż WMPanowie z zającow i z liſow!

ROBERT *do Doranta*.

Swiadcz-że do djabła! czego milczyſz? Sam mnie wprawiłeś w piwo, i zoſtawujeſz!

KLEON *do Kleanta*,

Taż to ma być Pana Roberta ku nam odmiana? A on z nas oczewiście ſzydzi!

KLE-

KLEANT.

Mofpanie Dorancie, mamy do WM Pana słówko, profiemy z fobą w kompanii.

DORANT.

Ja też do WMPana mam słówko wzajemnie. Nie trzeba, żeby się Panowie trudzili, ci Jchmość ustąpią.

ROBERT *odchodząc na ſtronie.*

Dobrze tak na mnie, tak bywa zawfze, kiedy kto chce robić to, czego nie umie.

LELIUSZ.

Więc i ja WMPanom konferencyi nie przefzkadzam.

KLEON.

Miłą nam rzecz WMPan uczynifz.

LELIUSZ *na ſtronie.*

Nie potrzeba też mojey przytomności. Dobrze i bezemnie móy interefs idzie. A nie uda się drugi raz, uda się trzeci, uda się czwarty, uda się piąty, i tam daley.

SCE-

SCENA IV.

KLEON, KLEANT, DORANT.

KLEANT.

Mospanie Dorancie ...

DORANT.

Wiem, wiem, co mnie WMPanowie chcecie mówić, wiem dobrze, ale WMPanowie nie wiecie, co ja WM Panom mam powiedzieć. WMPanowie mniemacie, że Robert z WMPanow teraz żartował?

KLEANT.

A już ciż dosyć jawnie.

DORANT.

A jednak jeżeli WMPanowie memu słowu cokolwiek ufacie, bądźcie pewni, że jeżeli Robert teraz nie podobał się WMPanom, tedy to stało się jedynie z zbytniey jego raczey usilności przypodobania się WMPanom. Nie dziw zaś, że jemu nie powiodło się, bo jest człowiek bardzo szczery. Wreszcie ...

KLEON.

Ale póki WMPan nas wymówkami takiemi uwodzić chcesz?

Do-

DORANT.

Owſzem wolno nie wierzyć. Namieniłem tylko, że nie tak ſię WM Panom podobno moją wierną przyjaźnią zaſłużyłem, żebyście ſłowu memu wierzyć nie mogli. Wreſzcie wolno nie wierzyć. Pan Robert już dawno do wyjazdu gotowy, ja go tylko gwałtem utrzymuję. Wyjedzie lada moment, i ja z nim, i przeto też tak ſzczerze WMPanom i otworzyście mówię, jak nie mówiłem nigdy, chociaż nigdy też nie mówiłem obłudnie. Ze często na ſzczerość Roberta narzekałem, za to mnie Pan Bóg teraz ſkarał, iż ſię ſam do jego broni udać muſzę.

KLEON.

WMPan zaś opuścić nas chceſz?

KLEANT.

Tak jeſteśmy nieſzczęśliwi, że ſię i WMPanu nie podobamy?

KLEON.

My WMPana nigdy od ſiebie nie puściemy.

KLEANT.

To lepiey i Pan Robert niechay przy nas zoſtaje, jeżeli WMPan z nim wyjeżdżać chceſz. KLE-

KLEON.

Raczey niechay zoſtaje. Wolemy jego cierpieć, niż WMPana utracać.

DORANT.

Robert ſam przy Panach zoſtawać nie chce, ponieważ ſię Panom podobać nie może, nawet w ten czas, kiedy o to naybardziey uſiłuje.

KLEANT.

Także WMPan bez Pana Roberta zgoła żyć nie możeſz?

DORANT.

Otoż uważcie WMPanowie jakiey i taki człowiek może być godzien przyjaźni.

KLEON.

Zaprawdę nie wiedzieliśmy o takim WMPana ku niemu przywiązaniu. Wſzakże choćby nam przyſzło wſzelkiey użyć uſilności do utrzymania Pana Roberta, tedy to uczyniemy, bylebyśmy utzymali weſpół WMPana.

KLEANT.

Jeżeli ſię WMPan nie możeſz oddzielić od Pana Roberta, tedy ani my,

DORANT.

Przenika wprawdzie taka dobroć

Pań-

Pańſkich ſłów moje ſerce na wſkroś, wſzakże ani ja, ani Robert długo Panom ſłużyć nie możemy, póki ten Pan Leliuſz pod jednym z nami dachem przebywa.

KLEON.

Macie co WMPanowie przeciwko Leliuſzowi.

DORANT.

Mamy, a naybardziey mamy to, że ten panicz nie jeſt przyjaźnych ſentymentow ku oſobom ſamychże WMPanow, którym my tak wiele winniśmy, że obowiązkiem jeſt naſzym bardziey im ſprzyjać, niż ſobie ſamym.

KLEANT.

Co WMPan mówiſz? Leliuſz nie jeſt naſzym przyjacielem!

KLEON.

Leliuſz!

DORANT.

Och jeſt, jeſt, jeżeli WMPanowie chcecie, ale jeſt takim przyjacielem, który więcey niż za dwojakiego nieprzyjaciela ſtoi, to jeſt, przyjacielem jeſt WMPanow.. obłudnym. Wiem ja że nie łatwo temu WMPanowie wierzyć chcecie, bo on gładko

ko pochlebiać umie; ale możecie, jeśli się podoba, doświadczyć. Nie trzeba mówić WMPanom, co on o WMPanach przed drugiemi gada, możecie oto zaraz doświadczyć własnemi uszami, jak będzie gadał o WMPanach wzajemnie przed WMPanami samemi.

KLEON.

Jakże to?

DORANT.

Oto się zmierzcha, WMPanowie jako bracia dosyć do siebie podobni jesteście. Jak się trochę jeszcze bardziey zmierzchnie, odmieńcie tylko suknie.

KLEANT.

Sposob nie zły, ale czy godzi się tak z przyjacielem postępować?

DORANT.

Z przyjacielem choway Boże! ale ja radzę na zdraycę użyć jego własney broni, którą on na WMPanow samych godzi.

KLEON.

A jeżeli on nas pozna?

DORANT.

Wielka rzecz wynaleść w ten czas

jaki

jaki pretext, którymbyście wymówili WMPanowie tę zamianę sukien!

KLEANT.

I radzisz nam WMPan tak postąpić?

DORANT.

Jeżeli chcecie WMPanowie poznać tego człowieka, i jeżeli znayduję u WMPanow cokolwiek wiary względem tego, co o owym człowieku przed WMPanami twierdzę.

KLEON.

A już-ci też lepiey żebyśmy raz doświadczyli Pana Leliusza, niż abyśmy byli w ustawiczney względem niego podeyrzliwości.

KLEANT.

Tak i mnie się zdaje. I sam Pan Leliusz, jeżeli jest człowiek uczciwy i niewinny, tegoby żądać powinien dla własnegoż dobra.

KLEON.

Idźmy więc, i odmieńmy suknie.

DORANT *sam do siebie.*

Ja zaś póydę z tak wesołą nowiną do Roberta. Spodziewam się, że się ta sztuka nam uda.

AKT

AKT III.

SCENA I.

KLEON, KLEANT, DORANT.

KLEON *do Doranta.*

I tak pomieniawſzy już ſuknie, muſieliśmy każdy do ſwego ſtroju powrócić.

DORANT *na ſtronie.*

Ledwie nie pęknę ze złości!

KLEANT.

Awantura prawdziwie ciekawa i nieſpodziewana!

DORANT *na ſtronie.*

Ia ſię boję, żeby ten Robert z zbytniey ſwojey mądrości nie oſzalał do nieſzczęścia!

KLEANT *do Kleona.*

Ale czy tylko ten bilet jednak czytał zapewnie Leliuſz?

KLEON.

Rozpieczętowany znalazłem, a do tego w tym pokoju, gdzie on był. On ten bilet zapewnie zgubił, a zgubił po przeczytaniu.

KLE-

KLEANT.

Ale bo na co WMPan, Panie Dorancie, odkryłeś rzecz Robertowi.

DORANT.

Ktożby ſię ſpodziewał, że on tak poſtąpi? Chciałem go ſmutnego pocieſzyć jak nayprędzey. Ale daycie mnie WMPanowie ten bilet do przeczytania, bo ja jeſzcze ledwie wierzyć mogę

KLEON.

Oto ſłuchay WMPan tego biletu: „Moſpanie Leliuſzu.. Nazywaſz mnie „WMPan ſwoim przyjacielem. Chociaż gruntowne mam powody powątpiwania o tym, wierzyć jednak „jeſzcze temu chcę. Ieżeli WMPan „jeſteś w rzeczy ſamey przyjacielem moim, poznay z tego biletu „że jeſtem ja też WMPana przyjacielem wzajemnie: jeżeli zaś moim „prawdziwym przyjacielem nie jeſteś, naucz ſię z tego biletu, jak maſz „być przyjacielem prawdziwym. „Mam wiadomość pewną, że dziś „wieczorem przy zmroku Panowie „Kleon i Kleant, przyjaciele i dobrodzieje naſi, mają uczynić zamianę

„ mianę wzajemną ſtroju i ſukien,
„ ſnać dla rozrywki, aby ſobie z nas
„ przyjacielſki żart uczynili. WM
„ Panu wſzakże może ów żart wy-
„ niść na ſmutek, jeżeli to prawda,
„ co ſłyſzałem, że WMPan o każdym
„ inaczey gotoweś gadać w oczy,
„ inaczey za oczy. Zatym jako przy-
„ jaciel oſtrzegam. Wreſzcie oddaję
„ ſiebie wzajemney przyjaźni, a je-
„ ſzcze bardziey wzmiankowanych
„ dwóch tak zacnych przyjacioł na-
„ ſzych, którym WMPan ſzczerze
„ ſprzyjając, milſzą mi rzecz uczy-
„ niſz, niż gdybyś ſprzyjał mnie ſa-
„ memu; bo tyle im obowiązany je-
„ ſtem, iż ich wſzelkie dobro prze-
„ kładam nad moje właſne. Nie od-
„ rażaymy ſię drobnemi niektóremi
„ przywarami ich młodości, i my
„ wſzyſcy naſze przywary mamy.
„ Niedoſkonałości ſwoje tym oni ła-
„ twiey lada dzień poprawią, że
„ dobry bardzo grunt w ſwoim przy-
„ rodzeniu mają, i piękne bardzo ſer-
„ ca przymioty. Ja ſię czaſem marſz-
„ czę na ich poſtępki z większą nie-
„ cierpliwością, niżby należało, zwła-
ſzcza

„ſzcza niż dozwala wzgląd i na ich
„ ſtan tak zacny; i na ich takie ku mnie
„ łaſki. Wſzakże lepiey tak wykra-
„ czać jak ja, niż za oczema ich ſła-
„ wę ſkubać, a w oczy je zdradzać.
„ Staraymy ſię poprawić ſię oba, ja
„ w winie pierwſzey, WMPan zaś w
„ poślednicy, jeżeli ſię do oney po-
„ czuwaſz, i jeżeli pogłoſki o WMPanu
„ ſą prawdziwe. Ja nie wiem czy dłu-
„ go w tym domu zabawię, bo nie u-
„ miem dobrze łaſki moich dobrodzie-
„ jow ku ſobie zachowywać. WMPan
„ w tey mierze jeſteś ſzczęśliwſzy,
„ ale bądź oſtróżny. Ja ſię dzieſięć
„ jeſzcze razy z naſzemi Panami po-
„ waśnić mogę, i dzieſięć ſię razy po-
„ godzić; o WMPanu jeżeli ſię choć
„ raz pokaże, co o WMPanu ſława
„ nieſie, będzie po wſzyſtkim. Chy-
„ trość i obłuda bywa to ſieć doſyć na
„ świecie połowna, ale bardzo nie-
„ trwała i wątła: cnota i ſzczerość z
„ trudem poſpolicie i późne dla ſie-
„ bie owoce rodzą, ale doyrzałe i
„ trwałe. Jeżeli maſz tylko WMPan
„ żyć przez jeden dzień na świecie,
„ poſtępuy tak, jak o WMPanu gło-
N „ ſzą,

„ szą; lecz jeżeli dłużey, patrz, abyś
„ w dniu jednym nie popsuł sobie i
„ kredytu i honoru na całe życie.
„ Wolności mojey, którey sobie po-
„ zwalam w takich przestrogach,
„ spodziewam się że WMPan teraz
„ przynaymniey wybaczysz, kiedy tak
„ znaczny mojey ku sobie wierney
„ przyjaźni odbierasz dowod.

„ *WMPana sługa*

Robert.

KLEANT.

Jednak kiedy się ja nad tym biletem zastanawiam, to mogę powiedzieć, że jeszcze bardziey z onego kontent jestem, niż gdyby się nam nasza uprojektowana sztuka udała.

KLEON.

Prawdziwie WMPan dobrze mówisz, i właśnie w moję myśl trafiasz. Prawda że nam ten bilet przeszkadza poznać zupełnie Pana Leliusza, ale daje też nam poznawać zupełnie Pana Roberta.

KLEANT.

Tak jest. Nie wie Pan Leliusz, jaką łaskę tym sposobem dla Roberta wyświadczył, kiedy ten bilet zgubił.

KLE-

KLEON.

Zaprawdę odwdzięczy tym ſpoſobem Robertowi bardzo dobrze, choć zapewnie niechcąc, za tę ku ſobie przyjaźń, którey tak wybornym jeſt ten bilet dowodem.

DORANT *na ſtronie*.

Prawda! popiſał ſię Robert co do ſpoſobu piſania, ale jednak ſprawę popſuł. Póki tego Leliuſza ci Panowie nie poznają zupełnie, póty nic nie będzie. On odrobi potym znowu wſzyſtko!

KLEON.

Naprzód jaka ſię wydaje przychylność ku nam! jak wielka i prawdziwa przyjaźń!

KLEANT.

Jaka mądrość w maxymach! jakie pomiarkowanie! jaka ſzczerość i pokora w wyznawaniu przywar właſnych.

KLEON.

A nadewſzyſtko jak heroiczna cnota i wſpaniałość przeſtrzegać przeciwko właſnym intereſsom człowieka tego, o którego przyjaźni ku ſobie wątpi!

KLEANT.

Ach idźmy wnet Kleonie do niego!

KLEON.

Jdźmy, i przeprośmy go, żeśmy go dotąd nie znali.

KLEANT.

Prośmy go raczey aby nas zawſze odtąd przeſtrzegał, aby z nami odtąd zawſze poſtępował nayſzczerzey. Moſpanie Dorancie idźmy do Roberta. Czego WMPan ſmutny? Oto jeſzcze lepiey, że ſię tak ſtało, jak ſię ſtało.

DORANT.

Nie, nie lepiey; bo jeſzcze WM Panowie dobrze Leliuſza nie znacie. A póki on tu jeſt...

KLEON.

Co! dajemy WMPanu rękę, że gdyby ſię teraz przeciwko Robertowi cały świat ſpiknął, tedy...

DORANT.

A jednak kiedy ſię ſpiknie Leliuſz, to ja ſię bardzo boję.

KLEANT.

WMPan nam krzywdę czyniſz!

KLE-

KLEON.

Chceſzże WMPan, żebyśmy Leliuſza z domu wypędzali, nie mając jeſzcze nic o nim oczewiſtego. Sam Robert czyni mu tylko w tym bilecie zarzuty jako wątpliwe i niepewne!

KLEANT.

Czy nie doſyć dla WMPana tego, że przyſiądz gotowi jeſteśmy, iż Leliuſz przeciwko WMPanom nigdy nic u nas nie wſkura?

KLEON.

Czy także WMPan naſzemu ſłowu nie ufaſz?

DORANT.

Ufam zupełnie, ale jednak i Panowie ſą ludźmi. Pochlebſtwo zaś jeſt na ludzkie ſerca czarodzieyſtwem.

KLEON.

Leliuſz nadchodzi! lepiey uſunąć ſię, może poſtrzec na naſzey twarzy jaką odmianę.

DORANT.

Stóycie WMPanowie. Uſuńcie ſię WMPanowie w ten kąt... Ach jaka myśl mnie błyſnęła!... Uſuńcie ſię WMPanowie w ten kąt, a ſtóycie oſóbno. KLE-

KLEON.

Na co w kąt? Iuż bez tego ciemno. Czy żeby nas nie poſtrzegł? To lepiey odeyść.

DORANT.

Ach ſłuchaycie mnie WMPanowie prędko, bo zbliża ſię.

KLEANT.

Jdźmyż.

KLEON.

Nową z nami jakąś rozpoczynaſz imprezę.

DORANT.

Stóycie WMPanowie oſóbno, a nie odzywaycie ſię, kiedy do WMPanow mówić zacznie. Ja ſię zaś ſkryję zupełnie.

SCENA II.

KLEON, KLEANT *w głębſzey części teatra,* DORANT *zupełnie międzý parawanami ukryty,* LELIUSZ.

LELIUSZ.

Dopiero tu ich głos ſłyſzałem... Cyt! ſą naſi ptaſzkowie, w ſwoich pohandlowanych piórkach! ſchowali ſię w kąt, żebym tym mniey ich poznał.

znał. Prawda, gdybym nie był przestrzeżony, byłoby niebespieczeństwo, ale też tym lepiey... *Udaje się do Kleanta, rozumiejąc że Kleon w Kleanta sukniach*) Ach Mospanie Kleonie! czy WMPan tu? Znam, znam WMPana choć tak w późney porze, i choć w tym ciemnym kącie, i choć w cudzym odzieniu. Lecz za co WMPan masz na sobie suknie Pana Kleanta, tego trzpiota, bo się WMPan nie urazisz na moję poufałość, że tak nazywam brata WMPana. Ja jego cierpieć nie mogę za to, że się ustawicznie sprzeciwia WMPanu. WMPan nic nie odpowiadasz? *spytam się więc o przyczynie tey odmiany sukien samego* Pana Kleanta. (*udając się do Kleona*) Mospanie Kleancie co WMPan w tym kącie robisz? na co WMPan włożyłeś suknie swego Pana Kleona? Ach ja w tych sukniach czuję wstręt od samego WMPana! WMPan wiesz jak ja Pana Kleona cierpieć nie mogę za to że się ustawicznie chce wadzić z WM Panem.

KLEANT *wychodząc z głębi teatra.*

Kłaniam Mospanie Leliuszu! Ja jestem Kleant nie Kleon do usług WMPana.

KLEON *wychodząc także na śrzodek.*

A ja jestem Kleon nie Kleant do usług WMPana.

LELIUSZ.

Jak to?... Ach dla Boga!.. więc pomyliłem się!

KLEON.

J brzydko, gdy mniemałeś, że obłuda i filuterya są to sztuki długowieczne!

LELIUSZ.

Ale jak to? Wszak WMPanowie mieliście odmienić suknie?

KLEANT.

Odmieniamy przynaymniey o WM Panu zdanie, i Pan Kleant, którego WMPan nazywasz trzpiotem, oznaymuje WMPanu, że ma Pana Leliusza za oszusta, obłudnika, filuta, rozsiewacza niezgod w tym domu, i za człeka ostatniego gatunku.

KLEON.

A Pan Kleon, którego WMPan cierpieć nie możesz, oznaymuje, że WMPana też w swoim domu i na jeden moment cierpieć nie chce.

KLEANT.

Pan też Kleant, choć trzpiot, przystaje

ftaje w tey mierze na tak rozumny fentyment fwego brata.

LELIUSZ.

WMPanowie więc mnie wyraźnie wypędzacie, jako widzę, z fwego domu!

KLEON.

To pewna, że kareta nafza zaraz gotowa zaydzie do ufług WMPana, i ludzie nafi gotowi będą do ułożenia rzeczy WMPana w jedney godzinie.

LELIUSZ.

Więc nie ma żadney nadziei, abym...

KLEANT.

Nie ma, nie ma żadney.

KLEON.

I tak dłużey żyliśmy z fobą, niż było potrzeba.

DORANT *wychodząc z kąta.*

Więc kiedy nie ma żadney nadziei mieszkania dłużey z WMPanem, przychodzę i ja, abym WMPana pożegnał.

LELIUSZ.

Czy to WMPana fidełka?

DORANT,

Jakie fidełka? WMPan fam fobie poftawiłeś fidełka, uroiwfzy fobie na

Pa-

Panach jakąś odmianę ſukien, którey żadney nie ma. Wreſzcie jeżeli ſię WMPan oſzukałeś, nie dziwuy ſię, pamiętając na ów wyrok: kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Naucz ſię dziś WMPan, że WMPana ſztuka nie jeſt niezwyciężona, i na ſamego ſię WMPana obrócić może. Owſzem ludzie ſzczerzy miewają więcey dowcipu i przemyſłu niż filuci, jeżeli to prawda zwłaſzcza, co piſzą, że ſzczerość jeſt charakterem ludzi wielkich. Ludziom więc ſzczerym trudniey jeſt wziąć ſię za filutow oręż, niż onego ſzczęśliwie użyć. Lecz ja nie bawię WMPana, ponieważ widzę, że ſię z tego domu ſpieſzyſz.

KLEON.

My też nie bawiemy WMPana, i polecamy ſię jego lepſzey łaſce, niż u niego dotąd mieliśmy.

KLEANT.

Żegnamy WMPana.

LELIUSZ.

Ha! mnieyſzaż o to, kiedy tak! kłaniam WMPanom.

DORANT.

Dobrze WMPan czyniſz, że wreſzcie

cie przedſiębierzeſz determinacyą. Ludzie rzemiosła takiego, jakie jeſt właſne WMPanu, długo nigdy na jednym mieyſcu mieſzkać nie mogą! im trzeba być uſtawicznemi wojażerami.

LELIUSZ.

No! no! Moſpanie Dorancie! do odſłużenia! do odſłużenia!

SCENA III.

KLEON, KLEANT, DORANT.

DORANT.

Chwałaż Bogu! że zupełnie dokończony intereſs! Tak ſię ſtało jak myślıłem.

KLEANT.

Ach móy Dorancie! jak wiele tobie winniśmy, że nam to monſtrum odkryłeś!

DORANT.

Chwała Bogu moi Panowie! Jeſt Bóg, jeſt naywyżſza opatrzność, która ſama pląta ſidła tym ſidlarzom, którzy ſideł ludzkich uchodzą. Chwała Bogu! Bezpieczni teraz i Panowie z nami, i my przy Panach. Ja będę

za-

zawſze takim ku Panom, jak byłem, Robert zaś upewniam, że ſię coraz uſilniey i ſkuteczniey poprawować będzie.

KLEON.

Ach co mówiſz Dorancie? owſzem ja chcę, żeby on zawſze był takim, j kim był dotąd! Tak mnie ten przykład obłudy przeraził, że odtąd tym mnie milſzy każdy człowiek będzie, im będzie ſzczerſzy.

KLEANT.

Idźmy raczey do niego, bo to tylko pozoſtaje, i prośmy raczey jego ſami o jego ku nam naywolnieyſzą ſzczerość.

KLEON.

I zaprzyſiężmy mu naſzę wieczną przyjaźń!

KLEANT.

Zaprzyſiężmy!

DORANT.

Ach wiele cnota zawſze na świecie cierpi! miewa jednak niekiedy ſwoje ochłody, jeżeli rzadſze, za to nader ſłodkie!

KONIEC.

HELI

TRAGEDYA.

OSOBY

HELI naywyżſzy Kapłan.
OPHNI }
PHINEES } Helego ſynowie.
SAMUEL młody Prorok, ſłużący przy Helim w przybytku Pańſkim.
LEWITOWIE.
ZOŁNIERZ z obozu.

Scena w mieście Silo około przybytku Pańskiego.

AKT I.

SCENA I.

SAMUEL.

O Silo! o jako po ſmutney nocy jako ſmutny oglądaſz dzień! Strach dziś z tego świętego przybytku, ſtrach na cię z wóyſka twojego namiotow wychodzi. Z tego i z tamtych wieści poſpołu ſtraſzne ſchodzą ſię. Lecz maſz-że które między twoim ludem ſerce bardziey ſtrapione nad ſerce Samuela? Nędzny młodzieńcze! matka, która cię późno urodziła, czemu ſię jeſzcze nieſpóźniła bardziey? lepieybyś dziś ſię jeſzcze *w oney krył wnętrznościach!* Co pocznę? męża, którego ſłuſznie miłuję ſynowſkim ſercem, wgrob moją wieścią wtrącić mogę, i reſztę dobremu ſtarcowi odjąć życia, którego błogoſławieńſtwu własne me winienem życie. Ach drżę, onże wytrzyma tak tęgi ucha raz, i wiekiem tak zwątlony, i świeżą tak zmieſzany wieścią o ſmutney klęſce Jzraela!

Więc

Więc mamże milczeć i głos wżdy do czasu taić, co dziś w tym przybytku nocne przerwał milczenie? lecz przewlekać Helemu trwogę jest to samo, co zgubę mu przyspieszać, i te kary, na których wspomnienie scina się w mym sercu krew. Prędkim, prędkim gniewem grozi mu Bóg! więc jakiey mam wymowy użyć? w jakie słowa uwinę miękko nieba tak twarde wyroki! o Ophni! o Phinees! na głowę Oyca zrodzeni synowie! na nieszczęście i domu i kraju! na moję wreszcie troskę, i na moje kłopoty! ty! ty zwłaszcza Phinees, co gwałtem od cnoty unikasz! jaki wróg cię; jakie ciebie zaślepiają czary? brata twego do nieprawości ciągnie złość, ciebie brat! o nazbyt godzien inszego brata! o gdybyś albo inszego miał brata, albo insze serce! o gdybyś dobrze umiał serca tak dobrego używać! Teraz próżno serce Samuela, próżno wszelkie nad tobą dobre jęczy Jzraela serce. Lecz przebóg! Sam tu Heli nadchodzi! usunę się, jeszczem się nie namyślił zupełnie, jako mam począć; tym czasem sam

mię

mię twarzy smutek wydać może, lecz już mię postrzegł, jako widzę, już późno.

SCENA II.

HELI, *przy którym dwóch Lewitow*, SAMUEL.

LEWITA *pierwszy wychodząc przed wyściem Helego.*

Pozostań Samuelu, naywyższy Kapłan chce z tobą mówić.

HELI *do Lewitow.*

Wróćcie się, proszę, towarzysze z mieysca tego, a na chwilę mię z tym młodzieńcem samego zostawcie.

SCENA III.

HELI *sam jeden* i SAMUEL.

HELI.

Synu miły, jaki smutek twe zasępia lice, jakie na tych niezwykłe pomieszanie postrzegam?

SAMUEL.

Pytasz się Boskich naczelniku Kapłanow? gdy jeszcze pyłu z siebie nie otrząsł smutny goniec, który tak nam przeciwne wieści z obozu przy-

 nosi

nosi; gdy leżą cztery tysiące ludu Bożego Filistyńskim wysłane mieczem, gdy się całe cofa ku temu miasti zbite woysko nasze; możnaż bez smutku i bez pomieszania w takim zostawać razie?

HELI.

Dufay, synu, ręce oney, która jeżeli złe dzieci opieszała karze, prędko daje się ubłagać, a gniew podwojony od tych zawsze obraca na tychże przeciwniki; co jeżeli mścić się komi swoich krzywd nad nami dozwala, mścić się prędko samey zemsty takiey nad mścicielami samemi zwykła. Dobry nader, synu móy, dobry nader jest BOG Jzraela! Posyłam wnet skrzynię przymierza do obozu, który się zbliża ku nam. Pohański narod, który ten goni, zgubę swoję goni. Jegoż przed tą skrzynią szyki dostoją, przed którą Jerychońskie mury nie dostały? Zadney się nie lękaymy mocy, póki nam dozwala ufać w sobie Wszechmocny. Przeto mniey ja o wszelakie dbam wieści, które się z pod woyskowych przynoszą namiotow, aniżeli o te,

któ-

któreś dziſieyſzey nocy w tym przybytku, ſynu, ſłyſzeć muſiał: o tym ja nierównie troſkliwſzy. Bóg ſię ci, widzę, zwierza, i cieſzę ſię z tego. Twoje poſtępki i cnoty nie niegodnym ciebie czynią niebieſkiey łaſki. Więc jeżeli tobie mieyſce tu twoich rodzicow nie-źle zaſtępuję, jeżeli nad ciebie właſnych moich nie przenoſzę ſynow, owſzem jeślim tobie pierwiey jeſzcze ſprzyjać począł, nimeś ſię jeſzcze ukſztałcił we wnętrznościach macierzyńſkich, gdym dla tey proſił o płodność u Boga; nie tay mi, na wſzyſtkie cię zaklinam obowiązki, Samuelu! co z uſt Boſkich tey ſłyſzałeś nocy.

Samuel.

Wieſz, Oycze, żem głos jaki Boſki tey nocy ſłyſzał?

Heli.

Wiem, żeś muſiał ſłyſzeć; kiedyś trzykroć do mnie przychodził, mniemając, żem cię wzywał. Był więc jakiś głos, który cię wzywał, nie mój, ani ludzki. Potwierdzaſz to, co mówię, coraz więkſzym twojey pomieſzaniem twarzy. Więc mów,

co ſłyſzałeś. Taić ſię przedemną chceſz? Dotądeś mi zapewnie nic nie taił. Czy ſameć nieba mówić bronią?

SAMUEL.

Oby broniły!... Oycze!.. ale....

HELI.

Więc ci objawia niebo coś ſmutnego, ſynu, jako uważam. Mów jednak: ſama odtąd bojaźń i niepewność naywiękſzym byłaby uciſkiem mojego ſerca. Nie raz bojaźń niepewna złego nad ſamo złe cięźey trapi.

SAMUEL.

Ach! na cożeś mnie ſwoją urodził modlitwą, na ſwoję głowę właſną, na ſwóy ſmutek! Na coś też urodził dwóch ſynow ſwoich na ſwoję głowę! lub czemuś o nich przeſtrog przynaymniey nie ſłuchał Prorockich! Już to pierwiey mąż z Niebać natchniony tobie objawił, jako ciężko na twóy ſię Bóg dom gniewa przeto, że Ophni i Phinees, którzy pierwſze po tobie dawaćby powinni cnoty ludowi przykłady, nazbyt ſię od ſwego odrodzili oyca; że pierwiey niż

ſię

ſię niebu ſamemu zapalą ofiary, śmieją na tych rzucać ſię pierwiaſtki; że ſame tego przybytku progi kalać ich niewſtyd wyſtępkami śmie, które wſtyd wzdryga ſię mianować. Owoż gdy tey nocy ſpokoynie zaſypiam, mniemając, że twa pobożność niebieſkie przebłagała gniewy, głos ſtraſzny przerywa mi ſen, co ſię niegdyś śrzód gromow z góry odzywał Syonſkiey. Ten wieści, że owe kary i pogróżki, któreś z uſt wzmiankowanego Proroka ſłyſzał, wiſzą już nad twoją głową, już ſą w twego domu progach. Oto to, com w nocy ſłyſzał, co mi mówić każeſz. A ty, oycze, acz przeſtrog nie potrzebujeſz moich, miłość jednak te tłumić trwożliwa mi broni; nie trać ſerca, oycze! Niech Bóg grozi, jako chce: kto go zna, nigdy w onym ufać nie przeſtanie. Jedna częſto łza naſza z gorzkiego wyciśnięta ſerca, wſzyſtkie jego pioruny zagaſza. Czyń, coć twoja pobożność, coć twoja mądrość radzi. Jakokolwiek czas krótki Boſki ci gniew naznacza, doſyć będzie jednak długi, jeśli go użyjeſz.

He-

HELI.

Jeſzcze Bóg teraz nawet mówić z uſt twych zdaje ſię, ſynu móy! tak ſą mądre twoje ſłowa i rady. Ja w Bogu nie przeſtanę nawet zagniewanym ufać, nie tylko kiedy już ſwe podnoſi ramię, lecz ufam jeſzcze, kiedy już to nawet ſpuſzcza na mię. Wreſzcie jeżeliby nawet przebłagać ſię nie chciał, Swięta Jego jeſt we wſzyſtkim chęć, święte wyroki. Pan jeſt, Pan, którego władza granic nie ma. Niech czyni, co jeſt dobrym przed Jego obliczem. Ja jednak nic z mojey ſtrony nie opuſzczę, czymbym gniewy Jego ubłagał, i Jego woli uczynił zadoſyć; a iż czas zoſtaje krótki, od tego natychmiaſt momentu i myślić i czynić zaczniymy. Nayprzód idźmy do przybytku w momencie tymże, i ofiarę odprawmy naypilniey, jaką Bóg ſam czynić za grzechy roſkazał przez uſta Moyżeſza; więc wreſzcie też nie odwłócznie wſzyſtko wykonamy, cokolwiek być wolą uyrzemy niebieſką. Tym czaſem, kiedy ofiarnym ogniem błyſka ołtarz, prośmy z nieba o światło, jakim

jakim ſpoſobem tego gniew błagać mamy.

SAMUEL.

Pełny nadziei idę za tobą, którą we mnie twoje takie przedſięwzięcie wzbudza. Niezwykłą, nagłą radość w mym ſercu czuję, nie zwykłą ufność, która nie z ziemſkich zda ſię wpływać w pierſi moje zrzódeł. Wierz mi, głos tenże, który brzmiał dziś pośrzód nocy w moim uchu, tenże zda ſię brzmieć teraz w mym ſercu łagodnieyſzym tonem: ten mi mówić do ſerca zdaje ſię, że jeżeli wykonaſz zamyſł ten wiernie, który przedſiębierzeſz, tedy dobry Bóg Jzraela, acz już rękę podnoſi, zapomni jednak gniewu ſwego, i ſwe groźby ſtraſzliwe obróci na Filiſtyny tak dziś podnieſione ſzczęściem.

AKT II.

SCENA I.

PHINEES.

Ofiarę Oyciec kończy, wkrótce młodzieniec tędy powracać muſi z przy-

przybytku, tu nań chwilę czekać chcę, w tym mieyſcu ſamotnym. Nie wreſzcie, nie póydę do obozu, póki mu nie wynurzę pierwiey ſerca, zkąd dla mnie powrót bardzo wątpliwy. Od ludzi razem i od Boga biją na nas trwogi: ztąd nam oręż zwycięſkiego Filiſtyna grozi, ztamtąd dawno już Bóg ſwe groźby przez Proroki miece. Mamże ufać w zagniewanego Boga ſkrzynię owę, którą mam nieść do boju? Ach raczey ſię oney ſamey bardziey lękam, niż broni przeciwney! Siedzi nad oną ſkrzynią Mocarz między Cherubiny, na nas podobno rozgniewany bardziey, niż na naſze nieprzyjacioły. Więc pierwiey aniżeli umrę, niech mię pozna dobry młodzieniec, niech wie, żem mu zawſze ſprzyjał ſzczerze, że ſam mię wzgląd na brata taić przyjaźń ku niemu przymuſzał dotąd, brata, który nań w ſercu gniew śmiertelny warzy. Ale dziś, kiedy go pono oſtatni raz widzę, nie wytrwam, bym mu nakoniec ſerca nie otworzył, nie wytrwam, abym jego przyjacielem umierał, a

on

on o tym wiedzieć nie miał, zwłaſzcza tak przyjaźni godzien. O ſłodkie obyczaje! o cnoty wyſokie! o ſzlachetne ſerce! Równo z nami położony u Oyca, ſam ſię dobrowolnie niżey za nas kładzie! zawſze od nas przyymując ſamę wzgardę i nienawiść, zawſze nam płaci ludzkością, uczynnością, wdziękami! Jzali można wreſzcie takiego ſerca nie ſzacować? izaliż można wreſzcie odjąć ſię takih cnot powabom? Nie, ſam to chyba tylko może brat móy, ale i jego z czaſem, mniemam, ſerce zmiękczyć ſię muſi. O Phinees! Phinees! gdybyś był dawniey taką zawarł przyjaźń, gdybyś rad był Samuela ſłuchał, gdybyś jego był raczey chodził niż braterſkim śladem, weſeleyby ci przyświecał dziſieyſzy dzień! nie bałbyś ſię dziś tey ſamey świętey ſkrzyni bardziey nad nieprzyjacielſki miecz, która ſłynie Jzraela ochroną! Ale późne narzekania! niewczeſne! iść potzeba w bóy, i albo przez naſzę śmierć ſprawiedliwość nieba ſtraſzną objawić, albo zwycięſtwem ſzczegulną tegoż wſławić

wić

wić litość. Wreſzcie jeślim obmierzły Niebu, przynaymniey chcę umrzeć w tych łaſce, którym bardziey Niebo ſprzyja, aniżeli mnie. Ale już nakoniec z przybytku powraca Samuel.

SCENA II.

SAMUEL, PHINEES.

SAMUEL.

Witay Phinees!

PHINEES.

Witay Jzraelſkiey zaſzczycie młodzi!

SAMUEL.

Ze czcią nazbyt mię niezwykłą pozdrawiaſz!

PHINEES.

Bo wreſzcie me uſta zgadzają ſię z ſercem. Słuchay! zawſze to ſerce ſzacowało ciebie, i odjąć ſię twojey wdziękom, przyznam ci ſię, cnoty nie mogło. Wzgląd mię aż dotąd na brata hamował, żem ci nie śmiał otworzyć mey przyjaźni. Wieſz to dobrze oboje, i brat jako nienawidzi ciebie, i jako ja miluję brata.

Lecz

Lecz dziſiay, kiedy kroczyć mam przeciw zwycięſkim obozom pod ſkrzynią gniewnego na ſiebie Boga, nie chcę cię zoſtawić nieświadomego, żem był twoim zawſze przyjacielem, abym, jeśli mię jaki nieſzczęśliwy czeka kres, jeśli moim ma karmić kruki nieobrzezaniec trupem, przynaymniey tey czci miał nadzieję, że śmierć moję może jaką łzą, albo wżdy weſtchnieniem ſwoim uczci Samuel.

Samuel.

Ach!... nie wieſz, jako ſerce trapiſz Samuela przyjaźni oświadczeniem twojey!

Phinees.

Trapię?

Samuel.

I ſrodze! Bodaybyś był ſię daley tail! Wzdychało wprawdzie zawſze ſerce me nad wami obu, lecz od tego nad tobą momentu zaczyna ono jęczeć okrutnie; i ten to cały tylko ſkutek otworzyſtości twojey, moje tym więkſze utrapienie. Obyś był milczał! obyś, Phinees, raczey był milczał! Teraz ſię ku mnie z przy-

jaźnią

jaźnią otwieraſz, gdy o Boſkiey ku ſobie nieprzyjaźni poſpołu rozpaczliwie mówiſz, gdy ſię mniey dbać o tę poślednią zdajeſz. Więc co ci nieſzczęliwy Samuel pomoże? Próżno mu tylko przyczyniaſz i żalu i ſmutku! Wróć, wróć twe ſłowa nazad w uſta, jeżeli możeſz, a lub wypowiedź przyjaźń temu, któryć to mówi, albo ratować ſiebie przyjacielowi dozwól.

PHINEES.

Ja zaś jeśli ratunku potrzebuję jakiego, i jeśli ty ratować mozeſz, ratuy.

SAMUEL.

Sam o ſwoim niebeſpieczeńſtwie mówiſz, kiedy o rozgniewanym mówiſz na ſiebie Bogu. Być w ogniu, być w ſzalonym wiatrami morzu lepiey, aniżeli w gniewie onym.

PHINEES.

Cóż radziſz, więc, abym przebłagał ſobie niebo?

SAMUEL.

Brata nie więcey, aniżeli ono cenić i miłować, nie więcey nawet ſiebie, nie więcey oyca, nie wię-

więcey dom cały, pod który ogień podkładacie niebieſkiego gniewu, jako głoſzą Prorockie uſta. Brata opuścić ślady, a jeżeli rzecz można, na nową go za ſobą raczey Pańſkich praw wprowadzić drogę. Tey rady, Phinees ſię uymiy, chceſzli, aby ſię z twey cieſzył Samuel przyjaźni, chceſz-li kroczyć beſpiecznieyſzy i weſelſzy do boju, i weſelſze zoſtawić ſwoje przyjacioły, chceſz-li nieść ſkrzynię Pańſką na ochronę ſwey głowy, nie na oney ruinę, i na ruinę całego woyſka; chceſz-li wreſzcie ſamego brata, którego tak miłujeſz, ocalić; *mniey go miłuy, abyś go ocalił.*

PHINEES.

Wyrażaſz moje myśli ſwojemi ſłowy. I ztąd też wnoś, w czymbyśmy ſię nie zgodzili zdaniem, jeżeli nawet i w takiey rzeczy ſą zgodne mniemania naſze. Jeżeli zawſze przyjaźń ludzka na podobnym zależeć zwykła myślenia ſpoſobie: tedy nikogo bardziey do wzajemney przyjaźni nad nas dwóch nie ukſztałciło przyrodzenie ſamo. Obym tobie był

pier-

pierwiey me otworzył ſerce! abym wzajemnie od ciebie takie rady ſłyſzał! Lecz teraz ... nazbyt zdami ſię póżno ... Ach! gdybyś wiedział!

SAMUEL.

Ja ręczę, ja na ſiebie cały przyymuję ciężar. Nigdy do Boga z ſzczerych pierſi póżno nie wychodzi weſtchnienie, póki z onych nie wynidzie oſtatni duch. Chciey tylko ſwoje poprawić błędy, i onę chęć ſzczerą z ſerca poſzliy żałośnego Niebu, do reſzty tobie dopomogę ſkutecznie: wreſzcie łaſkę ci przyrzekam Naywyżſzego zjednać. Jeżeli nie właſnym duchem dawać ci tak śmiałe zdaję ſię obietnice, jeżeli....

PHINEES.

Wſzyſtko uczynię, co każeſz, a cokolwiek tylko podołają me ſiły. Lecz na moment teraz przerwiymy rozmowę, brat idzie, uſunę ſię, aby z tobą mnie obcującego nie uyrzał, tenby widok wielce mu ſerce wzburzyć mógł.

SAMUEL.

Owſzem pozoſtań, ciebie może ſzuka; ja ſię uſunę raczey, zwłaſzcza, że

że twarz moja niemiłą mu zawſze i nienawiſną bywa.

SCENA III.

OPHNI, PHINEES.

PHINEES.

Już cię z żelazem u boku oglądam? Już więc gotowa przymierza ſkrzynia i Lewici do wyprawy?

OPHNI.

Już wkrótce ruſzemy, ale pierwiey inſzey niż Filiſtyńſkiey ma krwi ſkoſztować ten miecz. Wreſzcie dziś tę iſkrę zatrę i zagaſzę tlejącą na domu naſzego pożar. Wreſzcie otwiera dziſiay tę minę nienawiſny młodzian, którą pod nami dawno kopał.

PHINEES.

Co ſię dzieje?

OPHNI.

Oycowſkie ſerce poburzone na nas z gruntu, narzeka, grozi ſtarzec, zaledwie nie przeklina! Wſzyſtkiego ſprawcą ſyn nieſzczęśliwy Elkany. Prorokiem dziś na naſzę zoſtał głowę, głos niebieſki zmyślił jakiś, który niby tey ſłyſzał nocy, żesmy bliſką

zgu-

zguby przyczyną dla domu całego, wydaje oycu wyroki, i ſtraſznych kar, które ten mają lada moment przywalić.

PHINEES.

Onby był tak zuchwały! aby miał naywyżſzego Kapłana ſyny kłócić z oycem? ten domu ſwojego wyrzutek?

OPHNI.

Z oycam wſzyſtko ſamego uſt ſłyſzał, który ſiebie pocieſzyć nie daje: nam i razem oycu śmiertelne zadaje zdrayca razy. Ale to żelazo i pomści ſię razem, i zapobieży wnet złemu. Niechay ſmutnych ſwoich idzie ſzukać ſnów w piekło, niechay wieczyſtym oczy zawiera ſnem, co nas gubić ſny chce zmyślonemi. To żelazo doświadczy jego proroctw. Jeżeli Prorokiem jeſt prawym, wyrwie go Bóg z ręki moiey. Nie ruſzy ſkrzynia święta, aż tey pierwiey ofiary nie położę.

PHINEES.

Nie myśl o tey tak podłey ofierze, którego świętey ociec uczynił Wodzem wyprawy; nie maſz ty czaſu

do

do tak dzieł nikczemnych. Pospieszay raczey pilnie przybor, abyśmy jak nayprędzey ruszyli pod skrzynią świętą, i nie trać momentow; z których każdy drogo woysku kosztować może. Na młodszego brata ono drobne dzieło, na tę rękę spuść, ku któremu słuszna cię budzi zemsta. Idź ty do swojey, ja póydę wnet do mojey sprawy.

OPHNI.

Spiesz-że, węża w zanadrzu dom nasz śmiertelnego chowa, każdy jest niebespieczny wielce moment, w tym zwłaszcza czasie, kiedy lud cały w potrwożeniu po świeżey klęsce. Niech się tylko te wróżki rozniosą, niech tylko *kłamca miotać* pocznie swych Proroctw pochodnie, nie oyca tylko, ale wnet i całego uyrzysz przeciwko nam Izraela w ogniu. Gaś ten pożar nayprędzey słuszną krwią, póki pierwsza jeszcze żagwa tleje.

PHINEES.

Spuść tęn pospiech na mnie, a ty spiesz wzajemnie wyprawę.

OPHNI.

Pospieszaymy oba. P

SCENA IV.

PHINEES.

Pomyślnie poszło. Szczęśliwiem Samuela wyrwał życie z braterskich rąk. Lecz godzien-li tego, któremu to świadczę? Onby miał podstępki takie czynić? Onby miał oycowską i powszechną na nas zapalać nienawiść? Pewnie nigdy tego nie czynił, owszem nazbyt od takich się pokazywał dotąd dalekim dzieł. Lecz z drugiey strony, że z oycowskich ust pewną o tym wyczerpnął wiadomość, twierdzi Ophni: szczerze on zawsze postępuje zemną. Więc takimby obłudnikiem i zdraycą miał być Samuel? a to miałby sprawić los osobliwszy, że, który ja dzień obieram na mojey otworzenie przyjaźni, tenże sam on obrał na swoich wywarcie zdrad! Ach! jeżeli tak się czarne serce pod cnoty maszkarą kryje, dotrzymam mego bratu słowa, i zwiedzę żelazem skryte obłudnika piersi. Jeżeli tak, słusznie na się jego przyjął zgubę. Jam od niego bardziey obrażony nad mego brata.

Idę,

Idę, abym go ſzukał, i jeżeli jeſt winien, abym to ſpełnił, czym mu grożę, i com przyrzekł bratu; jeżelibym zaś w tey mierze odkrył jaki braterſki błąd, abym go przed gniewy braterſkiemi zaſtaniał.

AKT III.

SCENA I.

Phinees, Samuel.

Phinees.

Także więc jeſt w rzeczy ſamey? Oycaś i tak zmartwił, i tak na nas oburzył?

Samuel.

Przymuſzony. Trzykroć głos wzywający ſłyſząc do Helegom ſię udawał, mniemając, że on mię zowie: dwakroć mię odeſłał, za trzecim razem poznał, że głos on wołał na mnie, co z pośrzodka Cherubinow na ſkrzyni przymierza wyroki daje. Zatym ſam nauczył mię Heli, jako ſię mi odzywać należy na on głos ſtraſzliwy. Więc mogłem-że mu taić, com ſłyſzał, gdy mię o to ſam nayuſil-

usilniey, i z zaklinaniem pytał? Wiesz jako oyca twojego szacuję i poważam: nie umiem mu ubliżać posłuszeństwa, zwłaszcza w tak ważney rzeczy, w rzeczy, którą on tak usilnie chce wiedzieć. Lecz gdybym mu nawet i niechcącemu objawił to, czym mu grożą niebieskie wyroki; ty jednak jeżeli oyca i dom swóy miłujesz, i siebie, i swego brata, winienbyś mi wdzięczność był raczey za moję przestrogę. Cóż bowiem? czy w milczeniu czekać miałem, ażby się niebieskie ziściły gniewy zwłaszcza tak bliskie? Bo wreszcie Boskie gniewy na ziemię, jak mówią, nie padają próżne. Ostrzedz zda mi się raczey domu należało głowę, ażeby powszechney zaradzała klęsce.

PHINEES.

Nieszczęśliwy! nocne głosy, które snu być mogą skutkiem, i poburzonego gorącą młodością wyobrażenia, za pewne brać śmiesz wyroki nieba, i onemi dom nasz, i cały burzyć lud chcesz Izraela!

SA-

SAMUEL.

Phinees! mnie mojemu nie wierzyć nie godzi ſię uchu, które, wiem, jako nazbyt od ſnu było dalekie, kiedy dziś drżało na niebieſkie grozby; ty jeśli jednak te maſz za nocną marę, miey, jeślim tak wiary u ciebie niegodzien, lecz wżdy żadney mi w tey mierze nie przypiſuy winy.

PHINEES.

Więc jeżeliś tak pewien onych twych cudow, czemu, kiedyś tu obcował tak uprzeymie zemną, nie zwierzyłeś ſię mi onych, gdym ſię ja tobie mey przyjaźni zwierzał? W onym pewnie przynaymniey momencie, w onym momencie takiey mey ku ſobie otworzyſtości, takich mi nie otwierać wzajemnie wiadomości nie godziło ſię.

SAMUEL.

Otworzyłbym ci one nader łatwo, gdybym innych ſkutkow ſię ſpodziewał, aniżeli widzę teraz. Jakie niebieſkiemu głoſowi dajeſz teraz imię? Samuelowego oto ſnu, poburzonego młodością wyobrażenia, nocney mary. Wiedziałem, że też nadaſz mo-

mojey wieści i wtenczas imiona. Znam was, znam nazbyt, Helego ſynowie! Nie chciałem i większą wzgardę waſzę ściągać na ſiebie przeſtrogą moją, i większą wzgardę na niebieſkie wyroki.

PHINEES.

Próżne ſłowa! wymówki próżne! co twym ſkaziłeś dziełem, to też dziełem napraw. Jdź do oyca ſpieſznie, odwołay, albo pod ſłuſzną przynaymniey ſwe cuda podday wątpliwość; bo tey w rzeczy ſamey podlegają one. Tak uczyń, jeśli i ſtarca ſobie i nam poſpołu miłego nie chceſz wprawić w grob ſmutkiem i bojaźnią, i jeśli nie chceſz ſam poſpołu z nim ginąć.

SAMUEL.

Jakie ſłowa i uſt twoich niegodne i moich uſzu ſłyſzę? co to śmiałeś wymówić? Jeżeli zbyt mię pono na tym niedawno chwaliłeś mieyſcu, zbyt mię teraz przeciwnie hańbiſz, kiedy ſię na tak bezecne przedemną odważaſz rady, i kiedy tak podłe maſz o mnie nadzieje.

PHI-

Phinees.

O twoje chodzi zycie, i moment maſz tylko.

Samuel.

Moje życie w owey ręce, która mi ono dała: ta jeżeli dalſzy dniom mym zakreśliła koniec, próżno ſię na mię uzbroją tyſiączne ramiona: ta jeśli chce, abym w oney dziſiay złozył ducha, oddam chętnie to życie, które mi w ſzczegulnieyſzym darze dała ręka owa, kiedy mę w niepłodnych ukſztałciła wnętrznościach. Nie jedną, ale ſtema groź mi śmierciami, jeśli chceſz Samuela kuſić, ale i tych mało; chceſzli groźbami mię poruſzyć, groź mi Boſkim a nie ludzkim gniewem. Tym czaſem zoſtań, ucho na tym mieyſcu moje nie wytrzyma, gdy tak ono znieważać poczynaſz.

Phinees.

Poſtóy moment. Jeżeli Samuelu.... lecz uciekay raczey! brata przychodzącego widzę. Uciekay! krwi twojey chciwy i zbroyny przychodzi. Uchodź rychło!

Sa-

SAMUEL.

Krwi mojey chciwy przychodzi? W czymem zawinił?

PHINEES.

Nie czas teraz do wywodow, uchodź! ach zbliża się! ty mieszkasz?

SAMUEL.

Owszem zostanę, jeśli dla tey tylko przyczyny usuwać się radzisz. Spi niewinne spokoynie pośrzód mieczow sumnienie; ucieczka zaś sprawować zwykła pozor winy. Dziś się zaś strzec mam takiego przed waszym szczegulnie pozoru okiem, by mi i krew to nawet kosztować miało. Bo głos dzisieyszey nocy nazbyt snem jawnym podobno zostanie, jeśli ztąd stopę poruszę strwożoną.

PHINEES.

Przebóg!

SCENA II.

OPHNI, PHINEES, SAMUEL.

OPHNI.

Cóż to? jeszcze więc zdrayca dotychczas żyje?

PHI-

PHINEES.

Zatrzymać się słuszne każą niektóre przyczyny.

OPHNI.

Lecz moje żalazo żadnych nie zna przyczyn.

PHINEES.

Postóy! skryy miecz! póki nie usłyszysz wywodow, które....

OPHNI.

Wiem o tych wywodach. Związki brata na zdraycę przenosisz, i z nim się sam łączysz na domu upadek. Wiem, nie pierwszy już to raz na tym mieyscu z nim obcujesz. Ale umrzeć musi!

PHINEES.

Wybacz, tego nie dopuszczę.

SAMUEL.

Phinees! życia swego nie narażay, proszę, nie stanay między mieczem, którym sprawuje szalona dłoń, i tą piersią. Zbyt zajadły widzę gniew w oczach twojego brata: krótkim jest szaleństwem zbytni gniew, wszystko zdolny popełnić, w takim zwłaszcza ręku. Usuń się, proszę, nie narażay swey dla mnie głowy.

PHI-

Phinees.

Bynaymniey. Póki ja żyję, bądź beſpieczny.

Ophni.

Więc chceſz mi Samuela bronić?

Phinees.

Broni nie mam, ale pierſi me jednak za tarczę naymocnieyſzą pono przed twoim ſtaną orężem, przez te ſięgać tobie potrzeba do pierſi, które ſą twych gniewow celem.

Ophni.

Znaſz mię Phinees! wieſz jak byſtre bywają moje zapędy, gniew w momencie jednym ślepy uczynić może pośrzód tey dłoni, czego wielu nie opłaczę laty.

Phinees.

I przeto ſię zaślepiać twoim nie daway gniewom. Odłóż broń, day uwadze pierwiey mieyſca cokolwiek. Broń zawſze maſz przy boku, zawſze tey dobyć znowu możeſz, jeśli znowu ci albo gniew, albo rozum roſkaże.

Ophni.

Nie baw mię!

Phi-

PHINEES.

Raz to dzieło mojey poruczyłeś ręce. Na moje śię targaſz prawo.

OPHNI.

Smierć ci poruczyłem, nie ochronę tey głowy.

PHINEES.

Czemu przewlokłem, ſłuchay!

OPHNI.

Nie ſłucham.

SAMUEL.

Ach ſwoję nazbyt dobrą pierś, zaklinam, uſuń Phinees! nazbyt ſzlachetną!

PHINEES.

Zatym jedno obieray ze dwóyga Ophni!

SAMUEL.

Zoſtaw mię, zaklinam, inſzey ochronie, która mię niewidoma ſtrzeże; lub jeśli ginąć trzeba, niechay wżdy jeden ginę. Nie dufay, przebóg! ręce na wſzelaką odważney zbrodnię!

PHINEES.

Jeżeli chceſz mię ubeſpieczyć, uchodź.

SA-

Samuel.

Tego własne twe zabrania dobro, i twojego domu; owszem żądam krwią własną, głos grożący nieba upewnić, abym ciebie i dom twóy cały zachował, kiedy uyść inaczey prędkiego nie możecie nieszczęścia, jedno wierząc onemu głosowi.

Ophni.

Mniemam, że nazbyt czekam długo. Dopuściłem skończyć rozmowę, którą nie wiem jaką odprawiłeś z tym zdraycą. Wreszcie Phinees....

Phinees.

Wreszcie Ophni, obieray jedno z tego dwóyga: albo w pochwach, albo w tey piersi ukryy swe żelazo!

Ophni.

Phinees! przez Boga! nie powtarzay mi słów takich, nie czyń nieszczęśliwym i mnie i siebie!

Phinees.

J pókiż bratobóyco groziſz! obym miał oręż w ręku, nie śmiałbyś mi grozić! ale i bezbronnego nie mniemay, abyś zdołał ustraszyć! Karz te piersi, karz, nazbyt one na karę zasłużyły, że nazbyt takiego miłowały brata! Sa-

SAMUEL.

Na moment tylko Ophni, na moment tylko jeden ſwoje zatrzymay gniewy! abyś godne miał ſwey ſceny oczy świadkami. Oto Heli ku temu mieyſcu zbliża ſię. W jego oczach krwią lepiey braterſką pokropiſz ręce.

OPHNI.

Przebóg!

SAMUEL.

J oyca poſpołu święte ſzaty. Mnie też potym położyſz u jego nóg.

SCENA III.

Ci Sami, i HELI *z dwóma Lewitami. Ophni ſtawſzy dotąd oſłupiały, na pierwſze oycowskie ſłowa ucieka.*

HELI.

Przebóg! Jeſzcze zbrodniom nie koniec! Co ten znaczy miecz dobyty? Ach widzę! godzą na młodziana zgubę, który je żąda ſwojemi ocalić przeſtrogi. Na mnie, na mnie złoczyńce ſwoje obróćcie ſztychy! Już doyrzała złość waſza, aby

una-

nakoniec tego dopięła ſwego ſzczytu. Bo lżeyſza to bez mała będzie kara, aniżeli którą w ręku na mnie Boſkim złoczyńſtwy gotujecie ſwojemi.

SAMUEL.

Oycze! zgoła nie zawinił Phinees, owſzem...

HELI.

Weźcie, oycobóycy, reſztę, weźcie reſztę tych nieſzczęſnych dni, abym na takie nie patrzał ſyny!

SAMUEL.

Ach nie winien Phinees bynaymniey!

PHINEES.

W brata też ręku gołe żelazo, nie rozumiey, aby na jaki zamiar....

HELI.

Precz mi z oczu, oycobóyco!

PHINEES.

Na mnie ſię gnieway, lecz nie winuy brata.

SCENA IV.

HELI *z ſwemi dwóma Lewitami*, SAMUEL.

HELI.

Ach! ten miecz dobił reſztę w mo-

moim ſercu oycowſkiey miłości, którey nie ſą godni wyrodkowie. Zoſtawcie mię tu na moment z Samuelem ſamego.

SCENA V.

HELI, SAMUEL, *ſam na ſam.*

HELI.

Ciebie, móy Samuelu, ſzukam. Ale mi nayprzód otwórz, co to miecz ten znaczył, który w ręku goły trzymał Ophni? mylę ſięż, gdy mniemam, że na twoję był wydobyty głowę?

SAMUEL.

Nie dopuści niebo, abym kiedy na tak ciężki gniew zaſłużył twojego domu. O boju Ophni cały zbliżającym ſię myśli, o wyprawie, w którą ſię z świętą udaje ſkrzynią. Dziwnaż, że w takim momencie widziſz zbroyną młodziana rękę? Broń noſi w ręku, broń w myśli, z bronią ſię ſnuje wſzędzie.

HELI.

Znam ſłowa, które nie mniey twą cnotę, jak twóy zalecają dowcip, znam

znam odpowiedź dwojakiey cnoty, co bez fałszu prawdę ukrywa wspaniałe, nieprzyjazną krwawym nieprzyjaciołom. Wiem co mi z odpowiedzi takiey wnieść należy. Nie koi ta serca mego, lecz ono bardziey rozjątrza, gdy widzę na jaką się poczciwość targa moje wyrodne plemię. Wcześnie się taki traf mi zdarza. Szedłem twey zasięgać rady, którą mam otworzyć. Wszakżem nie całą jeszcze był wyrzucił zupełnie słabość z serca, które, wyznaję, iż zbyt mam oycowskie; ale to żelazo, którem w ręku znalazł zbrodnia, udzieliło swego memu umysłowi hartu, i swojey twardości. Jużem postanowił surowie ukarać wyrodki, abym niebieską odwrócił od całego domu karę. Jakim to tylko mam wykonać obyczajem, twoje chcę wiedzieć w tey mierze zdanie, Samuelu.

SAMUEL.

Moje zdanie! Ach co mówisz oycze? Wyroczni Izraela, naymędrszemu na wschodzie mężowi, głowie, która więcey pełnych dni niż włosów liczy, rady ma dawać młodzienia-

nia-

niaſzek ledwie pierwſzym zaroſły mchem?

HELI.

Tak jeſt. Bo kogoż raczey do rad moich użyję, jeśli nie młodziana, którego ſam mi Bóg za przewodnika daje, któremu ſam On ſwoje otwiera rady? Jemu ſiwych ſkroń bynaymniey wybierać nie trzeba, kiedy ludzie chce napełniać mądrością. On za tey naczynie obrał naymłodſze Jakuba naſienie, i przed tego obliczem jeſzcze nie zaroſłym ſpuścił wſzyſtkie ſwe ſędziwe głowy zawſtydzony Egipt.

SAMUEL.

Przez tę miłość, którą niegodnemu oświadczaſz, przez te acz drobne me uſługi, któremi za twą miłość, jako podołam, płacę, przez wſzyſtko wreſzcie, co maſz i na ziemi miłego, i na niebie, i w podziemnym Abrahama łonie, jeśli zawſze moich ſłuchaſz proźb, ſłuchay teraz tey mojey wymówki, a do rady mię dziś ſwojey nie bierz.

HELI.

Więc w nayciężſzey potrzebie od-

mawiaſz mi pomocy ſwojey? i gdyś ſrodze mą ſkołatał duſzę wieściami z nieba, pomodz mi do uſpokojenia nie chceſz oney? Abyś z całymi zachował Helego domem, uſuwaſz ſwego ſtarania? a jedynie grozić mu tylko chceſz? Niebieſkie ogłaſzać mu gniewy, nie żal ugaſzać?

SAMUEL.

Przeſtań oycze! a jako ſłów takich ſłuchać mogę? oſzczędzay, zaklinam cię, oſzczędzay ucha, które jeſzcze po ſtraſzliwym nieba nie odpoczęło głoſie! Jeżeli doświadczyć chceſz mojego ſerca, rozkaż mi w piekła za ſiebie przez miecz ſię przedzierać i ogień, rozkaż około wſzyſtkie narzędzia rozłożyć mąk. Lecz co ſię tycze.... ſłowem radzić ci dziſiay nie umiem zgoła.

HELI,

Pomyśl, światła też dla myśli ſwoich wezwiy niebieſkiego, które na ciebie tak łatwo ſię zlewa. Ja póydę, abym też inſzych mych przyjacioł rady użył, i głów w tym mieście znamienitych ſiwizną. Nim jednak ty mi ſwego mniemania nie wynurzyſz, wſzy-

wſzyſtkich innych poradnikow tym czaſem zawieſzę zdania.

SCENA VI.

SAMUEL.

Gdzie miecz, który tu niedawno nad mym błyſkał karkiem? ten mi wróćcie, o nieba! jeśli jeſt waſza wola! Phinees! na to życiem mię zaſłaniałeś ſwoim, abym ſmutne przeciwko tobie podawał rady! o Heli! na coś mię przyyściem zachował ſwoim, jeżeliś z tak twardemi roſkazami przychodził! Nie, nie był tak twardy miecz, który świeżo do mych godził pierſi. Bo jakąż wreſzcie mam podawać radę? Łagodną-li, i pomną równie na oycowſką Helego miłość, jak na przyjaźń moję, pomną na obowiązki takie, jakie Phinees dopiero na mię wkłada, właſną za mnie pierś narażając?... Lecz jeżeli ſurowſzey wyciągają może kary na ſwe ubłaganie niebioſa, nie tylko woli niebieſkiey ſię oprę, ale i tych zgubię raczey, którym chcę folgować. Więc mamże mym jakim ſurowſzym

zdaniem razić i Helego ſerce, i ſynow głowy? I tę więc odwdzięką oddam za tak świeże zaſługi tak wielkiey przyjaźni? Ach, kto mię Sędzią w tak nieznośnym razie czyni! Kto tak ſmutnym poradnikiem! Jeśli podobało ſię niebioſom objawić mi ſwoje wyroki, radzić jednak i ſądzić mi bynaymniey one nie roſkazały. Z drugiey ſtrony jak Helemu rady odmówię? jak domowi jego całemu pomocy? Lubo wzbraniam ſię, lubo mą ſkłaniam wolą, lubo ſurowſze, lubo łżeyſze przedſiębiorę rady, zawſze troſkliwe o przyjaźń me ſerce zimną ſciſka ręką ſtrach. Uczynię, jak roſkazał Heli, upadnę przed ſkrzynią przymierza, a nuż z pośrzodka Cherubinow jaki nie raczy zſtąpić promyk na tę troſkliwą głowę.

AKT IV.

SCENA I.

HELI, SAMUEL, *ſam na ſam*.

SAMUEL.

Oto wreſzcie, jeżeli każeſz koniecznie tym uſtom otwierać ſobie rady,

dy, które nie umieją jedno milczeć przed twoim obliczem; oto moje zdanie, jeśli co waży. Chcesz-li ukarać syny, abyś surowszą zatrzymał i powszechną karę, która i nad domem twoim, i nad całym może wisi narodem z nieba, tey nayprzód kazni użyć chciey, że z świętą zakażesz przymierza skrzynią iść do obozu, jako mniey godnym wyprawy takiey, i nosić tak święte naczynie. Jeżeli ta kara przycięższym serca ich wstydem utrapi (bo nie masz nad wstyd ukarania cięższego dla młodzi szlachetney) tedy ta kara ichże zabespieczy głowy. Ta kara będzie dla nich, jeśli się nie mylę, zbawienną nader, będzie ta kara dla nich nad dary wszelakie droższą. Bo jako śmiesz wreszcie głowy tak nienawisne niebu, i potępione na prędką onego zemstę, przeciw owey broni posyłać, którą władnie Boga gniewliwe ramię? Jako te głowy pod świętą śmiesz przybliżać skrzynię, co brzmi przeciwko onym wyrokami? Oto, co drobne moje może ci radzić zdanie. Niech dzis do obozu

nie

nie idą, niech pod zapalczywą ſamochcąc Naywyżſzego rękę nie natrącają ſię. Drogo koſztować to zuchwalſtwo może. To nayprzód postanow, ztąd nayprzód ſwoje ukaranie poczynay, aby cię bie w onym nie uprzedził Bóg. Co zaś daley maſz czynić, mądrość ci twoja poradzi, albo mądrzy Jzraela ſtarcowie, albo wreſzcie nieba ſamego wyrok twoją przebłaganego pobożnością.

HELI.

Wcześnie obu tu idących widzę.

SAMUEL.

Więc mnie ſię uchylić ztąd dopuściſz, oycze; zwłaſzcza jeżeli chceſz moję *wykonać* radę. Nienawiść tey ſię cała na mnie zwali. Zem jeſt tey zrzódłem, przytomność moja ſama za pewny ſtać będzie dowod dla nazbyt ku mnie podeyrzliwych ſerc.

HELI.

Owſzem chcę, abyś był mego męſtwa w tym momencie świadkiem, i uyrzał, jako ſerce nakonieć moje pęta zbyteczney ku ſynom zrzuciło miłości. Ty ſię nie maſz bynaymniey

za-

żadney nienawiści lękać. Wdzięczność ci winni raczey za twe rady wyrodkowie oni, których godnemi nie ſą, owſzem którzy ſą warci ſurowſzego nierównie ſądu. Wreſzcie przeciw złości zbrodnikow jam cię obronić zdolny; duſay wreſzcie, wreſzcie zoſtaję mężem: potrafię te okrócić niecnoty, potrafię tobie beſpieczeńſtwo ſprawić.

SCENA II.

HELI, SAMUEL, OPHNI, PHINEES.

OPHNI.

Prędkiego, oycże, twego oczekiwamy ſkinienia. Wieśniacy bliſko murow mieſzkający przybiegli zadyſzeni do miaſta, oznaymując, że odgłos trąb wojennych ſłyſzeli. Tak coraz zbliża ſię woyna, tak ſię coraz bardziey coſa woyſko. Na niczym nie zbywa gotowości naſzey do ruſzenia świętey ſkrzyni okrom roſkazu twojego.

HELI.

Ruſzy wnet przymierza ſkrzynia, lecz

lecz do was nic ona nie należy wyprawa.

Ophni.

Nie należy?

Phinees.

Nie nas-żeś wyprawy oney uczynił wodzami?

Heli.

Oby ten był tylko jeden błąd, którym w moim popełnił około was życiu! J jeſzczeż gruba wam z oczu nie ſpada zaſłona! Jeſzczeż nie mogą waſzego letargu przerwać ani ludzkiey nieſławy głoſy, ani niebieſkich pogróżek gromy? Wy temi tykać świętey ſkrzyni odważycie ſię rękami, które ſię targać śmieją na pierwiaſtki ſamemu oddane Bogu! rękami, które tylu innych ſą pełne zbrodni! Więc tę ſtraſzliwą ſkrzynię i na ſwe i na całego Jzraela podnoſić chcecie głowy, i na tę wreſzcie nieſzczęſną głowę, która na ſwą hodując was zgubę poſiwiała! Ale nie bez pomſty zginę przez was! Przykładna na was kara tey ruinę poprzedzi głowy, która świeżą w naypóźnieyſzych wzbudzi potomkach trwogę, i która zbyt

dłu-

długą nadgrodzi moję cierpliwość. Jdźcie, nie jak świętą macie nieść skrzynię, myślcie, lecz jako ciężar waszych macie zbrodni znosić przed sądem, który rychło w bramie miasta na was zebrany usiędzie.

OPHNI.

Oby się te pogróżki na nas twoje sprawdziły oycze! bylebyś tylko sam żył i swoje i nasze naydłużey lata! Jeśli twojey za nas niebo grozi głowie, tedy nie mamy tyle w żyłach naszych krwi, którąby słuszna było poświęcić na błagalną za ciebie ofiarę. Jeśli tey potrzeba, wnet tę każ wytoczyć całą za twych resztę dni. Nie chciey bynaymniey nas złytecznie miłować. Owszem raczey sprawiedliwości żądamy, aniżeli miłości. Czyń, jaką żądasz, z nas ofiarę. Jeżeliś tylko pewien, że tey niebo wyciąga. Inaczey jednak patrzay, abyś w synach oszukany swoich sam nie szkodził sobie. Bo któż wreszcie nas za zbrodnie ogłasza? kto za nas grozi niebieskiemi gniewy? Ludzie oto, którzy sami Prorokami siebie mianują, ci zrzódłem wszystkiego,

ci

ci wszystkich trwóg, ci na nas sami i niebo poruszają i ziemię. Bo czy czynią-ż jakie dziwy owi ludzie, jakie czynić zwykli Prorocy? Ł mią-ż oni prawa jakie żywiołow, aby na twoję zasłużyli wiarę? Nic o tym zapewnie jeszcze nie słyszało Jzraela ucho. Więc ty próżnemu wierząc ludzi onych słowu, sąd już główny na nas, i srogie gotujesz kary, i uskarżasz się jednak, że nas miłujesz nazbyt! owszem wierzysz tym i słom, które ledwie jeszcze pierwszy otacza mech, owszem wierzysz sennym nawet uszom, kiedy chodzi o nasz los, i uskarżasz się jednak, że nas miłujesz nazbyt; owszem co gniewy twoje naybardziey na nas podnieca, jest to głos młodego Proroka, co wyznaje sam, że grom Niebieski razil mu ucho na nocnym złożone węzgłowiu. Karz nas jednak, karz oycze, karz nawet jak naysurowiey, bylebyś tylko spokoynieyszy żył, choć bez nas; wszakże tego nam tylko oszczędź, jeśli rzecz można, słowa, tego nam tylko szczędź słowa: że nas miłujesz *nazbyt*.

He-

HELI.

Nieba!... Ty zaś Phinees co odpowiadafz?

PHINEES.

To famo, co Ophni, że umrzeć za oyca gotowem. Dodaję nadto, że młodość moja nazbyt ślifka i wolna godna jeft fądu i ciężkich kar, któremi grozifz. Dodaję, że jeśli na to zezwolić raczyfz, tedy i własną karę i braterfką ta na fiebie głowa przyymuje. Bóg dobry da fię jedną, mniemam, przebłagać ofiarą, która dwojaką na fiebie przyymuje kaźń. Ty zaś żyć tym fpofobem nie zupełnie ofierocon będziefz.

HELI.

Ach nieba! jefzcze fię odzywa przez ich ufta cnota! Jefzcze ta w ich fercu nie wygafła do fzczętu! Słuchaycie!... Co mam ftanowić!... Jednak od wyprawy hamuycie ochocze ftopy, a od świętey fkrzyni i od oręża ręce. Z onym świętym w oboz naczyniem nie póydziecie.

OPHNI.

Wyday raczey, o oycze! wyrok śmierci, ten będzie znośnieyfzy nieró-

równie. Bo cóż nam wreſzcie po życiu taką obciążonym nieſławą? Tę jeśli tak złość ludzka teraz rozſzerza, fałſzywych głoſy wſpomaganą wieſzczkow, do jakiey ona miary nie dóydzie, jeżeli wyrok wykonaſz, któryś wydał? Ze nikczemnie w roſkoſzach czerſtwy przepędzamy wiek, (głośne nazbyt o tym wieści) i przy ſtołach tylko pod tłuſtemi ſkrzypiących ofiar pierwiaſtkami. Więc możnaż bardziey będzie takie potwierdzić pogłoſki, jako gdy w takiey dziſiay potrzebie ludu nie wynidziemy do obozu, nawet z ſkrzynią świętą! Pierwſi, powiedzą, do brania ofiarnych pierwiaſtek świętſi nad ſamę ſkrzynię świętą Helego ſynowie wychodzić nie chcą w pole, ani pierwſi, ani oſtatni, kiedy wychodzi ſama przymierza ſkrzynia. Ja takich abym nie ſłyſzał przymówek, w nayględbſzych ſię chętnie ſkryję piekłach, do których ten mi miecz otworzy drogę, jeżeli nie chceſz, abym go użył w boju.

PHINEES.

Słuſznie ſię, oycze, Ophni od twojego

jego wyroku wymawia tak uſilnie. i ja też przekładam nad ten śmierć ochotnie; owſzem bym trzy miał duſzy, wſzyſtkie razem jednymbym tchem wyzionął raczey, niżbym miał widzieć, iż naſza i twoja razem hańba do takiego zachodzi ſtopnia; niżbym pono oglądał cały poburzony narod na twóy dom o naſzey pozor nikczemności, a miecze i ognie od Filiſtyńſkich odwrócone karkow, około twych dachow błyſkające. Broń, oycze, i nas i ſiebie ſwojego wyroku, albo broń nas od właſnego naſzego miecza. Oręża tego nie przypaſaliśmy darmo. W Filiſtyńſkiey lub naſzey krwi on ſię zagrzeć muſi.

HELI.

Mniemam, że z nieba zapewnie ten ſię proſto ſpuſzcza promień, który tak nagle w mym umyśle ſprawę rozſtrzygać zda ſię. Możnaż lepiey niebioſa błagać, czym bykolwiek one były obrażone, jako krew ſwoję i życie za lud onym miły, za cześć onych i prawa, i za naczynia onym poświęcone narażać?

OPH-

OPHNI.

Z nieba głos ten na ciebie zſtąpił!

PHINEES.

Jawnie przez ciebie przemówiło niebo!

OPHNI.

To pewnieyſzy głos z nieba, niż głoſy one, któremi tłumić twą uſiłują mądrość mniemani wieſzczkowie.

HELI.

Więc kwapcie ſię wreſzcie do obozu. Nie lękaycie ſię temi tykać ſię świętey ſkrzyni dłońmi, które świętey poświęcacie woynie. Walczcie tak, abyście dziſiay i przed ludźmi ſwoię nieſławę, i przed Bogiem ſwoje zmazali winy, albo krwią przeciwną, albo właſną, albo pomieſzaną poſpołu. Nie wątpcie, że w tak świętey mężnie ſprawie wojujących łaſkawym was cieniem Boſkie okryje naczynie, że pod onym cieniem do zwycięſtwa otworzycie ludowi drogę, które poprzedzającą hoynie nadgrodzi klęſkę. Jdźcie więc, i już ruſzcie ſkrzynię, ſkoro wnet oſtatnią odprawię ofiarę, i po tey uroczyſte dam błogoſławieńſtwo.

OPH-

OPHNI.

Tak wreſzcie zwyciężamy dziś, o Phinees, Proroki naſze! Zwyciężemy Filiſtyny równie.

SCENA III.

PHINEES, SAMUEL.

PHINEES.

Zoſtaway ſzczęśliwie, zacny pobożney owocu Anny! zoſtaway ſzczęśliwie, czy mię ſzczęście czeka, czy nieſzczęście. Jeżeli z gniewliwey Boga uydę ręki (Filiſtyńſkich ſię bowiem nie lękam rąk) obiecuję żyć odtąd twojey godnieyſzym przyjaźni. Jeżeli zaś mam umrzeć, umrzeć też będę ſię ſtarał śmiercią taką, któraby była twojego godną przyjaciela. Dłuższego pożegnania broni czas. Jeżeli ręką władany mię wyżſzą zgładzi nieobrzezańca miecz, tedy tę jedynie czuć będę w ſercu ranę, cięższą nad ranę onę, którą polegnę, żem nazbyt późno Samuela poznał. Zoſtań....

SA-

Samuel.

Ach ſam raczey zoſtań, o Phinees! zoſtań, a z bratem ſię podziel, on niechay z świętą, jeśli tak koniecznie żąda, idzie ſkrzynią, ty zaś pozoſtań przy ſędziwym oycu.

Phinees.

W twojey oſobie ſiebie drugiego przy oycu zoſtawuję.

Samuel.

Ach ſłuchay! ſłuchay, Phinees! mey rady!

Phinees.

Co śmieſz radzić? Już ſię ſkrzynia przymierza ruſza, ja w tym momencie mam cofać haniebnie krok. Będzież dzieło takie przyſtało na Helego krew, albo na twojego przyjaciela? Jakie cię kłócą zbyteczne trwogi? Ociec nam dobrze wroży, ociec nam błogosławi. W naywyżſzego Kapłana wſzak głos powſzechnie Boſki przebywa uściech. Serce uſpokoy, rozpogodź czoło. Tuſzę, iż cię rychło weſoł weſołego oglądam. Zoſtań wreſzcie, głos trąby ſłyſzę, który oznacza, że ſię już święte naczynie ruſza na Pohańſkie głowy.

Ten

Ten ostatni znak me z mieyſca tego odrywa ſtopy. Lecz tu myśl, tu me zostawuję ſerce, lubo to zwycięſtwa napełni weſele, lubo przeſzyje nieprzyjaźne żelazo.

SAMUEL.

Jdź więc, idę i ja poſpołu z tobą.

PHINEES.

Dokąd?

SAMUEL.

Uyrzyſz.

PHINEES.

Ach przebóg! chceſzli do obozu iść z nami? J lata ſame ledwie zdolne, i któż ſię podporą zoſtanie oycu?

SAMUEL.

Ociec ſam zezwoli: ku niemu kwapię.

PHINEES.

Kwapię i ja, byś ty kwapił próżno.

AKT V.

SCENA I.

SAMUEL.

O dniu ſmutny! żadnym moim w tobie los zamiarom nie płuży. J rady moje, które przymuſzony wynurzam,

i moje prozby, któremi nalegam, równie nie mają ſkutku. Jużbym w tym pono momencie zaſłaniał wzajemnie pierſiami memi te pierſi, które mię na tym nie dawno zaſłoniły mieyſcu. Lecz miłość razem ku mnie oyca, i młodſzego ſyna, razem nienawiść ku mnie ſtarſzego na to ſię zgodziły, abym do obozu puſzczony nie był. O Phinees! Phinees! na jak ſurową karę ſerca tego z twoją ſię ku mnie odkryłeś przyjaźnią! Los móy jeſt opóźnienie, loſem mym czas jeſt póżny! Póżno wyſzedłem ze wnętrzności niepłodnych matki, póżno mi głos objawić podobało ſię niebu, który prędką Helemu grozi zgubą. Póżno wreſzcie Phinees z ſwą ſię mi otwiera przyjaźnią. Wſzakże.... wſzakże może jeſzcze i wcześnie doſyć. Na cóż ſmutnym myślom roſpuſzczam wodze? Wiemże ja, co o loſie przyjaźney głowy wieczny uchwalił wyrok? Dziśże to niebo koniecznie ma ſwe wypełniać groźby? Nie odwleczeż chwili? lub też, jako dobre dziwnie, nie może-ż ono i w wieczną te nawet niepamięć puścić,

ścić, lubo oyca poruſzone pobożnością, lubo cnotą jednego z ſynow, lubo nakoniec temi, co ſię z tych oczu ciſną, acz niegodnemi łzami? Owſzem wſzyſtko jeſzcze dotychczas dobrze wrożyć zdaje ſię. Naywyżſzego Kapłana błogoſławią wyprawie uſta, i rokują dobrze; uſta, które ſą wyrocznią prawdy, i przybytkiem częſto naywyżſzego głoſu. Poſłaniec z obozu dobrey pierwſzą wróżki wiadomość nieſie, że ſię woyſka ſzykują do bitwy na onym mieyſcu, gdzie leży kamień nazwany kamieniem pomocy. Ale naywiękſzą ſama ſkrzynia owa pomocą, ſkrzynia Jerychońſkich burzycielka murow, która kryje ſwym cieniem drogą dla mnie głowę. Takżeby ſię miał Bóg rozgniewać na Helego plemię, aby właſney owey nie miał swey na względzie ſkrzyni? Nie Samuelu! przyymiy, przyymiy pociechę do serca! Przyymiy dobrą nadzieję, w dobrey jeſt ochronie, w beſpiecznym cieniu głowa, o którą ſię lękaſz. Ale co widzę? Poſłaniec tu zbliża ſię drugi, Lewita, co go od ſwojego za wyprawą boku poſłał

Heli, aby troſkliwemu wierną jak nayprędzey przynoſił wieść, dokądby ſię boju ſkłoniła ſzala. Ach drżę! ſerce we mnie gwałtownie bije! W tym więc momencie mam fatalną odbierać wiadomość, jaki los potyka Jzraelſki lud, jaki ſkrzynię świętą, jaki przyjaciela!

SCENA II.

SAMUEL, LEWITA *pierwſzy*.

LEWITA.

Samuela!

SAMUEL.

Mów, co ſię ſtało.

LEWITA.

Heli ciebie wzywa, aby dzielił z tobą powſzechną radośc.

SAMUEL.

Więc zwyciężył Jzrael? zwyciężyło drogie, dane z nieba przez Moyżeſza ręce, naczynie?

LEWITA.

W naygłębſze to wnieſione nieobrzezańcow ſzyki, rwie one ſzczęśliwie i mieſza. Strach ono poprzedza blady, i ucieczka; a śladami one-

onego śmierć następuje szeroko, siejąc obfite rany...

SAMUEL.

Phinees co?

LEWITA.

Phinees równie jako Ophni podobni dwóm młodym lwom, które świeża na stado czerstwość i ochota pędzi, wszędzie skrzyni przechodzącey uściełają drogę Filistyńskiemi trupami, i poprzedzają onę równie, jak wichry poprzedzają chmurę, co wywracać zwykły stare na Libanie cedry.

SAMUEL.

Ach! jaka radość! jako oddycham!

LEWITA.

Ciesz się słusznie! Wygrało Boskie naczynie, wygrało Helego plemię, wszystkom widział, jako na dłoni, wstąpiwszy na wysoki wierzchołek oney skały, którą zowią kamieniem pomocy. Bo tam przyszło do bitwy: co samo dobrą już było wróżką.

SAMUEL.

Gdzie Heli?

LEWITA.

Kędy przy drodze na móy powrót czekał, tam czeka i na ciebie.

SAMUEL.

Spieſzmy! lecz kto tu zbroyny?...

LEWITA.

Wieść o bitwie zupełnie dokończoney przynośić muśi.

SCENA III.

Ciſami i ZOŁNIERZ *z bitwy*.

ZOŁNIERZ.

Gdzie Heli? gdzie ſą.... do bram na mury niech natychmiaſt biegą wſzyſcy!

SAMUEL.

Przebóg!

LEWITA.

Niebioſa!

ZOŁNIERZ.

Ach tu ciebie znayduję! Do ciebie też nioſę ſzczegulne, Samuelu, zlecenia,

SAMUEL.

Mów przez nieba! co ſię dzieje z woyſkiem?

ZOŁNIERZ.

Zwyciężone.

SAMUEL.

Ach niebioſa!

LE-

LEWITA.

Ach nowino!

SAMUEL.

Co z ſkrzynią przymierza?

ZOŁNIERZ.

Wpadła w nieobrzezańcow ręce.

SAMUEL.

O pioruny nie ſłowa!

LEWITA.

Ach co ſłyſzę!

SAMUEL.

Jak? ſkrzynia przymierza wpadła w nieprzyjacioł ręce?

ZOŁNIERZ.

Wpadła.

LEWITA.

Przebóg!

SAMUEL.

O ſzczęśliwi, którym śmierć na krwawym placu zawarła uſzy, aby takiey nie ſłyſzeli wieści! I cóż więc Jzraelu więcey już możeſz utracić! cóż więcey utracić możeſz! Niebieſkiego znak z ſobą utraciłeś przymierza, niebieſkiey łaſki rękoymią! Wielkać łaſka Naywyżſzego dała tę, wielkać jego zapalczywość tę dziſiay odbie-

odbiera! Lecz czy czuję, czy nie ſen mię okrutny trapi!

LEWITA.

Jaką przebóg! wieść nam nieſieſz człecze! Jako ſtać ſię mogło, co głoſiſz? Wſzak dopioro....

ZOŁNIERZ.

Od boku tey przychodzę ſkrzyni, którey utratę oznaymuję. Nazbyt ſą pewne, które ogłaſzam, wieści.

LEWITA.

Jakże? nie onaż to teraz świątość raczey świeżo ſtrach i ucieczkę wſzędzie między naygłębſzemi pomieſzanych rozrzucała Filiſtynow rzędami?

ZOŁNIERZ.

Tak jeſt. Nim legli ſynowie naywyżſzego Kapłana.

LEWITA.

Synowie naywyżſzego Kapłana legli?

ZOŁNIERZ.

Tak jeſt?

LEWITA.

Ach!

SAMUEL.

Tey mojemu jeſzcze tylko ſercu nie ſtawało rany. ZOŁ-

ZOŁNIERZ.

Ale tych śmierć odjęła Lewitom ſerce, a potrwożonym ono wróciła Pohańcom.

SAMUEL.

Ach! więc już cię nie uyrzę Phinees!

ZOŁNIERZ.

Tym łatwiey zoſtała święta ſkrzynia utraconą, im głębiey w przeciwnych była ſzykow wnieſiona przerwy.

LEWITA.

O Boże!

SAMUEL.

Obaż Helego polegli ſynowie? Poległ Phinees?

ZOŁNIERZ.

Ophni i Phinees, polegli oba.

SAMUEL.

Wypiłem więc aż do dna kielich naywyżſzego gniewu! Ty ſam o Boże! ty ſam, co mię twą mocną ręką dotykaſz, tąż mię ſam mocną też wſpieray ręką! Mów mi, przyjacielu, jak poległ Phinees?

ZOŁNIERZ.

Poległ Ophni z procy rażony w gło-

głowę, poległ Phinees zwalony pocifkiem, który mu w lewym utkwiął boku. Ophni takież właśnie oczy, jakiemi Filiftyny trwożył, wzniośł obalony ku niebu, i bluźnić fwoim zdawał fię wzrokiem. Phinees, kiedy mu lice odmieniała bladość, oczy też groźne i czoło odmienił, i z pokorą mdlejące wznofił ku niebu zrzenice; więc gdy temi fkinął na mię, bo ftałem blifko, a jam fię kniemu nachylił, on uftającym głofem rzekł: ktośkolwiek jeft, niech z uft twoich bierze przez ciebie pożegnanie móy ociec, niech bierze Samuel. Oftatnim było jego fłowem imię twoje.

SAMUEL.

Nie chciałeś mię mieć, nie chciałeś mię mieć towarzyfzem fwoim o Phinees! abyś lepiey mey poradził dufzy, którą teraz późno z ciała prawie żal wycifka. Tufzę, że w tymbyśmy teraz momencie razem byli, razem nie tylko w jednym kraju śmierci, lecz i w jednym oney krainy mieyfcu. Aniby żadney jak mniemam między nami ściany nie położył pod ziemią przebłagany wyrok. Teraz

o ile

o ile w słabym ciele tym dusza moja cierpi! Utrata świętey skrzyni, utrata twey głowy, Phinees! dwa to są żale zbyt na jedno ciężkie serce. Trway jednak serce moje, trway, któż teraz oyca, już nie oyca, nędznego pocieszy, jeśli ja ustanę, który krzepić dobrego starca winienem, którego on ma za trzeciego syna? Lecz co to znowu?.... Joel bieży!

LEWITA.

Joel potrwożony!

SCENA IV.

Ci sami i LEWITA *drugi*.

LEWITA *drugi*.

Samuelu!.... Niebiosa!.... nigdy Bóg więcey nie wylał swojego gniewu na tę ziemię, jako w dniu dzisieyszym!

SAMUEL.

Wiem Joelu. Ten żołnierz z obozu wszystkie nam nasze oznaymił nieszczęścia.

LEWITA *drugi*.

Lecz Heli..... Ach naylepszy starcze!..

SA-

Samuel.

Przebóg; co mówiſz o Helim?

Lewita *drugi*.

Heli nie żyje!

Samuel.

Ach Boże!

Lewita *pierwſzy*.

Ach Boże Jzraela!

Zołnierz.

Ach czyż jeſzcze nie koniec klęſkom naſzym!

Samuel.

Zlituy ſię Jzraela Boże! odbiegają mię ſiły, ledwie nie odbiega przytomność! Ach co mówiſz Joelu?

Lewita *drugi*.

Kiedy z wieści o pierwſzym potyczki loſie ſtarzec ſię raduje, kiedy na cię czeka; kilku razem pył podnoſi na drodze, uchodzących z pod Filiſtyńſkiego żołnierzów miecza. Z tych gdy jeden wezwany zbliży ſię, przeraza ucho piorunem troiſtym. Klęſkę oznaymuje woyſka, na tę wieść Kapłan ſpuści czcigodną ku ziemi głowę; doda żołnierz śmierć obu ſynow, na to podnieſie ſtarzec ku niebu oczy, podnieſie głębo-

głębokie westchnienie. Wyrzecze wreszcie żołnierz, że wzięta skrzynia przymierza, na ten się ucha raz tak wezdrgnie Kapłan, tak się targnie przerażony wstecz, że krzesło pod nim runie nawznak, a jemu przez złamaną szyję ostatni przeciska się duch.

SAMUEL.

O straszna ręko!...

LEWITA *pierwszy*.

O dniu czarny!

ŻOŁNIERZ.

O dniu okropny!

SAMUEL.

O wielki równie w twych karach jak w twey dobroci Boże! Lecz wzrok ćmi się, pot zimny z mdłych się wyciska członkow. Nie idę-li za wami o dwie ulubione dusze!

LEWITA *pierwszy*.

Mdleje! wspieraycie!

LEWITA *drugi*.

Przebóg!

ŻOŁNIERZ.

Ach ty, ty przynaymniey, *ty* na nędznego pociechę Jzraela żyy!

LE-

Lewita *drugi*.

O przewłóczney lecz tęgiey ſurowości prawico! Skryy wreſzcie, kryy miecz twojego gniewu do litości pochew.

KONIEC.

MARNOTRAWSTWO

KOMEDYA.

OSOBY

PANDOLF.
ERNEST *ſynowiec Pandolfa.*
DORANT *przyjaciel Erneſta.*
ORONT *przyjaciel Pandolfa i Doranta.*
FRONTYN *Lokay Erneſta.*
KAWALER *de la Mode.*
DWAY KUPCY.
KUCHARZ.
STANGRET.

Scena w domu Pandolfa.

AKT I.

SCENA I.

ERNEST, FRONTYN.

ERNEST.

Wstydź się Frontynie. Jakem Ernest, jesteś człowiek małego umysłu.

FRONTYN.

A ja jakem Frontyn, to większego nie ma nad WMPana marnotrawcy w Europie, w Azyi, w Afryce, i w Ameryce, i choćby jeszcze piątą część świata wynaleziono.

ERNEST.

Cha, Cha, Cha!

FRONTYN.

WMPan się śmiejesz!

ERNEST.

Mam płakać?

FRONTYN.

I bardzo, i gorzkiemi łzami! Ledwie tydzień minął, jak Pan Pandolf, stryy WMPana wyjechał, a i szkatuła i dom już pusty, tak się WMPan prędko zawijasz. Przynaymniey odday mnie WMPan do schowania te pięćdziesiąt czerwonych - złotych, które

tey nocy wygrałeś, bo WMPan one w momencie ſtraciſz.

ERNEST.

Już onych nie ma.

FRONTYN.

Już? gdzie?

ERNEST.

Tey nocy w karty przegrałem. Cha, cha, cha.

FRONTYN.

Przyſięgam, że WMPan wſzyſtko tracąc i Frontyna ſtraciſz, bo wreſzcie póydę precz, nim ſtryy WMPana powróci.

ERNEST.

Co ty mówiſz? Ja pierwiey koſzulę niż Frontyna ſtracę. Frontyn móy naywiękſzy dochód. Jego przemyſł, jego dowcip ſtoi mnie za Peruańſkie góry.

FRONTYN.

Nic te wſzyſtkie piękne ſłowa i te pochlebſtwa nie pomogą. Żadne góry, żadne minery, WMPanu pieniędzy nie naſtarczą. A Frontyn uciecze od WMPana aż za Peruańſkie góry, i grzbiet ſwóy będzie muſiał unoſić od kija Pana Pandolfa, który mnie

zle-

zlecił, abym zaraz do niego oznaymienie posłał, skoro WMPan pieniądze rozrzucać poczniesz.

ERNEST.

Ty tego nie uczynisz.

FRONTYN.

Więc muszę uciekać.

ERNEST.

Kiedy ty ucieczesz, to i ja z tobą.

FRONTYN.

A kiedy WMPan ze mną, to ja nazad powrócę.

ERNEST.

A kiedy ty powrócisz, to i ja powrócę.

FRONTYN.

A kiedy WMPan zemną powrócisz, to ja drugi raz ucieknę.

ERNEST.

A kiedy ty drugi raz ucieczesz, to ja znowu z tobą ucieknę.

FRONTYN.

To ja w łeb sobie strzelę, kiedy od WMPana nie będę się mógł odwiązać.

ERNEST.

A ja z drugiego pistoletu sobie.

I tak na tamtym świecie przynaymniey razem się z sobą złączemy.

FRONTYN.

Ja i z tamtego świata powrócę, kiedy WMPan za mną póydzieśz.

ERNEST.

To i ja z tamtego świata za tobą.

FRONTYN.

WMPan przynaymniey pamiętay na okoliczności. Zeby to przynaymniey inszego czasu, a to teraz, kiedy chodzi stryjowi WMPana o połowę majątku, kiedy w interesie tey właśnie sprawy pojechał, WMPan pieniądze rozsypujesz jak piasek, a to i te nawet, które WMPanu stryy na poparcie teyże samey sprawy zostawił!

ERNEST.

Jeżeli móy stryy sprawę przegra, dla mnie będzie tym lepiey.

FRONTYN.

Jak to?

ERNEST.

Bo wygra Dorant, który go zapozwał, a który móy jest przyjaciel, i mnie pieniędzy pożycza; stryy zaś jest skąpy, i mnie mało daje.

FRON-

Frontyn.

Podobno już i wygrał. Wieść chodzi, że postarał się Pan Dorant o przyspieszenie dekretu, nim Pan Pandolf powróci. Jeżeli tak jest, co będzie, kiedy Pan Pandolf powróci, a znaydzie razem przegraną sprawę, razem w domu pustki?

Ernest.

Na Frontynie nadzieja!

Frontyn.

Co Frontyn poradzi? Dziesięciu Frontynow takiey rozrzutności nie da rady, jaka jest WMPana.

Ernest.

Nie psuy mnie dobrey myśli. Oto kucharz nadchodzi, abym mu zadysponował obiad, na którym mam mieć dziś Doranta, i innych gości. Do takiey dyspozycyi trzeba wesołego humoru.

SCENA II.

Ci sami, Kucharz.

Ernest.

Przyjacielu, obiad dziś żeby był na dwanaście półmisków. Ku-

KUCHARZ.

Półmiſków, Moſpanie móy, jeſzcze tyle doſtaniem może, choć pożyczym gdzie, Moſpanie móy, ale co dać na tych pułmiſkach, to ſęk!

ERNEST.

Cóż to? czy już jeść nie ma czego w tym domu?

KUCHARZ.

Pan zabrał z ſobą *klucze*, Moſpanie móy; a co zoſtawił na cały mieſiąc, to my, niech to będzie bez obrazy uſzu WMPana, przeſzaſtaliśmy w jednym tygodniu. Zawſze bale, zawſze po dwanaście półmiſkow, tak, że dziś i na dwa trudnoby ſię zdobyć, Moſpanie móy, żeby nie móy przemyſł, Moſpanie moy, ale ja umiem ſobie dać obrót. Ja u ſtryja WMPana ſłużę za czterdzieści rublow, bo dobry człowiek, ſzkoda grzeſzyć Panu Bogu, ale komu inſzemu nie ſłużyłbym i za ośmdzieſiąt. Ja Moſpanie móy kiedy wyſadzę ſię...

ERNEST.

Ale poczekay, potym będzieſz ſię chwalił, tymczaſem mów mi, jak dziſieyſzy obiad zgotujeſz.

KU-

KUCHARZ.

Ja też to mam mówić, Mośpanie móy. Oto strzelec WMPana zabił wczoray zająca, bo słowa nie ma, jednak on nie zawsze pudłuje. Słowa nie ma, Mośpanie móy, zając piękny, i spory. Otoż na pierwszym półmisku dam uszy, Mośpanie móy, szpikowane *słoniną*, w żółtym sosie.

ERNEST.

Uszy!

KUCHARZ.

Z głowy rosoł zgotuję, Mośpanie móy, a przypiekane skoki dam do sałaty, mośpanie móy. Z jedney połowy udźca zgotuję bigos, a z drugiey pasztet, a przodek zostanie jeszcze na jutro, Mośpanie móy. Z wątrobki dam siekanko, Mośpanie móy, a flaczki dam na osóbnym półmisku, Mośpanie móy, pięknie i czysto przemyte, Mośpanie móy. Zrobiemy z kwaszeniny galaretę, Mośpanie móy, damy rzodkiew ułożoną w piramidy, Mośpanie móy, pod bukietem z pietruszki Mośpanie móy, uszatkujem kapustki drobno, delikatnie, pięknie, chędogo, Mośpanie móy...

ER-

ERNEST.

Stóy, ſtóy. Kiedy taki chceſz dawać obiad, to lepiey ja ſam dokąd pojadę, i poſzukam obiadu. Idź, i powiedź ſtangretowi, żeby mnie założył karetę.

KUCHARZ.

Tym lepiey, Moſpanie móy. Zając tym czaſem ſkruſzeje, Moſpanie móy. *Odchodzi.*

FRONTYN.

Tak to Moſpanie, kto nazbyt hoynym bywa dla drugich, ten być potym muſi ſkąpym i dla ſiebie,

ERNEST.

Jak ja czeſtowałem drugich, tak teraz drudzy niech czeſtują mnie.

FRONTYN.

Nie wiem, czy ſię ta nadzieja uda. Stołowi przyjaciele nie bardzo ſię znać zwykli na prawach wdzięczności.

ERNEST.

Jednak dziś obiadu doſtanę, a nadto ſpodziewam ſię jeſzcze że doſtanę pieniędzy, i znaydę gdziekolwiek kredytora.

FRON-

Frontyn.

WMPanu ma kto pożyczyć pieniędzy? WMPana wſzyſcy tu w tym mieście znają jak zły ſzeląg.

Ernest.

Jeżeli nie gdzie indziey, to przynaymniey zapewnie doſtanę u mego Doranta.

Frontyn.

Który już WMPanu tyle pożyczył? a do tego który teraz ma ſprawę z ſtryjem WMPana? Onby teraz pożyczał ſam przeciwko ſobie.

Ernest.

Jednak doſtanę gdziekolwiek.

Frontyn.

Jedź WMPan, jedź; oto wcześnie ſtangret WMPana. Szukay WMPan obiadu, a pieniędzy jeſzcze bardziey, żeby przynaymniey tych trzechſet rublow doſtać, które ſtryy WMPana na poparcie ſprawy zoſtawił, a które WMPan przemarnowałeś; aby te przynaymniey ſtryjowi w całości wrócić.

SCE-

SCENA III.

ERNEST, FRONTYN, STANGRET.

STANGRET

WMPan kazałeś założyć konie?

ERNEST.

Tak jest.

STANGRET.

Nie można *Mospanie*. Nie mogę mówić, że się koni naſze łóżkiem bawią, bo nie mają łóżka biedne zwierzątka, nie mają słomy, na którey leżeć, ale jednak są słabe, bo nie ma Mospanie ani obroku, ani siana za co kupić.

ERNEST,

Tybyś chciał, żeby konie twoje ustawicznie żarły! Wszakże stoją, nic nie robią?

STANGRET.

Ze stoją, dla tego nie mają jeść? Psy WMPana myśliwe ledwie nie jedzą frykasow, a biednym konikom zbywa na sianiei i na owsie!

ERNEST.

Co inszego psy, co inszego konie!

STAN-

STANGRET.

Owſzem co inſzego konie, co inſzego pſy! Pſy noſzą WMPanu zające, a konie mają honor noſić ſamego WMPana, i godność Jego ſtryja, Pana Pandolfa. Zeby nie konie Moſpanie na świecie, toby naywięksi Panowie chodzili piechotą, a gdyby moſpanie nie ſtangreci, to naywiękſi Panowie muſieliby ſami ſiebie powozić.

ERNEST.

Tylko ty idź, nie dyſputuy ſię, a zakładay konie.

STANGRET.

Nie Moſpanie, ja tego dobrym ſumnieniem uczynić nie mogę. Ja Moſpanie moich koni w takim ſtanie, w jakim ſą, uderzyć biczem miałbym ſobie za ſzkrupuł. Kiedy one mają ginąć, niechay raczey giną w cudzym niż w moim ręku. Albo każ WMPan do ſwego pojazdu założyć gończych, których maſz tak wiele, a ſtrzelec niech powozi. Ja ſłyſzałem Moſpanie, że w Syberyi jeżdżą pſami, ſprobuy i WMPan.

ER-

ERNEST.

Pódź-że precz! obeydę śię i bez ciebie.

STANGRET.

Ale konie Mośpanie nie obeydą śię bez WMPana. Day WMPan na śiano i na obrok, albo każ konie pozabijać.

ERNEST.

Mówię, pódź precz, potym przyydzieſz.

STANGRET.

A tym czaſem konie z głodu zdychają. Ja Mośpanie na nędzę bliźniego patrzeć nie mogę. Jabym oderwał od właſney gęby, ale i ſam nie bardzo co mam jeść z łaſki WMPana. Albo każ WMPan dać jeść koniom, albo ja tak z całego tego domu wynidę precz, jak teraz z tego mieyſca wychodzę.

SCENA IV.

ERNEST, FRONTYN.

FRONTYN.

Otoż Mośpanie jak rozrzutność prowadzi do ſkępſtwa.

ER-

Ernest.

Póydziem Frontynie piechotą.

Frontyn.

Bardzo dobrze, i biczyki jeſzcze pobierzem w ręce.

Ernest.

Cichoż! Póki ty na to nie będzieſz pamiętał, że rozmawiaſz z Panem? Jdź za mną. Albo nie. Ja póydę w jedną ſtronę, ty idź w drugą ſtronę.

Frontyn.

Zebyśmy każdy dla ſiebie ſzukali obiadu?

Ernest.

Mnieyſza o obiad; ſzukaymy pieniędzy. Ty idź do Doranta, i proś go o pożyczenie przynaymniey dwóchſet rublow. U Doranta i przez ciebie mogę wſkurać; ſam zaś udam ſię w inne ſtrony. Do obaczenia.

SCENA V.

Frontyn.

Póydę, ale inſzym końcem. Ja mam ſtarać ſię, abym doſtał Panu pieniędzy? Na co? żeby ſwoim zwycza-

cza-

czajem wſzyſtko zaraz przemarnotrawił? Nie, nie uczynię tego. Póydę, i o to raczey poſtaram ſię, jak zabeſpieczyć od marnotrawności te pieniądze, których Pan gdzie doſtać może. Jeżeli zaś nic nie doſtanie, tedy niechay ſkoſztuje nędzy. To oſtatnie jeſt na marnotrawność lekarſtwo. Tak, w tym zamiarze póydę. Pan móy niechay myśli, jak doſtać pieniędzy; a ja pomyślę, jak te zabeſpieczyć, kiedy gdzie onych doſtanie.

AKT II.

SCENA I.

ERNEST, FRONTYN.

ERNEST.

A co Frontynie? pieniądze ſą?

FRONTYN.

Nie ma Moſpanie.

ERNEST.

Jakże? i Dorant mnie pożyczyć nie chciał?

FRONTYN.

Nie chciał.

ER-

Ernest.

Obeydęż ſię ja i bez Doranta i bez twojey łaſki. *Otwiera pugillares, i pokazuje aſsygnacye:* Oto czy widziſz?

Frontyn.

Nie bardzo mam czego winſzować.

Ernest.

Jak to? że w takiey potrzebie doſtałem pieniędzy?

Frontyn.

Ze nowy dług WMPan na kark chwyciłeś.

Ernest.

Otoż nie dług.

Frontyn,

Jakze więc WMPan doſtałeś?

Ernest.

Wygrałem w karty.

Frontyn.

Więc nie winſzuję i tak.

Ernest.

Czemu?

Frontyn.

Bo te pieniądze ſą przyłudą dla WMPana, żebyś daley grając, i te pieniądze przegrał, i więcey.

Ernest.

Otoż nie będę grał na te pieniądze.

Fron-

FRONTYN.

Jednak ja nie winſzuję.

ERNEST.

Czemuż wreſzcie?

FRONTYN,

Bo WMPan te pieniądze jakimkolwiek ſpoſobem wnet przemarnotrawiſz.

ERNEST.

Otoż nie przemarnotrawię.

FRONTYN.

Jednak ja nie winſzuję.

ERNEST.

Jeſzcze nie? Czemuż nakoniec?

FRONTYN.

Bo WMPana obietnicy nie wierzę.

ERNEST.

Jdź, bałamut jeſteś. Jdź do Doranta, i poproś go do mnie dziś na wieczerzę. Chcę go zawſtydzić, że mi nie chciał pożyczyć pienıędzy. Otoż mam czym go poczeſtować i bez jego łaſki.

FRONTYN.

To już WMPan te pieniądze rozpraſzać zaczynaſz!

ERNEST.

U ciebie wſzyſtko nazywa ſię roz-

pra-

prafzać! Zaprofić przyjaciela na wieczerzę, to u ciebie rozprafzać!

FRONTYN.

Ale ta wieczerza będzie wiele zapewnie kofztowała.

ERNEST.

Tybyś chciał zapewnie, żebym tak czeftował gości, jak radzi nafz kucharz? żebym dał dwanaście półmifków z jednego zająca! i żeby refzta jefzcze fię fchowała na jutro!

FRONTYN.

Trzeba Mofpanie być hoynieyfzym niż nafz kucharz, a fkrzętnieyfzym niż WMPan.

ERNEST.

Ale ja tę wieczerzę daję dla interefu ftryja. Ja na tey wieczerzy fpodziewam fię pogodzić z ftryjem Doranta, i zakończyć fprawę.

FRONTYN.

Tak znaczną fprawę zakończyć jedną wieczerzą!

ERNEST.

Tylko ty idź, a rob co każą. Zaydź też do kuchni, i zawołay do mnie kucharza.

T FRON-

FRONTYN.

A ſtangreta też czy nie zawołać, żebyśmy zawſze tak nie muſieli piechotą chodzić, jak dziś, kiedy pozdychają konie?

ERNEST.

Niechay późniey i ſtangret przyydzie.

SCENA II.

ERNEST, *potym* KUCHARZ.

ERNEST.

Właśnie tyle wygrałem, wiele mi ſtryy zoſtawił na interes ſprawy, trzyſta rublow. O jak Fortuna na mnie łaſkawa! Mogę bez ſzkrupułu wſzyſtkie te pieniądze na wieczerzę obrócić. I ten ſpoſob jeſt naylepſzy i naykrótſzy. Uczeſtuję Doranta po przyjacielſku, i podpoję, i wſzyſtkiego dokażę. Otoż i kucharz. Słuchay. Wieczerza żeby dziś była za trzyſta rublow.

KUCHARZ.

Będzie Moſpanie móy, byleby było trzyſta rublow, Moſpanie móy.

ERNEST.

Cóż daſz?

KU-

KUCHARZ.

Dam, Mośpanie móy, prośięta pieczone, ułożone w piramidy na trzy piątra, Mośpanie móy...

ERNEST.

Co ty z pieczonemi prośiętami! Ja mówię, żeby wieczerza była od trzechśet rublow!

KUCHARZ.

To dam paśztet, Mośpanie móy, z mozgow cielęcych.

ERNEST.

Ale co ty z mozgami!

KUCHARZ.

To dam flaki nadziewane, Mośpanie móy, z śzafranem, z drobnemi rozynkami, Mośpanie móy...

ERNEST.

Ale u ciebie flaki w głowie! Ja mówię, żeby... Pódź-że precz, jakiś gość tu nadchodzi, potym przyydzieśz.

KUCHARZ.

Póydę Mośpanie móy, i pomyślę. Bo WMPan, Mośpanie móy, raz daieśz na śtół bardzo mało pieniędzy, drugi raz bardzo wiele. Jak dać wie-

czerzę od trzyſta rublow, nad tym trzeba pomyślić, Moſpanie móy.

ERNEST.

Idź-że precz prędzey, gość tu jakiś bardzo uczciwy ſię przybliża; idź ty precz z ſwoim fartuſzyſkiem!

KUCHARZ.

Za trzyſta rublow dać wieczerzę, Moſpanie móy, to prawie tak trudno, jak dać obiad z jednego zająca.

ERNEST.

Nie póydzieſz mi zaraz precz! bo....

SCENA III.

ERNEST, KAWALER de la mode, *z czupryną zapuſzczoną aż po oczy, z kapeluſzem niezwyczaynie wyſokim, i z wyſokiemi nazbyt piórami, z wielkiemi zauſznicami, z halſztuchem kryjącym podbrodek, mający jeden rękaw jednego koloru, a drugi drugiego, także prawą część ſpodni inſzego koloru, a inſzego lewą, i różnych kolorow rękawice, z krótkim kiykiem w ręku, którego także połowa jednym kolorem malowana, druga drugim, w trzewikach*

kach z nosami zadartemi, i niezwyczaynie długiemi, z wiankiem kwiatow na szyi.

KAWALER.

Mam honor abordować JMPana Ernesta, kawalera znamienitego nie tylko w oyczyznie, ale i po cudzych krajach.

ERNEST.

Ja zaś niech wiem, kogo witam wzajemnie.

KAWALER.

Jestem Kawaler *de la mode*, do usług WMPana. Powracam dopioruchno z Paryża, i przychodzę powinszować WMPanu tey renomy, którą WMPan masz w onym mieście. Niektórzy kawalerowie Polscy znaydujący się w oney stolicy, głoszą szeroko sławę WMPana, i WMPana przymioty, a szczegulnie Jego hoyność, Jego wspaniałość, Jego dobroczynność.

ERNEST.

Nie zasługuję na tak daleką sławę, choć prawda, że nie jestem skąpy.

KAWALER.

Hoyność WMPana brzmi po całym Paryżu.

ER-

ERNEST.

Jeżeli mógłbym w czym tak godnemu gościowi usłużyć.

KAWALER.

Jeżeli mi WMPan sam tyle śmiałości pozwalasz, tedy chcę Jego obligować o jedne łaskę. Ja tu z Paryża przyleciałem balonem.

ERNEST.

Bałonem zaś?

KAWALER.

Tak jest. Gazu mi nie stało.

ERNEST.

Co to gazu?

KAWALER.

Jest to materya, którą się rozpina balon. Do tego chociaż naynowszey mody stróy sprawiłem wyjeżdżając z Paryża, oznaymuje jednak móy korrespondent, że już się tam stróy nie co odmienił, zatym niektóre odmiany w moich sukniach poczynić muszę. Zdarzył się zaś mi przypadek w drodze. Kruk porwał mi worek pieniężny z balonu. Pierwszy raz podróż powietrzną odprawując, nie umiem się jeszcze obchodzić z obywatelami powietrznemi, i strzedz się

od

od powietrznych złodziejow. W Peterſburgu, dokąd lecę, mam na banku ſummy. Chciey mi WMPan pożyczyć ſto rublow. Na balonie prędki powrót. Za kilka dni będę tu nazad, i z dzięk-czynieniem WMPanu dług wrócę. *Erneſt dobywając pugillareſu:* Ach fraſzka to! *dając aſsygnacyą:* winſzuję ſobie bardzo, że tą bagatelą mogę przyſłużyć ſię tak godnemu kawalerowi.

KAWALER.

Jmię WMPana równie znajome będzie w Petersburgu, jak jeſt w Paryżu, i możeſz mię WMPan poczytać za trębacza ſwojey ſławy. Człek jakiś czeka tu u drzwi. Nie chcę WMPanu przeſzkadzać. Łaſce mię Jego i pamięci polecam. Do prędkiego obaczenia ſię za powrótem.

ERNEST.

Wiatrow pomyślnych i ſzczęśliwey drogi WMPanu życzę.

SCE-

SCENA IV.

ERNEST, *potym* KUPIEC.

ERNEST.

Kupiec to być muſi jakiś z jakiemiś towarami. Och nie w porę! pieniędzy nie mam. Oto i teraz nie wcześnie ſię mi ten wojażer nadarzył. Ale co robić? takiemu człowiekowi nie można było odmówić. Niechay jednak ſwóy towar pokaże. Obaczyć nie zawadzi.

KUPIEC.

Towary drobne na pozór, ale co do guſtu i ſzacunku oſobliwſze przedaję. Zechceſz WMPan one oglądać?

ERNEST.

Obaczyć nie zawadzi. Kiedy tanne, może co i kupię.

KUPIEC *wyſuwa na śrzodek ſtolik, ſtawia na tym ſwoje pudło i ono otwiera.*

Nie kupiſz WMPan naprzykład tey ſzczoteczki do zębów?

ERNEST.

Wiele za nią?

KUPIEC.

Pięć rublow.

ER-

Ernest.

Za ſzczoteczkę do zębów?

Kupiec.

Ale ona jeſt robiona w ſamym Paryżu, i wedle nayświeżſzey mody, i naywybornieyſzym guſtem, i od rzemieślnika, który w ſwojey ſztuce może ſię nazwać Aryſtotele ſem. Do tego patrzay WMPan, jaka to kość, jaka ſzerść, WMPan takiey kości i takiey ſzerści nigdzie nie obaczyſz. Do tego patrzay WMPan jaki drót....

Ernest.

Nu, nu, doſyć tego; bierz pięć rublow, *daje aſsygnacyą*. Co tam maſz więcey?

Kupiec.

Zwierciadełko to czy nie podoba ſię WMPanu?

Ernest.

Cóż to? ſzkło tak chrapowate?

Kupiec.

To dla mody, móy Panie; i dla tego tym jeſt drożſze. Tego zwierciadełka nie oddam WMPanu od dzieſięciu rublow.

Ernest *przypatrując ſię w zwierciadełko*.

Ale ono fałſzywie pokazuje!

KUPIEC.

Moda taka. Wedle nayświeżſzey mody zwierciadła powinne trochę fałſzywie pokazować.

ERNEST.

Maſz dzieſięć rublow. Cóż tam pokażeſz więcey?

KUPIEC.

Kup WMPan tę tabakierkę.

ERNEST.

Co za nią?

KUPIEC.

Trzydzieści rublow.

ERNEST.

Zartujeſz! za tabakierkę papierową?

KUPIEC.

To WMPan chyba nie literat!

ERNEST.

Cóż to do literatury należy?

KUPIEC.

WMPan nie wieſz jaki to papier.

ERNEST.

Jakiż więc?

KUPIEC.

Ta tabakierka jeſt zrobiona z naydawnieyſzych manuſkryptów Greckich.

ER-

ERNEST.

Z manuſkryptów Greckich ? I to pewna ?

KUPIEC.

Ja WMPanu przyſięgnę , kiedy chceſz .

ERNEST.

Maſz-że trzydzieści rublow , ale idź już ſobie ; więcey nic nie kupię, bo teraz nie mam pieniędzy .

KUPIEC.

Przynaymniey kup WMPan ten łańcużek do zegarka . Jeſt oſobliwy .

ERNEST.

Cóż w nim oſobliwego ?

KUPIEC.

Jeſt robiony *à la mode future*.

ERNEST.

Cóż to znaczy *à la mode future*?

KUPIEC.

Jeſt robiony wedle mody przyſzłey .

ERNEST.

Wedle mody , co ma być ? Cóż to ? Prorok jaki ten łańcużek robił ?

KUPIEC.

Tak jeſt, Prorok . Robił ten łańcużek jeden rzemieślnik, który jeſt Prorokiem

rokiem co do mod. Jaka ma być moda, zawſze zgadnie.

ERNEST.

Wieleż za ten łańcużek?

KUPIEC.

Jak dla WMPana, to oddam za dwadzieścia pięć rublow.

ERNEST.

Maſz. Jdź ſobie, bo jakiś drugi człowiek tu do mnie przychodzi.

KUPIEC.

Zyczę, żeby WMPanu kupione towary ſzczęśliwie ſłużyły.

SCENA V.

ERNEST, *drugi* KUPIEC.

KUPIEC.

Towary przynoſzę prawie nie opłacone i nieoſzacowane, ale dla WM Pana za mierną cenę przedawać będę. Oto w tym pudle...

ERNEST.

Na inſzy czas przyjacielu, bo teraz i czaſu nie mam, i nawet pieniędzy.

KUPIEC.

Przynaymniey obaczyć nie zawadzi. Rzeczy ſą bardzo widzenia godne.

dne. Złoto, ſrebro, dyamenty, wſzyſtko ſię na świecie codziennie rodzi; ale te rzeczy, które mam w tym pudle, nigdy ſię nie odrodzą. Późna potomność troſkliwiey nad wſzyſtkie ſkarby moje towary konſerwować będzie.

ERNEST.

Pokaż-że co tam tak oſobliwego.

KUPIEC.

Oto widziſz naprzód WMPan te pióro? Przypatrz ſię WMPan.

ERNEST.

Jeſt to pióro ſtruſie.

KUPIEC.

Jeſt to pióro od kity ſławnego Paſman-Oglu. Dam WMPanu autentyk, jeżeli WMPan kupić zechceſz. Przedam dla WMPana za trzydzieści rublow.

ERNEST.

Trzydzieści rublow za jedno pióro ſtruſie?

KUPIEC.

Ja WMPanu mówiłem, że to rzeczy ſą nie opłacone, bo ſię nigdy nie odrodzą. Ja takich towarow nie noſzę jedno do ludzi oświeconych, czułych,

łych, i guſt maiących. Człowiek proſty zapewnieby ſię śmiał na wzmiankę o takiey cenie.

ERNEST *na ſtronie.*

Prawda, mieć pióro Paſman-Oglu, nie mały to będzie dla mnie zaſzczyt. *do kupca.* A maſz autentyk?

KUPIEC.

Przynioſę wnet WMPanu, jeżeli kupić zechceſz.

ERNEST.

Maſz trzydzieści rublow. Co tam więcey?

KUPIEC.

Nie zechceſz WMPan kupić tych włoſów?

ERNEST.

Cóż to za włoſy?

KUPIEC.

Są to włoſy naypierwſzey Komedyantki Paryſkiey, która teraz naypierwſze w Paryżu ma imię. Przynioſę WMPanu autentyk. Nie drogie ſą! Przedam dla WMPana za piętnaście rublow.

ERNEST.

Włoſy Komedyantki Paryſkiey.... ha! niechay-że ſobie, kupię i to. Maſz piętnaście rublow. Ale mnie przynieſieſz autentyk. KU-

KUPIEC.

Przyniosę. Nie zechcesz WMPan kupić i tych włosów?

ERNEST.

Znowu włosy!

KUPIEC.

Są to włosy z grzywy tego konia, na którym jeździł sławny Generał Murzynow Tous-saintes. Przedam dla WMPana te włosy za trzydzieści rublow.

ERNEST.

Żartujesz!

KUPIEC.

WMPan na to pamiętay, że transport tych włosów wiele kosztuje. Sprowadzone one są aż z wyspu Saint-Domingo, z wyspu Amerykańskiego.

ERNEST.

Mnieyszaż o to, kupię i to, ponieważ z tak daleka są sprowadzone. Ale idź już sobie, bo mało już mam pieniędzy.

KUPIEC.

Przynaymiey ten sznur chciey WM Pan kupić.

ERNSET.

Cóż to za sznur? Ku-

KUPIEC.

To jeſt ſznur od ſamego okrętu, w którym komenderował Admirał Nelſon pod Kopenhagą.

ERNEST.

Wieleż za ten ſznur?

KUPIEC.

Jeżeli WMPan kupić zechceſz razem z tą ſprzączką, i z tą podkową, to przedam wſzyſtkie te trzy rzeczy za czterdzieści rublow.

ERNEST.

Cóż to za ſprzączka?

KUPIEC.

Jeſt to ſprzączka, którą zgubiła córka jednego Beja Egipſkiego, tancując z jednym Generałem Francuzkim około piramid Egipſkich.

ERNEST.

Około piramid Egipſkich!

KUPIEC.

Około ſamych piramid.

ERNEST.

Muſzę kupić. A taż podkowa co znaczy?

KUPIEC.

To jeſt podkowa, którą zgubił koń pod Generałem .... wypadło mi z pamię-

mięci! Ale jeſt ſławny Generał. Jmię WMPan znaydzieſz w autentyku, jak ten przynioſę.

ERNEST.

I maſz na to wſzyſtko autentyki?

KUPIEC.

Na wſzyſtko.

ERNEST.

Maſz czterdzieści rublow; ale idź już ſobie.

KUPIEC.

Tylko tę jednę puſzeczkę życzyłbym WMPanu kupić. Jeſt to ſkarb oſobliwſzy, a dla WMPana przedam za trzydzieści rublow.

ERNEST.

Cóż to w tey puszeczce?

KUPIEC.

Jeſt to tabaka zebrana z kamizelek Fryderyka II. ſławney pamięci, Króla Pruſkiego.

ERNEST.

Fryderyka II?

KUPIEC.

Tak jeſt.

ERNEST.

Masz i za to. Idź-że sobie.

U Ku-

KUPIEC.

Zyczę, abyś WCPan doſtąpił ſławy tych bohatyrow, których pokupowałeś pamiątki

ERNEST.

Byway zdrów.

SCENA VI.

ERNEST, *potym* KUCHARZ, *potym* STANGRET.

ERNEST.

Ach! ale ja zapomniałem, że mam dziś dawać solenną wieczerzę! Wiele to pieniędzy zoſtało? *przetrząsa pugillares*: Ach! wszak to nie zoſtało nic! Czy ich kaduk! jakby wiedzieli, ile mam pieniędzy, tak dobrze wykalkulowali ci Ichmość. Nie ma ani szeląga! Co ja teraz zrobię? Otoż w samą porę wlecze się tu ten półgłówek kucharz!

KUCHARZ.

Już, Mospanie móy, ułożyłem plantę, jak mam dać wieczerzę za trzyſti rublow.

ER-

ERNEST.

Idź precz! nie potrzèba, nie będzie dziś wieczerzy.

KUCHARZ.

Naprzód w zielonym sosie dam...

ERNEST.

Ale mówię idź precz!

KUCHARZ.

Powtóre zgotuję *Mospanie móy*...

ERNEST.

Idź precz! czy słyszysz? Wieczerzy nie będzie! Półgłówku ty!

KUCHARZ.

Półgłówku!..Chyba WCPan chcesz mówić o głowiźnie! żebym dał Mospanie *móy* głowiznę...

ERNEST.

Ale gawronie! mówię tobie...

KUCHARZ.

Gawronów Mospanie móy nie jedzą, a do tego trudno i dostać...

ERNEST.

Ale słuchay ty barania głowo...

KUCHARZ.

Co baranią głowę, Mospanie *móy*, to można dać, to co innego, *tylko* że...

ER-

Ernest.

Ale ſłuchay głuszcu ty nieszczęśliwy! co ja mówię.

Kucharz.

I głuszca Mospanie móy może doſtaniem, ale będzie drogi, bo...

Ernest.

Ale ślimaku ty nieszczęsny!..

Kucharz.

Slimaki, Mospanie móy, można dać do oſtrego pieprzu...

Ernest.

Ale cicho! milcz a ſłuchay.

Kucharz.

Milczę, Mospanie móy, i ſłucham.

Ernest.

Wieczerzy nie będzie. Idź precz.

Kucharz.

Nie będzie wieczerzy? A na cóż ja tak długo myśliłem Mospanie, móy? Plantę, Mospanie móy, ułożyłem tak piękną, a teraz...

Ernest.

Słuchay! nie póydziesz precz?.. Ach wcześnie ſtangret nadchodzi, żeby precz tego półgłówka wypchnął. *do ſtangreta* Słuchay przyjacielu! Weźmiy

źmiy za kołnierz, i wypchniy precz tego bałamuta.

KUCHARZ *wypychany od ſtangreta.*

Co ty konio-wodu śmiesz na pańſkiego kucharza...

STANGRET.

Szczęśliwa przyjacielu droga!

SCENA VII.

ERNEST, STANGRET.

ERNEST.

Dobrze przyjacielu uczyniłeś. Teraz sam idź precz.

STANGRET.

Frontyn mnie tu do WCPana zawołał WCPana imieniem.

ERNEST.

A ja sam tobie teraz moim imieniem każę iść precz. Czasu teraz nie mam.

STANGRET.

Ale konie Mospanie nie mają czego jeść.

ERNEST.

Ja sam dziś u siebie nie mam czego jeść; day mnie pokoy, napoy ich tym czasem.

STAN-

Stangret.

Po czymże poić?

Ernest.

Samą wodą, przyjacielu, koń długo może żyć.

Stangret.

Samą wodą? Przepraszam Mospanie, koń nie ryba!

Ernest.

Ale idź, mówię, precz; bo zawołam kucharza, żeby ciebie wzajemnie wypchnął.

Stangret.

Dobrze, póydę koni poić, a napoiwszy potopię.

SCENA VIII.

Ernest, *potym* Frontyn.

Ernest.

Otoż masz! dwóch natrętnikow odprawiłem, przychodzi trzeci jeszcze gorszy. Powraca Frontyn. Będzie znowu mnie nauki prawił o ſkrzętności.

Frontyn.

Przyydzie, Mospanie, na wieczerzę Pan Dorant.

Er-

Ernest.

Idź, i powiedź niechay nie idzie. Idź, i odproś. Zaszły nagłe expensy, i wszyſtkie pieniądze wyexpensowałem.

Frontyn.

Tak prędko?

Ernest.

Ty zaraz zaczniesz swoje nauki, ale ja wreszcie...

Frontyn.

Nie, nie, ja tylko mam ciekawość wiedzieć, gdzie ſię tak prędko takie pieniądze podziały. Nie wątpię zaś, że WCPan onych użyłeś na ſłuszne wydatki.

Ernest.

Pewnie że na ſłuszne. Był tu u mnie Kawaler jadący z Paryża do Petersburga na balonie, któremu kruk w drodze ukradł pieniądze. Słyszał o mnie aż w Paryżu. Prosił o pożyczenie ſtu rublow. Czy mogłemże odmówić?

Frontyn.

Zadną miarą! Miłość Chrześciańſka pożyczyć kazała.

Er-

Ernest.

Miał mi oddać za kilka dni, balonem tu mając nazad powrócić. Było tu u mnie dwóch kupcow. Patrzay, jakie pokupowałem towary. Ta szczoteczka jeſt robiona w Paryżu, wedle naynowszey mody. To zwierciadełko, także. Ta tabakierka jeſt klejona z naydawnieyszych manuſkryptow Greckich. Ten łańcużek jeſt robiony wedle mody przyszłey. To pióro jeſt z kity Pasmana-Oglu. To są włosy naypierwszey Komedyantki Paryſkiey. To zaś są włosy tego konia, na którym jeździł Generał Murzyńſki. To sznur od tego okrętu, na którym komenderował Admirał Nelson. To sprzączka, którą zgubiła córka Beja Egipſkiego, tańcując z jednym Generałem Francuzkim około Piramid Egipſkich. To podkowa z pod konia jednego Generała Francuzkiego, którego imię miał mi przynieść kupiec w autentyku. A w tey puszeczce tabaka, którą zebrano z sukień Fryderyka Wtórego.

Frontyn.

I wſzyſtko?

Er-

Ernest.

A czegoż ty chcesz?

Frontyn.

I za to dwieście rublow? bo tyle WMPanu było pozostało.

Ernest.

Ale bo to rzeczy są bardzo drogie, ponieważ się nigdy nie odradzają. Złoto, srebro, dyamenty, codziennie się rodzą, a te się rzeczy nie odradzają. Takie towary noszą tylko do ludzi oświeconych, czułych, i gust mających.

Frontyn.

Prawdziwie serce się rozpłynie WM Pana Stryjowi od radości, kiedy WM Pana takiemi towarami wzbogaconego obaczy.

Ernest.

Ten staruszek na tym się nie zna; ale nie prędko on jeszcze powróci!

Frontyn.

Słychać, że już powraca, i prawie już jest pod bramami tego miasta.

Ernest.

Co mówisz!

Fron-

FRONTYN.

Słyszałem od tego, który go widział.

ERNEST.

Zginąłem! co tu robić?

FRONTYN.

Wyniść przeciwko niemu na spotkanie z temi towarami.

ERNEST.

Zartujesz, kiedy ja ginę!

FRONTYN.

Jeszcze nie; jeszcze nie wſzyſtko WMPanu powiedziałem. Oznaymię WMPanu drugą nowinę, że Pan Dorant ſprawę wygrał. Nie dawno dekret przeczytano.

ERNEST.

Ach zdrayca!

FRONTYN.

WMPan chciałeś, żeby dla WMPana przyjaźni odſtąpił ſwojey tak znaczney pretensyi, którą ma do WM. Pana ſtryja!

ERNEST.

Więc móy ſtryy utracił teraz większą połowę majątku.

FRONTYN.

Tak jeſt, a resztę utracisz WMPan, kiedy

kiedy jeszcze raz tak zoſtawi ſtryy dom swóy w ręku WMPana choć na kilka dni, jak teraz.

ERNEST.

Teraz czas mnie nauki dawać.

FRONTYN.

Teraz naylepszy. Jeżeli WMPan teraz nie otworzysz oczu, nigdy nie otworzysz.

ERNEST.

Ratuy mnie Frontynie!

FRONTYN.

Trzeba było pierwiey Frontyna ſłuchać.

ERNEST.

Czy wiesz co? kiedy ty mnie nie czynisz jakiey nadziei, to ja w łeb sobie ſtrzelę!

FRONTYN.

Strzelay WMPan.

ERNEST.

Co? ty rozumiesz, że ja żartuję?

FRONTYN.

Nie, nie rozumiem.

ERNEST.

Co ... przynieś piſtolet!

FRONTYN.

Czy nabity?

Ernest.

Coż jeszcze rozumiesz, że zartuję?

Frontyn.

Nie, nie; zaraz przyniosę. *Odchodzi.*

Ernest.

Szalony! On poszedł w rzeczy samey!

Frontyn *przynoſząc piſtolet,*

Oto Mospanie piſtolet.

Ernest.

Day. *bierze piſtolet*: Oto jak widzisz w łeb sobie ſtrzelę, kiedy mnie jakim sposobem nie poratujesz!

Frontyn.

A ja nie mam żadnego sposobu.

Ernest.

Więc wraz ſtrzelę!

Frontyn.

Ubolewam bardzo nad tak smutną WMPana potrzebą.

Ernest.

Ey obaczyſz, że ſtrzelę!

Frontyn.

Obaczę.

Ernest.

I nie będzieſz mnie żałował?

Fron-

Frontyn.

Ale czemu WMPan nie ſtrzelaſz! Już jabym dziesięć razy wyſtrzelił.

Ernest.

Więc byway zdrów Frontynie!

Frontyn *kłaniając ſię.*

Stopki WMPana uciſkam.

Ernest.

Ale czy nabity to tylko piſtolet?

Frontyn.

Nie.

Ernest.

Cóż to? jeszcze żartujesz ze mnie?

Frontyn.

A czy przynieść nabity?

Ernest.

Frontynie! przyjacielu! pomyśl tylko. Kiedy ty zechceſz, to ja wiem że jakikolwiek sposob wynaydziesz. Twoja głowa jeſt, jak...

Frontyn.

Nu, nu, idź WMPan, i powieś piſtolet na kołku, zkąd wzięty; a ja póydę, i poſzukam czy nie doſtanę pieniędzy choć u jakiego lichwiarza.

Ernest.

Ach móy ty Frontulko! połowę mego majątku z tobą ſię podzielę!

Fron-

Frontyn.

Kiedy tego majątku, który WMPan masz teraz, to nie wielka zapłata. Tym czasem kiedy stryy WMPana przyjedzie, WMPan nie trać fantazyi, mów, że wszystko dobrze, że pieniądze są; rozumiesz WMPan?

Ernest.

Dobrze.

Frontyn.

Ale ja WMPanu nie wierzę. Jak tylko stryy krzyknie na WMPana, to WMPan zaraz stracisz fantazyą.

Ernest.

Nie bóy się, nie stracę.

Frontyn.

Chyba sprobuję WMPana.

Ernest.

Probuy, jak chcesz.

Frontyn.

Imaginuy więc WMPan, że ja jestem WMPana stryjem, i zaczynam WMPana gromić.

Ernest.

Dobrze.

Frontyn.

Zaczynam więc.

Er-

Ernest.

Zaczynay.

Frontyn.

I tak to Synu marnotrawny!... hultaju!

Ernest.

Hola! hola!

Frontyn.

Trzpiocie!

Ernest.

Jeſzcze co?

Frontyn.

Rozrzutniku! szulerze!

Ernest.

Czy ſłyszysz?

Frontyn.

Bezmozgi młodzianie!

Ernest.

Dosyć-że tego!

Frontyn.

Zgubiłeś i ſtryja i siebie marnotrawco!

Ernest.

Dosyć-że tego, mówię tobie!

Frontyn.

Przyydzie do tego, że świnie paść ędzieſz musiał wkrótce niecnoto!

Er-

Ernest.

Frontynie! przysięgam, że jeżeli nie przestaniesz....

Frontyn.

Ach! WMPan, widzę, gniewasz się! WMPan zapomniałeś, że ja mówię w osobie Stryja WMPana, i tylko dla proby!

Ernest.

Cokolwiek *bądź*, dosyć tego!

Frontyn.

Idź-że WMPan, i powieś pistolet na kołku. Do obaczenia się z WMPanem.

AKT III.

SCENA I.

Pandolf *w masce*, Frontyn.

Frontyn.

To możesz nam w rzeczy samey staruszku pożyczyć pieniędzy?

Pandolf.

Czemu nie?

Frontyn.

Im z większą lichwą nam pożyczysz, tym lepiey. Pan-

Pandolf.

Im z większą lichwą, tym lepiey! To rzecz ciekawa! Jeszcze świat, jak ſtoi, nie widział nigdy takiego przykładu, żeby pożyczenia potrzebujący chciał pożyczać drogo!

Frontyn.

Otoż na nas świat ten przykład widzi dziś pierwszy raz. Im drożey nam pożyczysz, tym lepiey. Proś naprzykład u Pana mego pięćdzieſiąt od ſta, albo i więcey, kiedy chceſz.

Pandolf.

Ale ja takiey waszey chęci pojąć nie mogę. To rzecz nazbyt dziwna. Ja ſię tu boję jakich zasadzek.

Frontyn.

Nie bóy ſię niczego. Przyczyną całą takiey naszey chęci jeſt nasza wrodzona wspaniałość. Otoż i Pan móy nadchodzi.

SCENA II.

Ci ſami, i Ernest.

Frontyn.

Otoż doſtałem wreszcie człowieka, który nam pieniędzy pożyczyć może;

że; ale wyciąga bardzo wielkiego procentu. Chce brać ośmdziesiąt od sta.

ERNEST.

Dam, niech mi tylko zaraz pożyczy.

FRONTYN *do Pandolfa.*

Otoż Pan móy przystaje na procent ośmdziesiąty od sta. Ale będziesz musiał przyjąć szczoteczkę do zębow w piąciu rublach srebrnych; rozumiesz? zwierciadełko w dziesięciu rublach, tabakierkę papierową w trzydziestu rublach. . .

PANDOLF.

Czy drwisz ze mnie?

FRONTYN.

Nie, my sami tak kupiliśmy. Te wszystkie rzeczy są naynowszey mody, i w Paryżu robione. Do tego przymiesz pióro sławnego Paman-Oglu w trzydziestu rublach, włosy Komedyantki Paryskiey w piętnastu rublach, włosy z ogona końskiego, który. . .

PANDOLF.

Porzuć żartować przyjacielu, albo wytłumacz mi tajemnicę!

FRON-

Frontyn.

Oto cała tajemnica: Rzeczy te wszyſtkie, które ja tobie wzmiankuję, ſą bardzo drogie, ponieważ się nigdy nie odradzają na świecie, i ponieważ one kupują tylko ludzie światli, i dobrego guſtu, i ponieważ one kupił móy Pan.

Ernest.

Nie koniecznie przyjacielu. Jeżeli nie chcesz tych fantow, a żądaſz koniecznie, abym ci zapłacił cały dług gołym groſzem, zapłacę gołym groſzem.

Frontyn.

Nie wierz przyjacielu; pod tym warunkiem niczego nie pożyczay. Pan móy nic nie ma, i mniey jeſzcze niż nic, bo jeſt rozrzutny, i patrzy z rąk swego ſtryja, którego swym marnotrawſtwem uraził.

Ernest.

Cóż to?.. przyprowadziłeś tu tego człowieka, abyś razem z niego sobie i zemnie tak bezczelnie szydził!

Frontyn.

Zebym pokazał WMPanu, w jakim jeſteś ſtanie. Toż to sposob ratowa-

nia się, którego się WMPan chwytasz, pożyczać z tak okropną lichwą! Nie jest-że to siebie do końca raczey gubić?

ERNEST.

Ach zdrayco niegodziwy! *chce wziąć kij z ręki Pandolfa*: Pożycz mi przyjacielu kija!

PANDOLF.

Bynaymniey. Zda się on pierwiey na kogo inszego. *Nagle sobie zdzierając maskę, i kij podnosząc*: Ach marnotrawco nieszczęsny! Ach wyrodku! tak się to sprawujesz w mojey niebytności! Przyszedłem tu w tey masce na wzwiady, abym sam obaczył, co o tobie słyszałem. Więcey widzę, niż słyszałem. Wypróżniłeś mi dom niecnoto! Teraz pozostaje, abyś sam precz z onego wyszedł. Precz mi wnet z domu mego marnotrawco, i z tym wisielcem twoim Frontynem, którego ja jednak pierwiey...

FRONTYN.

Hola! Mospanie hola! kiedy o Frontyna chodzi, to co innego. Czy się WMPan na mnie za to gniewasz, że WMPana pod maską nie poznawszy...

PAN-

PANDOLF.

Bynaymniey zdrayco! lecz że mi nie oznaymiłeś zaraz o takim marnotrawftwie, jako tobie. . .

FRONTYN.

Na co miałem oznaymować? O co WMPanu chodzi? o pieniądze? Nie zginął WMPanu ani szeląg.

PANDOLF.

Co gadasz wifielcze! Nie mówiłeś mi sam teraz, na jakie fraszki ten hultay..

FRONTYN.

Mówiłem, jednak razem mówię, że WMPanu nie zginał ani szeląg.

PANDOLF.

Jakże to?

FRONTYN.

Także trzeba było i pierwiey fię fpytać, nim fię WMPan zacząłeś gniewać. Oto cała rzecz tak się ma. Wfzyftkie pieniądze, które WMPana Synowiec w niebytności WMPana potracił, oparły fię w ręku Pana Doranta który na to ludzi fwoich fubordynował z mojey namowy, aby u Pana Ernefta doftali jak naywięcey pieniędzy, i Dorantowi do przechowania oddali,

i tak

i tak aby one pieniądze ocalały, i przez Pana Ernesta ſtracone i przemarnowane nie były. Owoż tym ſposobem masz WMPan wſzyſtkie pieniądze, które zoſtawiłeś, ocalone.

ERNEST *na ſtronie.*

Ach zdrayca niegodziwy! jakie on dziś zemną ſceny porobił!

FRONTYN.

Cóż teraz *WMPan* o *Frontynie* mówisz? Czy on wisielec? czy ma iść precz z domu WMPana?

PANDOLF.

Jakże to? Dorant miałby do tego wchodzić, móy nieprzyjaciel, który mnie chce odjąć majątek?

FRONTYN.

Ale on jeſt przyjacielem Pana Ernesta. Wnet on tu nadeyść muſi na wieczerzę. Przyświadczy sam o wſzyſtkim, i pieniądze WMPanu wróci.

PANDOLF.

Ja ſię mam ſpodziewać, aby mi one pieniądze miał wrócić człowiek, który mego majątku ſzuka, a które ja zoſtawiłem na ten koniec, aby przeciwko jemu ſamemu w ſprawie ſłużyły?

FRON-

Frontyn.

WMPan więc Doranta nie znaſz. To kawaler godny i uczciwy. Interesu on ſwego drogą prawa dochodzić z WMPanem może, ale zdradzić WMPana i nas nie potrafi.

Pandolf.

Jeżeli tak, godzieneś wielkiey nadgrody.

Frontyn.

Nadgrodą moją naywiękſzą będzie, jeżeli WMPan winę Panu Ernestowi daruieſz; pod warunkiem jednak poprawy. Lecz oto wcześnie Pan Dorant.

SCENA III.

Ci ſami, i Dorant.

Frontyn.

Moſpanie Dorancie bardzo WMPan wcześnie przychodziſz. Oto WMPan znayduieſz Pana Pandolfa. Chciey WMPan przyświadczyć, jako pieniądze przez Erneſta potracone znayduią ſię w ręku WMPana.

Dorant.

Tak jeſt, przyznaję, Frontyna to zba-

zbawienny projekt. Masz WMPan Mospanie Pandolfie w tym człowieku i wiernego i rozumnego sługę. Ponieważ Synowiec WMPana, jak nazbyt wiadomo, nie umie się obchodzić z pieniędzmi, i one w niebytności WMPana rozrzucać począł, ułożyliśmy z Frontynem płantę, jak temu zapobiedz. Podesłałem rozmaitych moich ludzi i przyjacioł, którzy rozmaite role grając, rozmaitemi sposobami wyciągnęli od Pana Ernesta te pieniądze, które on potracić miał i w moim ręku złożyli. Tak i dziś jeszcze trzysta od niego rublow dostałem. Jest wszystko u mnie, nie zginie ani szeląg.

FRONTYN *do Pandolfa.*

Cóż WMPan teraz o Frontynie sądzisz?

PANDOLF.

Taka WMPana przychylność ku temu domowi i uczynność tym mię bardziey zadziwia, że...

DORANT.

Wszakże jednak niech WMPanu będzie wiadomo, że tych pieniędzy WMPanu wrócić nie mogę.

PAN-

PANDOLF.

Jak to?

FRONTYN *na ſtronie.*

Ach co ſłyszę!

ERNEST *na ſtronie.*

Bardzo pięknie! Popisał ſię móy Dorant!

PANDOLF.

Więc WMPan dla ſiebie tych pieniędzy doſtałeś?

DORANT.

Razem dla siebie, i razem dla Pana Erneſta, i razem dla WMPana. Doſtałem onych dla siebie, bo one dla ſiebie zatrzymam; doſtałem onych dla ſamegoż *Pana* Erneſta, bo w tych pieniądzach odbieram te długi, które był u mnie Pan Erneſt pozaciągał.

PANDOLF.

Co ſłyſzę!

FRONTYN *na ſtronie.*

Zażył nas z mańki! Prawda ma prawo!

PANDOLF *do Erneſta.*

To i długi niecnoto bez moiey wiadomości pozaciągałeś!

Do-

Dorant.

Nie wyświadczyłem-że jednak przyjaźni i Panu Ernestowi, i jego stryjowi, że te pieniądze na opłac nie długow Pana Ernesta obracam, które marnie zginąć miały?

Pandolf.

Tak jest, wielka jest zapewnie WM Pana wspaniałość, że tak dobrze swoim interesom służyć umiesz, i tak zręcznie swoje długi odbierać.

Dorant.

Mylisz się WMPan. Kiedy ów zamiar przedsięwziąłem, o który idzie, nie myśliłem o odbieraniu moich długow, i owe pieniądze miałem Panu Ernestowi z przestrogą i nauczką oddać, a sam dłużev mu kredytować, jako długo już kredytuję; lecz nagła mi zaszła potrzeba pieniędzy, zwłaszcza że wycięczony jestem tak długim prawem w sprawie z WMPanem, którą dziś wreszcie wygrałem.

Pandolf.

Jak to? . . Co słyszę! . . Sprawę WM Pan ze inną wygrałeś?

Dorant.

Tak jest. Czy to jeszcze WMPanu

nu nie wiadomo? Dziś otrzymałem dekret.

PANDOLF.

Rozumiem. Za tych więc ſamych pomocą pieniędzy wygrałeś WMPan ſprawę, które ja Erneſtowi zoſtawiłem, na poparcie tey sprawy. *Do Erneſta*: Słuchay zdrayco! Oto cię tego momentu wydziedziczam! i przyſięgam na niebo, że cię do dziedzictwa mego, które tak ſam niecnotą ſwoją umnieyſzyłeś, nigdy nie przywrócę! *do Frontyna*: A z ciebie złoczyńco! wiem jaką ſobie ſatysfakcyą uczynię!

FRONTYN *na ſtronie*:

Zginęliśmy, jak widzę, zadrwiła z nas ſobie brzydko Fortuna.

DORANT.

Patrzay WMPan jednak, abyś takiey przyſięgi ſwoiey nie żałował. Te pieniądze, o które WMPanu idzie, leżą u mnie dotychczas nietknięte, i wróciłbym wnet one WMPanu, gdybym tak nagłey nie miał potrzeby, jako wzmiankowałem. Abyś WMPan łatwiey mi wierzył, i sam o rzeczy sądził, oto tę moję potrzebę przed

WMPa-

WMPanem ſzczerze odkrywam. Przed dniami kilku przybył do mnie ſtaruszek, móy niegdyś w moich dziecinnych latach nauczyciel, który dziś jeżdziwſzy o kilka mil od tego miaſta, twierdzi, iż widział i poznał twarz jadącego tu mego oyca, którego ja nie znam, oderwany od niego awanturą w pierwſzych dziecinnych leciech. *Owoż mieć cokolwiek* pieniędzy muſzę na przybycie Oyca, nie wiedząc zwłaſzcza w jakim do mnie ſtanie przybędzie, i z jakim doſtatkiem, po awanturach ſwoich, któremi był miotany. Nie mam zaś prawie nic gotowego groſza, okrom wzmiankowanych pieniędzy, które mi za dług należą; tak mię prawo wycięczyło, które prowadzić z WMPanem przymuſzony byłem. Lecz o jako ſzczęśliwe zdarzenie!..Owo ſam ten świadek, o którym wzmiankuję, na to mieysce, mnie snać ſzukając, przychodzi.

SCE-

SCENA IV.

Ci sami i ORONT.

PANDOLF.

Co widzę! Oronta oglądam!

ORONT.

Ach! .. tu go znayduję!

DORANT.

Kogo.

ORONT.

WMPana Oyca!

DORANT.

Gdzie!

PANDOLF *rzucaiąc ſię na ſzyię Orontai*

Ach móy Oroncie! tak-że cię nie ſpodzianie na tym mieyſcu widzę!

ORONT.

Ach Moſpanie Pandolfie! tak-że tu nagle po tylu awanturach. . .

PANDOLF.

Awanturom moim końca, przyjacielu, nie ma. Owo i dziś, tego ſamego dnia, który jeſt tak ſzczęśliwym dla widzenia ſię z tobą, oto od własnego mego Synowca zdradzony, a od tego młodego ſąſiada mego z dóbr wyzutym zoſtaję.

ORONT

ORONT.

Od kogo?.. Sąſiadem go WMPan ſwoim nazywasz? Jeſzczeż WMPan nie znasz syna?

PANDOLF.

Jakiego?

ORONT *do Doranta:*

Czyście ſię jeſzcze z sobą nie poznali?

DORANT.

To jeſt Pan Pandolf, który...

ORONT.

To jeſt Pan Anzelm, oyciec WM Pana, któremu chyba awantury nazwiſko odmienić kazały, równie jak i WMPanu. To jeſt Pan Anzelm, oyciec WMPana ten sam, którego ja tu jadącego widziałem.

DORANT.

Przebóg!

PANDOLF:

Co ſłyszę! To więc ma być Hypolit, móy Syn...

DORANT.

Ach wie nazwiſko moje!

PANDOLF.

A twóy kochany Oroncie uczeń niegdyś, którego w dziecinnych utraciłem leciech?

ORONT.

ORONT.

Ten sam.

DORANT.

Ach nieba!

ERNEST.

O przygodo!

FRONTYN.

O awantury!

ORONT.

Nie przyſtąpiſz więc, i nie uciśnieſz oyca?

DORANT.

Nie śmiem.

ORONT.

Jeſzcze wątpisz?

DORANT.

Bynaymniey, ale...

ORONT.

Że ſprawę z oycem wygrałeś? Już to nic nie ſzkodzi; już wſzyſtkie rzeczy WMPana ſą oycowſkiemi, a wſzyſtkie rzeczy oycowſkie ſą rzeczami WMPana.

PANDOLF.

Ach synu! jeszczeż mieszkam ucisnąć tak drogą, tak późno znalezioną zgubę!

Do-

DORANT.

Ach Oycze!..daruy niewiadomości...

PANDOLF.

Przestań, żadney nie ma twojey winy. Ten tylko winien wyrodek, krwi twojey i mojey nie godzien, który spolne nasze traci dobro. Nie żałuję mojey względem niego przysięgi.

DORANT.

Jednak, Oycze, był Ernest moim dotąd przyjacielem, choć nie wiedziałem, że był moim bratem. Cóż teraz, kiedy się i o poślednim dowiaduję?

PANDOLF.

Przysiągłem, cofnąć kroku nie mogę; i dobrze się też to bardzo stało, ponieważ na jego mieyscu równie lepszego jak właściwszego znayduję dziedzica.

DORANT.

Ty oycze przysiągłeś, lecz ja nie. Mnie dozwol.

PANDOLF.

Ty czyń, co chcesz.

Do-

Dorant.

Jeśli dozwolisz, ja Ernestowi ten móy majątek ustąpię, który mam moją zebrany pracą.

Pandolf.

Ale nie pierwiey, aż się poprawi. Pod tym tylko warunkiem zezwalam.

Ernest.

Ach stryju!.. Ach braciszku Hipolicie!.. Ach przyjacielu Dorancie!

Dorant.

Tym czasem zaś, gdy ja oycowi służyć będę, dopuścisz, abym onę cząstkę, którey dla Ernesta dozwalasz, oddał pod dozor Frontyna jako dobrego i rozumnego sługi.

Pandolf.

Nad to nic słuszniey szego i rozumnieyszego. Wart i ty jesteś, synu, takiego Ekonoma, i Frontyn takiey nadgrody. Nie pozostaje, jak tylko obmyślić rządcę i opiekuna samemu Ernestowi, jak tego dobrze opatrzyłeś tym dobrom, które dla niego naznaczasz. Tego rządcę i opiekuna znaydzie on niemniey szczęśliwie w Panu Oroncie, który twoją sprawował młodością. Chciey, kochany Oroncie,

tego marnotrawnego młodzika wziąć na rok przynaymniey pod ſwóy dozor, i nauczyć go rozumu...

ORONT.

Wſzyſtko będzie dobrze. Teraz nie myślmy o niczym, co nam myśl dobrą w tak szczęśliwych momentach mieszać może. Idźmy teraz. Odday teraz, Panie Anzelmie, wizytę wzajemną synowi w jego właſnym domie z całą naszą kompanią. Tam ſobie dobrey myśli zażyjemy, i ja z WMPanem po wieczerzy będę ſkakał kozaka.

PANDOLF.

Idźmy.

KONIEC.

POGARDA NAUK

KOMEDYA.

OSOBY

Puharołykowski.	
Hrabia Komicki.	Goście Puharoły-kowskiego.
Swiatłecki.	
Muzalski.	
Maciey.	Lokaje Puharoły-kowskiego.
Marcin.	
Andrzey.	

Scena w Domu Puharołykowskiego.

AKT I.

SCENA I.

PUHAROŁYKOWSKI, MACIEY, ANDRZEY.

PUHAROŁYKOWSKI *ſiedząc na krześle.*
Hey! Jeſt tam kto?

MACIEY *z zaparawanow wyſuwając głouę.*
Mospanie!

ANDRZEY *także wyſuwając głowę.*
Mospanie!

PUHAROŁYKOWSKI.
A chodźcie tu który!

MACIEY *wyſuwając głowę.*
Andrzeju! idź ty.

ANDRZEY *wysuwając głowę.*
Macieju! idź ty.

PUHAROŁYKOWSKI.
Czy ſłyszycie?

MACIEY *wyſuwając głowę.*
Mospanie!

ANDRZEY *wysuwając głowę.*
Co Pan każe?

PUHAROŁYKOWSKI.
Każę, żebyś do mnie przyszedł.

ANDRZEY.
Ja? czy Maciey?

PU-

PUHAROŁYKOWSKI.

Którykolwiek.

ANDRZEY.

Macieju, idź!

MACIEY.

Andrzeju, idź!

ANDRZEY.

Ja nie póydę.

MACIEY.

I ja nie póydę.

PUHAROŁYKOWSKI.

Cóż więc? .. przyydziecie wy? czy nie?

ANDRZEY *do Macieja.*

Hultaju ty! czy słyszysz?

MACIEY *do Andrzeja.*

Ospalcze ty! czy czujesz?

ANDRZEY.

Pan ciebie woła!

MACIEY.

Owszem ciebie woła.

ANDRZEY.

Ja gotuję kawę.

MACIEY.

Ja suknie chędożę.

ANDRZEY.

Suknie nie uciekną, a kawa wybieży.

PU-

PUHAROŁYKOWSKI.

Czy ſłyſzycie!.. Który z was zaraz tego momentu do mnie nie przyyydzie, weźmie ſto kijow, przysięgam! tego momentu, jak tylko Marſzałek powróci.

MACIEY *do Andrzeja.*

Siedźże ty przy swojey kawie, póydę ja.

ANDRZEY *odpychając Macieja.*

Chędoż ty swoje suknie, ja póydę.

MACIEY *odpychając Andrzeja.*

Nie póydziesz!

ANDRZEY *zatrzymując Macieja.*

I ty nie póydziesz!

MACIEY *wyrywając ſię.*

Otoż póydę.

ANDRZEY *utrzymując.*

Otoż nie póydziesz!

PUHAROŁYKOWSKI.

Szczęście ich osobliwsze, że kija nie mam na doręʒdziu!.. Ty Macieju, ty hultaju nieszczęśliwy, ty chodź do mnie; a ty drugi gawronie pilnuy kawy.

MACIEY.

Co Pan każe?

PUHAROŁYKOWSKI.

Dwóch mnie jednak potrzeba. Idź więc Macieju, i przyprowadź do mnie Marcina.

SCENA II.

PUHAROŁYKOWSKI, ANDRZEY.

ANDRZEY.

Ja WMPanu powiadam, że teraz lokaje są ostatni hultaje. Kiedy pieniądze brać, to jest; a kiedy usłużyć, to nie ma. Oniby chcieli mieć swoich drugich lokajow, którzyby za nich zastępowali. Lenią się krok wziąć, kiedy Pan woła. Szczęście, że taki hultay ma tak dobrego Pana. Ja gdybym był Panem, toby mnie lasu nie stało na grzbiet takiego lokaja. Ale oto i Marcin! Ale przychodzi bez Macieja.

SCENA III.

Ci sami, i MARCIN.

PUHAROŁYKOWSKI.

A Maciey gdzie?

MARCIN.

Widziałem że pobiegł w tę stronę.

PU-

PUHAROŁYKOWSKI.

Jak to? Wszak on ciebie do mnie zawołał?

MARCIN.

Bynaymniey. Ja ſam do Pana przychodzę.

PUHAROŁYKOWSKI.

Biegayże prędzey, i jego zatrzymay, bo on pół-dnia ciebie będzie próżno ſzukał, a mnie was obu prędko potrzeba.

SCENA IV.

PUHAROŁYKOWSKI, ANDRZEY.

ANDRZEY.

Ja chwalić ſię nie lubię, ale kiedy mam Panu prawdę powiedzieć, to Pan ze mnie tylko jednego ma jakąkolwiek uſługę....

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale ty powróć do kawy, bo wybieży kawa.

ANDRZEY.

Nie bóy ſię WMPan, nie wybieży.. O czym ja tam mówiłem?..Ale!.. że ja, mówiąc prawdę, umiem ſłużyć; ... Ale oto Maciey!

SCE-

SCENA V.

Ci sami, i MACIEY.

PUHAROŁYKOWSKI.

Cóż to? A bez Marcina?

MACIEY.

Ja słyszałem, że on tu do Pana poszedł.

PUHAROŁYKOWSKI.

I jego nie spotkałeś?

MACIEY.

Nie.

PUHAROŁYKOWSKI.

Biegayże prędko, oto on tu być o kilka kroków musi, i wracay się z nim prędzey.

SCENA VI.

PUHAROŁYKOWSKI, ANDRZEY.

ANDRZEY.

Mówiąc prawdę, Mospanie, czas, żeby mnie Pan puścił albo do Niemców albo do Francuzów za moje wierne usługi.

PUHAROŁYKOWSKI.

Jak to? Czego chcesz przez te słowa?

AN-

ANDRZEY.

Czas mnie być Metrem Mospanie.

PUHAROŁYKOWSKI.

Metrem?

ANDRZEY.

A czemu nie? Ja słyszałem, że często lokay Niemiecki albo Francuzki bywa Metrem u nas; czemuż więc wzajemnie lokay Polski nie może być Metrem w Niemczech albo we Francyi? Przyznam się WMPanu, że mam do tego stanu powołanie nie małe; i zda mi się, że ten jest nierównie uczciwszy niż lokayski.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale kawa...

ANDRZEY.

Nie bóy się WMPan o kawę; kiedy WMPanu dałem słowo, że nie wybieży, to nie wybieży. Mospanie, być Metrem....

PUHAROŁYKOWSKI.

Otoż znowu Marcin, a bez Macieja!

SCENA VII.

Ci sami, i MARCIN.

PUHAROŁYKOWSKI.

Cóż? a Maciey? MAR-

MARCIN.

Jak to? Nie był on tu?

PUHAROŁYKOWSKI.

Był, ale pobiegł ciebie ſzukać.

MARCIN.

Mnie też mówiono, że on tu dopiero poſzedł.

PUHAROŁYKOWSKI.

Prędzeyże biegay, a jego zwróć, on tu *nie daleko za drzwiami* być musi. Biegay prędzey, póki *daley* nie zabieży.

MARCIN.

Wraz tu jego przyſtawię.

SCENA VIII.

PUHAROŁYKOWSKI, ANDRZEY.

PUHAROŁYKOWSKI.

Oni cały dzień jeden drugiego dziś będą ſzukali!

ANDRZEY.

Otoż widziſz WMPan, jakich WMPan maſz ſług... Powracam do mego interesſu względem metrowſtwa...

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale porzuć twoje brednie, a powróć

wróć lepiey do kawy. Zachciało się kobyle octu! Tobie być Metrem?

ANDRZEY.

I cóż WMPan o mnie rozumiefz? Powiedź WMPan mnie profzę, co to jeft teraz być Metrem?

PUHAROŁYKOWSKI.

Co to jeft być Metrem!.. Być Metrem jeft to ... jeft to, mówię ... jeft to wrefzcie nie być gawronem, kiedy chciałeś wiedzieć.

ANDRZEY.

Przeprafzam, Mofpanie. Bynaymniey. Być Metrem, jeft to....

SCENA IX.

Ci fami, i MACIEY.

MACIEY.

I nie był tu Marcin?

PUHAROŁYKOWSKI.

Ja mówiłem, że nie będzie końca!

MACIEY.

Mówił mnie ftajenny człowiek, że jego tu dopiero wchodzącego widział.

PUHAROŁYKOWSKI.

Poczekay, poczekay. Stóy tu, i czekay, póki on fam nie powróci. Bo

tak

tak wzajemnemu ſzukaniu końca nie będzie.

MACIEY.

Nie Mospanie, ja jego dziś znaleść muſzę, choćby on na ſzubienicę wlazł. Czy ja darmo tyle biegałem?

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale ſtóy, mówię...

SCENA X.

PUHAROŁYKOWSKI, ANDRZEY.

PUHAROŁYKOWSKI.

Czy nie utrapienie z temi ludźmi?

ANDRZEY.

Metrem być, *Mospanie*, jeſt to być cudzoziemcem, *mieć parę ſukień* trochę lepſzych niż lokayſkie, *umieć* poſtawić dobrą fantazyą; nie mieć, jak mówią, wrzodu w gębie; albo mieć język, któryby miał trzy przymioty: popierwſze...

SCENA XI.

Ci ſami, i MARCIN.

MARCIN.

Jak to? jeſzcze tu tego łotra nie ma?

Pu-

Puharołykowski.

Stóy, ſtóy, poczekay, chodź tu...

Marcin.

Już, już wiem gdzie być musi. W momencie tu jego przyprowadzę. O kilka tylko kroków ztąd być musi.

Puharołykowski.

Ale ſtóy, mówię, nie idź...

SCENA XII.

Puharołykowski, Andrzey.

Puharołykowski.

Ja nie wiem, co mnie trzyma, że ja tym hultajom głów dziś nie poroztłukam!

Andrzey.

Jeſt to mieć język, mówię, któryby miał trzy przymioty: popierwſze, jak mówiłem, żeby umiał po cudzoziemſku...

Puharołykowski

Nie uważając co Andrzey mówi.

Jak to teraz trudno doſtać ludzi rozumnych!

Andrzey

Rozumiejąc, że mówi o jego materyi.

Ja WMPanu mówię, że do tego rozumu

zumu nie potrzeba, ale języka; języka, któryby umiał naprzód mówić pocudzoziemſku: powtóre, za pozwoleniem WMPana łgać: żeby ſiebie można udać za człowieka wielkiego i godnego, który przez awantury przybywa z oyczyzny do cudzych krajów.

PUHAROŁYKOWSKI *nie uważając co mówi Andrzey.*

To będzie nakoniec, że oba zginą, i żaden ſię więcey nie pokaże.

ANDRZEY *rozumiejąc, że mówi o jego materyi.*

Kiedy te oba przymioty zginą, i żaden ſię na Metrze nie pokaże, to trzeba żeby przynaymniey miał przymiot trzeci, który jeſt żeby umiał gadać pewnym ſposobem, któryby nie każdy zrozumiał, a każdy uſłyſzawſzy pomyślił, że to człowiek nie dudek, i ma oley w głowie.

PUHAROŁYKOWSKI *nie uważając co Andrzey mówi.*

Ja powiadam, że nim oni powrócą, pierwey gość przyjedzie, dla którego chcę czynić przygotowanie.

AN-

ANDRZEY

Rozumiejąc, że mówi o jego materyi.

Tak jak, to WMPan dobrze mówisz: tego sposobu mówienia powinien Metr szczególnie używać przed gośćmi, żeby uczynił sławę i sobie, i swojemu Panu, i swojemu uczniowi. Objaśniam całą rzecz w przykładzie. Imaginuy WMPan, że WMPan porodziłeś syna, i że ja się WMPanu rekomenduję na jego edukacyą za Metra...

PUHAROŁYKOWSKI

Nie uważając co mówi Andrzey.

Cóż? i nie doczekam się dziś?

ANDRZEY

Rozumiejąc, że mówi o jego materyi.

Owszem wraz, tego momentu rozpoczynam ten przykład. Pożycz mnie WMPan tylko swego kapelusza.

PUHAROŁYKOWSKI.

Kapelusza mam tobie pożyczać? Na co?

ANDRZEY.

Obaczysz WMPan.

PUHAROŁYKOWSKI *zdeymując z głowy kapelusz, i daiąc Andrzejowi.*

Masz; cóż więc z tego będzie? (*Andrzey trzymając w ręku kapelusz, maią-*

ma się, sztafiruje się, poprawuje kołnierz, kamizelkę, chrząka, kaszla poważnie) Cóż to ma znaczyć? Jaką to scenę rozpoczynasz?

ANDRZEY.

Skrzydło-lotne awantury.. zazdrosno-okiey fortuny.. przynękają nieraz serca szlachto-rodne.. pomiotłszy oyczysto-progie siadła i siedziby,.. ryskować *błędo-krokie* kroki swoje.. na perspektywę *awanturno-rodą* zagraniczno-ziemnych losow.

PUHAROŁYKOWSKI.

On oszalał!

ANDRZEY.

Wszakże z tym wszystkim jednak i jednakże... *jednak, mówię,* i jednakże... lubo sierdzisto-dmuche wydmuchy ni to na rozdąsanym proszko-krągu wywnętrzającey się powietrzności... wszakze mówię...

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale zkąd u niego jednak tak wiele wybornych słów?

ANDRZEY.

Jako, mówię, okręt żaglo-piętv na skało-kute zachełbany oporzystości... który, mówię, chłoitają zewsząd grado-

do-bitne ſzarugi, i ſzumno-dumne wichrzyſtości ...

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale zkąd jemu jednak taka wymowa!

ANDRZEY.

Nito ... nito, mówię, pleco-bitne batożyſtości ...

PUHAROŁYKOWSKI.

Prawdziwie nigdy nie rozumiałem, żeby ten człowiek miał tyle światła.

ANDRZEY.

Wre ... kipi ... burzy ſię ... pieni ſię ... ſzumi ... *wybiega kawa z wielkim ſzumem i dymem.*

PUHAROŁYKOWSKI *porywając ſię z krzeſła.*

Ach hultay! kawę wypuścił! Ja mówiłem, że tak będzie! *bieży ſam do fajerki:* O nic poczciwego ludzie!

ANDRZEY *z podziwieniem.*

Patrz WMPan! wſzak doprawdy wybiegła!

PUHAROŁYKOWSKI.

Ja tobie to mówiłem hultaju, że tak będzie.

ANDRZEY.

Prawdziwie WMPana rozum jeſt dziwnie przenikły.

PUHAROŁYKOWSKI
Oblewa Andrzeja oślatkiem kawy.

Pij hultaju teraz sam, jak zgotowałeś.

ANDRZEY *uciekając:*

Ach Mospanie! jeszcze nie ustała się.

PUHAROŁYKOWSKI.

I żadnego człowieka przy sobie nie mam. *Andrzeju!..* hey! Andrzeju!

SCENA XIII.

PUHAROŁYKOWSKI, MACIEY, MARCIN.

MACIEY.

Wreszcie, Mospanie, tego hultaja znalazłem.

MARCIN.

Mospanie! kłamie jak bestya! owszem ja jego znalazłem.

MACIEY.

I śmiesz przed Panem tak kłamać w oczach moich?

MARCIN.

I nie mász czoła takie rzeczy pleść mnie w oczy?

PUHAROŁYKOWSKI.

Słuchaycie, mnicyśta o te...

MAR-

MARCIN.

Ty może chciałeś gdzie iść do karczmy, kiedy ciebie wróciłem.

PUHAROŁYKOWSKI.

Słu.. .

MACIEY.

Ty może chciałeś gdzie iść kraść, kiedy ciebie zatrzymałem.

PUHAROŁYKOWSKI.

Słuchaycie!...

MARCIN.

Psie ty! do obracania pieczeni w kole!

MACIEY.

Kocie ty do obrywania połciow w kominie!

PUHAROŁYKOWSKI

Daje w gębę jednemu i drugiemu.

Ja was zaraz pogodzę.

MACIEY

Rozumiejąc, że wziął w gębę od Marcina:

Jeszcze mnie bijesz?

MARCIN

Rozumiejąc, że wziął w gębę od Macieja:

Jeszcze mnie jezdzisz po pysku?

MACIEY *dając w gębę Marcinowi.*

Kwita!

MARCIN *dając w gębę Maciejowi.*

Kwita! Pu-

PUHAROŁYKOWSKI *ſtawając między obu.*

Ale ſtóycie! Co robicie?.. Ja wam dałem w gębę, ja; i jednemu i drugiemu.

MACIEY.

To WMPan jeſteś, co mnie dałeś w gębę?

PUHAROŁYKOWSKI.

Ja, ja. I jeſzcze dam, kiedy nie będzieſz milczał.

MARCIN.

To od WMPana miałem honor odebrać ten znak na twarzy jego Pańſkiey poufałości?

PUHAROŁYKOWSKI.

Odemnie, odemnie.

MARCIN.

To co inſzego.

MACIEY.

To i ſłowa nie ma.

PUHAROŁYKOWSKI.

Słuchaycież więc wreſzcie, co wam chcę już dawno...

MARCIN *wskazując na Macieja.*

Ale żeby ten Jegomość miał tyle odwagi...

PUHAROŁYKOWSKI.

Czy jeſzcze?.. Słuchaycie, mówię..

MA-

Maciey.

Bo na Pana Marcina byłoby to bardzo za wiele.

Puharołykowski.

Przysięgam, że kiedy jeszcze który przebęknie, weźmie drugi raz.

Marcin.

Nie uważay WMPan, mów, już i słowa nie powiemy.

Puharołykowski.

Naprzód mi powiedzieć macie, czy powrócił który z moich dworskich, których porozsyłałem dla sprowadzenia rzeczy potrzebnych do przyjęcia tego wielkiego gościa, którego czekam?

Marcin *cicho do Macieja.*

Pies!

Maciey *cicho do Marcina.*

Kot!

Marcin *cicho.*

Do koła!

Maciey *cicho.*

Do połciów.

Puharołykowski.

Co wy tam burczycie pod nosem?

Marcin.

Co Pan każe?

Pu-

PUHAROŁYKOWSKI.

Ja pytam się, czy powrócił który z dworskich? albo Marszałek? albo Koniuszy? albo którykolwiek?

MARCIN.

Nie ma, Mospanie, jeszcze żadnego. My teraz jesteśmy u Pana całym dworem.

PUHAROŁYKOWSKI.

I przeto uczyńcie przygotowanie wszelkie, żeby było gotowo przynaymniey to wszystko, co jest w domu, żebyście potym byli wolni do zakrzątnienia się około tych rzeczy, które będą przywiezione. Żadnego momentu tracić nie trzeba, za dwa może albo trzy dni gość ów nadjedzie, a może i dziś jeszcze jego bagaże przyyjdą. Choć jeszcze nie wiem, kogo to mam mieć u siebie, jest to jednak jakiś wielki gość, jak móy przyjaciel Pan Podkomorzy Mecenasewicz mnie zapewnia w swoim liście; dla tego chcę jego przyjąć, jak mogę tylko naylepiey. Żeby przynaymniey świat wiedział, że dom Jaśnie Wielmożnych Puharołykowskich równie obfituje jak w rodowitość i godność, tak i w dostatki

ftatki i w majętność, że zna się na ludziach, i umie godnych gości przyymować. Naprzód piędziesiąt butelek wina Węgierskiego, które są świeżo sprowadzone, przenieść z piwnicy do sklepiku salnego, żeby były na pogotowiu; a dziesięć z tych dać mnie dziś na skosztowanie na obiad. Powtóre....

SCENA XIV.

Ci sami i ANDRZEY.

ANDRZEY.

Mospanie, ktoś do Pana przyjechał, i chce mieć u Pana audyencyą; czy każe Pan jego przypuścić?

PUHAROŁYKOWSKI.

Któż to taki? Czy się pytałeś o nazwisko? Czy co godnieyszego? bo by się trzeba pierwiey przybrać.

ANDRZEY.

Bynaymniey, Mospanie. Naprzód nazwisko jego jest Murzalski; więc dla nazwiska już przybierać się nie trzeba. Wreszcie też nie bardzo około niego po Pańsku. Taratatka na nim ordynaryyna, przyjechał w koczu

czter-

czterma końmi, ludzi ma dwóch z sobą, a trzeciego ſtangreta.

PUHAROŁYKOWSKI.

Proś więc go tu.

ANDRZEY *mówi za parawany.*

Szlachto-rodny gościu! otworzyſto-sercość Pana mojego, Jaśnie Wielmożnego na wielkich i małych puharach Puharołykowſkiego, rozwiera ſzczęsno-błogim ſtopom twoim ſwoje podwoyno-progie weregi.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale zkąd memu Andrzejowi takie krasomówſtwo. Dotychczas o nim nie wiedziałem.

SCENA XV.

Ci sami, i MUZALSKI.

PUHAROŁYKOWSKI *powſtając z krzeſła.*

Podobno witam JMPana Murzalſkiego?

MUZALSKI.

Jeſtem Muzalſki do uſług Pana, nie zaś Murzalſki.

PUHAROŁYKOWSKI.

Muzalſki? to się móy lokay pomylił.

Mu-

MUZALSKI.

Nie śmiałbym w Pana progi wstępować nie będąc onemu znajomy; lecz Pan Podkomorzy Mecenasewicz, móy szczegulny łaskawca, obowiązał mnie koniecznie, abym onych nie mijał. Jego ten dla mnie roskaz, spodziewam się, że moję śmiałość przed Panem zasłoni, list też ten, który do Pana pisze, może co o mnie wzmiankuje, i jaką za mną rekomendacyą przynosi.

PUHAROŁYKOWSKI.

Bardzo więc WMPan jesteś miłym dla mnie gościem, jeśli od Pana Podkomorzego przyjeżdzasz, bo uwiadomisz mnie bardzo wcześnie o owym gościu, którego się od Pana Podkomorzego spodziewam. Móy Dobrodzieju, co to za gość tam jest u niego, którego ja oczekiwam, i kiedy się mam jego spodziewać?

MUZALSKI.

Prawdziwie o tym Panu dać informacyi nie umiem. Są wprawdzie u Pana Podkomorzego goście, to jest Hrabia Komicki z swoim przyjacielem

Panem

Panem Swiatłeckim, których ja jestem towarzyszem podróży...

PUHAROŁYKOWSKI.

Ach Hrabia Komicki! słyszałem o nim, choć go nie znam; co to ma być drwiarz, słyszę, sławny?

MUZALSKI.

O tym nie wiem, to wiem, że jest Pan bardzo wesoły, który ma równie światły i jasny rozum, jak humor. Wszakże ten inkommodować Pana pewnie nie będzie; prosto pojedzie. Pana te dobra są znacznie z drogi, ja z tey zboczyłem na roskaz Podkomorzego, i żebym dostał honoru poznania Pańskiey osoby; i przeto też prędzey od Pana Podkomorzego wyjechałem, abym Hrabiego potym łatwiey w drodze doścignął.

PUHAROŁYKOWSKI.

Jakże to być może? A Pan Podkomorzy mnie upewnił o jego przybyciu; i ja się na jego przyjęcie gotuję.

MUZALSKI.

Nie wiem o niczym.

PUHAROŁYKOWSKI.

Obaczmyż, co ten list nam powie.

Musi

Musi on nam czynić o tym jakąkolwiek wzmiankę. *Odrywa pieczęć.* Andrzeju! chodź tu. WMPan się dziwować nie będziesz, że ja się sam czytaniem zatrudniać nie zwykłem. Drudzy się wstydzą, że czytać nie umieją, i słusznie, kiedy są chudzi pachołcy; ale mnie stoje z łaski Pana Boga na to, żebym mógł chować kogo przy sobie, któryby mnie w tey fraszce zastąpił. *Dając list Andrzejowi.* Czytay, co tu napisano.

Andrzey *czyta.*

Jaśnie Wielmożny Mości-Panie Puharołykowski!

„ Uiszczam się WMPanu w obietnicy mojey. Obiecałem WMPanu w poprzedzającym liście przysłać gościa wielkiego, sławnego, i szczegulnego, któregobyś WM Pan pewnie poznać i mieć w swoim domu miał naywiększą satysfakcyą...

Puharołykowski *do Muzalskiego.*

Ach Mościpanie Muzalski i Dobrodzieju! wybacz że go poznać i tak przyjąć, jak należało, nie umiałem. Krzesła prędzey!

Mu-

MUZALSKI.

Nie chciey Pan, proszę, czynić sobie żadney subjekcyi. Pan Podkomorzy albo żartuje, albo zbytkuje bardzo w swojey ku mnie łasce...

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale do żadney rzeczy nie przystąpiemy, póki WMPan Dobrodziey nie siądziesz.

MUZALSKI.

Jak Pan kaze. *Siadają.*

PUHAROŁYKOWSKI.

Czytay daley.

ANDRZEY.

„ Oto przysyłam WMPanu człeka,
„ który jest zaszczytem naszego kraju
„ i naszego wieku. „

PUHAROŁYKOWSKI.

Marcinie! konie czy zaprowadzone do stayni? Biegay prędzey. Macieju! żeby tego momentu była czokolada.

MACIEY.

przystępując do Pana pyta się cicho.

Czy dla koni czokolada? czyli też....

PUHAROŁYKOWSKI.

do Macieja cicho.

Dla koni czokolada?.. Dla gościa, bara-

barania głowo! dla gościa! *odchodzą oba lokaje.*

MUZALSKI.

Ja się, Panie, protestuję przeciwko wszystkim tym wyrazom czy żartobliwym czy zbytecznym, które mnie niespodzianie sprawują takie zawstydzenie...

PUHAROŁYKOWSKI.

Dopuść WMPan Dobrodziey, aby była kontynuowana dla mnie ta lekcya, która mnie uczy, jak mam przyymować i szacować tak godnego gościa.

ANDRZEY.

„ Jest to wprawdzie prosty Szlach-
„ cic, nie znakomity ani bogactwa-
„ mi, ani szczególną rodowitością,
„ lecz nierównie czym większym.
„ Bo ludzi bogatych i rodowitych
„ mnóstwo rodzi świat codzień, ale
„ takie talenta i takie dowcipy le-
„ dwie się gdzie nie gdzie w którym
„ wieku okażą. Słowem, przysyłam
„ WMPanu sławnego literata i Poetę
„ w naszym wieku.

Jaśnie Wielmożnego WMPana
Dobrodzieja Nayniższy Sługa.
Mecenasewicz Podkomorzy.

MUZALSKI.

Jak się protestowałem; tak się protestuję przeciwko całemu temu listowi, móy Panie.

PUHAROŁYKOWSKI *do Andrzeja.*

I cóż? i więcey nic nie masz?

ANDRZEY.

Jest jeszcze cóś ..*ślepi i marudzi moment, potym czyta:* Roku 1798. Dnia 7. Paździerńika.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale nie to! Okrom tego czy nie ma nic więcey?

ANDRZEY.

Nie ma, ale jeżeli Pan chce, to ja dodam na pamięć, i stylem nie równie lepszym i wyższym, bo to styl jest *prosty i* nic nie warty.

PUHAROŁYKOWSKI.

powstając z nieukontentowaniem.

A móy Mospanie Muzalski czy Murzalski! nie będąc jak tylko prostym szlachcicem, nie znakomitym *ani* z rodowitości ani z dostatków, za takiego się gościa udawać, i mnie tak oszukiwać!

MUZALSKI.

Na mnie się WMPan za to gniewasz?

wasz? Gnieway się raczey WMPan na Pana Podkomorzego wespół zemną; bo ja sam się prawdziwie na niego gniewam, że mnie tak zawstydza, i takiego figla wyrządza.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ach jak jestem oszukany! Takie rzeczy dziś do mnie pisać?... *mówi niby przedrażniając*: (bo ludzi bogatych i rodowitych mnóstwo rodzi świat codzień, ale takie talenta i takie dowcipy ledwie się gdzie niegdzie w którym wieku okażą. Nie Mospanie Muzalski, nie; nie daway się WMPan takiemi maxymami uwodzić. To są maxymy nowo-modne, Francuzkie, Libertyńskie, Farmazońskie, Ateuszowskie, Mahometańskie! Co Pan, to Pan, a co prosty szlachcić, to prosty szlachcic: tak u nas zawsze bywało. Tam do kata! do czego to już przyszło! że kto wiersze umie robić, to już gość wielki! sławny! szczegulny! niewysławiony! nieporównany! Ach ledwie z gniewu niepękam!.. Ja czynię takie zachody, ja gotuję takie bale, takie wspaniałości; ja rozesłałem cały móy dwór na czynienie przy-

gotowania, a tu przyjeżdża do mnie Pan literat i Pan Poeta, i na tym się skończyło. Ja tego afrontu nigdy Panu Mecenasewiczowi nie daruję!

MUZALSKI.

Ja to samo. Już to WMPanu mówiłem.

PUHAROŁYKOWSKI.

Nie, Mości Panie Muzalski, nie; z wierszow nie urodzi się ani pszenica, ani żyto, ani jęczmień, ani owies, ani gryka, ani groch, ani siano, i z weny Poetyckiey nie wypłynie ani wino Węgierskie, ani Szampańskie, ani wódka Gdańska, ani ratafia; i z tych gwiazd, które literaci po Niebie zbierają, żadney sobie miasto orderu do boku nie przypną, i z swoich książek nie złożą płytu na sprowadzenie z Rygi pieniędzy, i Panowie Muzalscy kiedy się będą karmić wierszami, to będą zawsze tak chudzi pachołcy jak WMPan, a Jaśnie Wielmożni Puharołykowscy będą zawsze tak tłuści, jak ja z łaski Pana Boga; *bijąc siebie po wielkim brzuchu.* i sława tego domu będzie zawsze tak

w peł-

w pełni, jak mnie WMPan widzisz z łaſki Pana Boga; *znowu ſiebie bijąc po brzuchu*; kiedy tym czasem imię Panow Muzalſkich będzie w zaćmieniu zawsze, jak jeſt. Nakoniec, Mości Panie Muzalſki, wiedz WMPan, że u mnie literaci za lokajow ſłużą. Oto WMPan masz przykład w tym człowieku. *wskazuje na Andrzeja.* Umie ten człowiek z łaſki Pana Boga i czytać i piſać, i mówi bardzo pięknie; jednak (*tonem ſzyderskim*) raczy u mnie z łaſki ſwojey zoſtawać za lokaja.

MUZALSKI.

Dosyć tego, móy Panie. Widzę, że moja przytomność rozjątrza WMPana coraz bardziey. Usuwam ſię więc co nayrychley...

PUHAROŁYKOWSKI.

biorąc za rękę Muzalskiego.

Poczekay WMPan.

MUZALSKI.

Nie, darujesz móy Panie, że do pełnienia tego roskazu cale nie mam ochoty.

PUHAROŁYKOWSKI.

No, wybacz WMPan! unioſłem ſię trochę przeciwko WMPanu nieſłusznie.

nie. Poznaję sam, że nie tak to wina WMPana, jak Pana Mecenasewicza. Daruy WMPan, a zjedz zemną obiadek, i zapijemy tę sprawę. Szlachcic WMPan jesteś, dosyć tego. (Szlachcic na ogrodzie równy Wojewodzie.) Nie rozumiey WMPan, żeby dom Puharołykowskich tak był niegościnny. Zjemy z sobą obiadek taki, *jaki Pan Bóg dał, i jaki* jest nagotowany. To prawda, że *balow* takich dla WMPana nie będę gotował, jakich chciał Pan Mecenasewicz, i na jakie się gotowałem oszukany. Proszę WMPana z sobą.

MUZALSKI.

Uwolnisz *mnie* WMPan. *Już* mu mówiłem, że jadę w towarzystwie, i muszę moich towarzyszow dopędzać.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale to być żadną miarą nie może. Andrzeju! biegay, żeby pojazd w wozowni dobrze zamknięto, i pod strażą trzymano: ludzi gościnnych popoić tak, żeby żaden nie ruszył ani rączką ani nożką. *Andrzey odchodzi.*

MU-

Muzalski.

Przynaymniey ten ostatni swóy roskaz chciey WMPan odwołać.

Puharołykowski.

Nie uważay WMPan; ja się sam dziś z WMPanem tak chcę upić. Ja lubię, kiedy mam z kim podweselić się. Szacuję i poważam w WMPanu szlachcica, choć prawda że nie literata, ani Poetę: tego nie odwoływam. Ale szacuję w WMPanu krew szlachecką, i tę muszę dziś przeto dobrze winem Węgierskim zaprawić. Proszę z sobą. *Odchodzi.*

Muzalski.

Ha! jakiego mnie dziś figla móy Pan Podkomorzy wyrządza! Równie jestem nie kontent z gniewu jak z łaski tego gospodarza.

AKT II.

SCENA I.

Hrabia Komicki, Swiatłecki.

Hrabia.

Cóż to Mospanie Swiatłecki? Przyjechaliśmy podobno do owego domu

snu

ſnu, który opisuje Owidyuſz w Księdze Przemian. Żywey nie maſz duſzy ani na dziedzińcu, ani w Pałacu. Głuche wſzędzie milczenie, które ledwie gdzie przerywa z niektórych kątow chrapanie. Czy deſzcz z opium ſpadł na te mieysca?

SWIATŁECKI.

Czy z wina lub z gorzałki?

HRABIA.

Nie maſz nawet kogo ſpytać ſię, jeſt tu naſz Muzalſki, lub nie?

SWIATŁECKI.

Być zapewnie musi. Tak prędko ztąd zapewnie wyjechać nie mógł.

HRABIA.

Wreſzcie tu ktoś ſię przysuwa.

SCENA II.

Ci ſami, i ANDRZEY *pijany.*

ANDRZEY *czyni komplement do gości.*

Bło.. bło.. błogo-ſzczęsne są te *we..* weregi, które ſzczy.. ſzczycą tak ſzlachto-rodnych gości błę.. błędnokrokie kroki *ſtania ſię;* a lubo .. lubo mówię ...

HRA-

Hrabia.

Bez tylu ceremonii z nami przyjacielu. Jeſt Pan w domu?

Andrzey

Lu..lubo, mówię, jako na pro.. proſzko-kręgu, kie...kiedy wilgotne humory za..zaćmią trochę..tak w głowie cz..łowieczey...

Swiatłecki.

Ale bez tych ceremonii przyjacielu. Powiedź nam, Pan czy jeſt w domu?

Andrzey.

W..głowie, mówię, cz..łowieczey che..chełbające ſię niejakie wilżyſtości...

Hrabia.

Goście czy są jacy w tym domu?

Andrzey *ſłaniając ſię.*

Che..chełbające ſię, mówię...

Swiatłecki *wypycha precz Andrzeja.*

Idź won do nieſzczęścia pijaczyſko!

Andrzey.

Che..chełbające ſię, mówię...

Swiatłecki.

Czy tu wſzyscy popili ſię? czy co u nieſzczęścia!

Hra-

Hrabia.

Czy i Muzalſkiego naſzego tu nie upoili.

Swiatłecki.

Otoż idzie tu ktoś drugi.

SCENA III.

Hrabia, Swiatłecki, Maciey *pijany.*

Maciey.

Co tu za ha..ha..łasy?

Swiatłecki.

I ten nie lepſzy.

Hrabia.

Przyjacielu, chodź tu. Pan czy znayduje ſię w domu?

Maciey.

Je..jeſzcze nie; ſzu..ſzukam jego, ale nie mogę znaleść; bo..też, pr..awdę mówiąc, i nogi mnie tro..chę....

Swiatłecki.

Ale czy jeſt w domu?

Maciey.

Mu..musi gdzieś być.

Hrabia.

Może śpi?

Maciey.

Mo..może.

Swia-

Swiatłecki.

Gościa czy ma jakiego?

Maciey.

Mo . . może.

Hrabia.

Gość jaki czy jeſt w tym domu?

Maciey.

Go . . goźdź? . . Goździow gr . . omada, i beczek gromada.

Hrabia.

Bardzo to znaczno; ale my pytamy ſię, czy nie ma w tym domu jakiego gościa?

Maciey.

A . . a . . wſzakże ſami Panowie g . . óśćmi być muſzą zapewnie u . . nas?

Swiatłecki.

Dóydźże z takiemi ludźmi ſprawy.

Hrabia.

Czy nie możeſz nam, przyjacielu, zawołać jakiego człowieka trzeźwego?

Swiatłecki.

Mamy oto jeſzcze jednego. Day Boże! żeby trzeźwy.

SCENA

SCENA IV.

Ci ſami, i MARCIN *pijany.*

MARCIN.

C..o tu P..anowie mają ſprawę z tym pi..jakiem? Pi..jany jak be.. beſtya, i p..rzyſzedł z Panami rozmawiać. P..recz ztąd pi..pijaku! *wypycha Macieja.*

MACIEY *wzajemnie wypycha Marcina.*

Sam p..ódź p..recz pijaku. *Upadają obydwa. Powſtają, i znowu zaczynają ſiebie wypychać.*

MARCIN.

P..recz pijaku!

MACIEY.

P..recz m..oczy-mordo!

SWIATŁECKI *wypychając Macieja.*

Ty idź precz, i uſtąp, ciebie już ſprobowaliśmy. *biorąc Marcina za rękę.* Ty zaś, przyjacielu, chodź tu do nas.

MARCIN.

Do..dobrze Pan zrobił, bo..bo też pijany jak beſtya.

HRABIA.

Tak jeſt, przyjacielu, dobrze że ty przyſzedłeś: ty nas przynaymniey uwiadomiſz, o czym wiedzieć chcemy.

Słu-

Słuchay, przyjacielu: Czy jeſt tu jaki..

Marcin.

Ta..k jeſt, ja Panow uwiadomię o w..ſzyſtkim.

Hrabia.

Czy jeſt więc tu...

Marcin.

Ja pi..pijaków z natury cie..rpieć nie mogę.

Hrabia.

Dobrze czyniſz; więc powiedź nam..

Marcin.

Jak do..dorwie ſię drugi, to żło.. pie aż po dziurki.

Swiatłecki.

Już day temu pokoy; a ſłuchay o co ſię pytamy.

Marcin.

D..obrze; więc d..am już temu pi..jakowi pokoy.

Hrabia.

Day już jemu pokoy, a powiedź...

Marcin.

Tak, j..uż jemu dam pokoy.

Hrabia.

I nie przeryway naſzego pytania.

Marcin.

I..nie będę p..rzerywał pytania.

Hra-

HRABIA.

Czy jeſt tu który...

MARCIN.

Bo też s..ługa Panom mowy pr..zerywać nie p..owinien.

HRABIA.

Czy jeſt w tym domu...

MARCIN.

Do P..anów należy pytać ſię, a do ſług s..łuchać.

HRABIA.

Pytam ſię więc ciebie, czy jeſt tu..

MARCIN.

A d..rugi M..ospanie jak za..cznie gadać, to końca nie ma, a Pa..panom gadać nie daje.

SWIATŁECKI.

Więc i ty tak nie czyń, a ſłuchay.

MARCIN.

J..a tak nie ucz..ynię.

HRABIA.

Więc mów mi...

MARCIN.

I będę ſł..uchał.

SWIATŁECKI.

Więc milcz, kiedy chceſz ſłuchać, a odpowiedź nam na to, czy...

MAR-

Marcin.

O..dpowiem zapewnie.

Hrabia.

Ale przeſtań więc gadać.

Marcin.

P..rzeſtanę.

Swiatłecki.

Kiedyż?

Marcin.

Kie..dy Panowie każą..

Hrabia.

My każemy wraz, tego momentu.

Marcin

Wi..ęc wraz, tego m..omentu.

Swiatłecki.

I nie przerwieſz nam więcey pytania?

Marcin.

Ni..e przerwę.

Swiatłecki.

Więc ſłuchay, i odpowiedź nam na to...

Marcin.

Kie..dy dałem raz ſł..owo...

Swiatłecki.

Czy jeſt tu....

Marcin.

To nie przerwę.

Swia-

SWIATŁECKI.

Czy jeſt tu jaki...

MARCIN.

S..miało WMPan, śmiało! j..uż nie przerwę.

HRABIA *śmieje ſię.*

Cha cha cha.

SWIATŁECKI *z gniewem do Marcina.*

Czy ſłyſzyſz?

MARCIN *zlękniony.*

Ach! ach! j..uż już ani ſłówka.

SWIATŁECKI.

Patrzayże! bo przysięgam, że tobie gębę tą pięścią zamknę!

MARCIN.

J..uż, już!

SWIATŁECKI.

Mówże więc, czy jeſt jaki gość w tym domu okrom nas? (*Marcin milczy*) Cóż więc?

HRABIA.

Odpowiaday więc.

MARCIN.

A..a..czy wolno?

SWIATŁECKI.

Już-ciż, na to ſię pytamy.

MARCIN.

To..to już teraz w..olno mówić.

SWIA-

Swiatłecki.

Wolno odpowiadać na to, o co ſię pytamy.

Marcin.

A. . a . . o cóż ſię WM. . Panowie pytacie?

Swiatłecki.

Czy jeſt jaki gość w tym domu okrom nas?

Marcin.

J. . eſt.

Hrabia.

Chwałaż Bogu, że wreſzcie wyczerpneliśmy tę jedną ſyllabę, która nam tyle koſztowała!

Marcin.

Ja w. . yczerpnąłem dziś jeſzcze więcey, ale jednak. . .

Swiatłecki.

Jakże ſię ów gość nazywa?

Marcin.

Coś t. . ak od Mu. . mu. . mu. . mu. .

Hrabia.

Muzalſki.

Marcin.

T. . ak jeſt Mu. . muzalſki.

Swiatłecki.

Gdzież on jeſt?

Mar-

MARCIN.

W tym p..okoju śpi pi..jany jak b..estya.

SWIATŁECKI.

Co mówisz?

HRABIA.

Cha cha cha.

MARCIN.

D..alibóg tak!

HRABIA.

Idźmy prędzey, będę miał wielką satysfakcyą widzieć Muzalskiego pijanego. *Oochodzą oba do pokazanego pokoju.*

MARCIN

Przypatrując się w przeciwną stronę i przecierając sobie oczy.

C..o to? czy mnie się w o..czach roi?

SCENA V.

MUZALSKI MARCIN.

MUZALSKI.

Dokąd poszli?

MARCIN.

C..zy jaką ma..marę widzę?..W..szak WMPan podobno j..estes P..an Mu..mu..muzalski?

MU-

Muzalski.

Cóż z tąd?

Marcin.

A z tey s..trony pr..zychodzisz?

Muzalski.

Cóż z tąd?

Marcin.

W..szak WMPan do..pioro sp..ałeś pi..jany jak beſtya w tym p..okoju?

Muzalski.

Kiedy? Pijaczyſko ty obrzydłe!

Marcin.

A..ach! prawda! to był p..odobno M..aciey, cz..y Andrzey.

Muzalski.

Goście dokąd poszli?

Marcin.

P..rawdziwie nie u..ważałem. Po..dobno do tego p..okoju, *pokazuje na inny pokoy, niż do którego poszli.* T..ak, tak, do tego.

Muzalski.

Do tego?

Marcin.

D..o tego. *Muzalski odchodzi.*

SCENA VI.

HRABIA, SWIATŁECKI, MARCIN.

HRABIA.

Dokąd ty nam pokazałeś? W tym pokoju śpi jakiś lokay.

MARCIN.

T..ak jest, po..pomyliłem się; A..ale Pan Mu..muzalski był tu dopio..ruchno, i szu..kał WMPanow.

SWIATŁECKI.

Dokądże poszedł?

MARCIN.

Po..dobno do tego pokoju (*pokazuje na trzeci inszy pokoy, dokąd Muzalski nie poszedł. Goście tam idą.*) Z..nowu powraca Mu..muzalski Co oni d..ziś siebie z..naleść nie mogą?

SCENA VII.

MUZALSKI, MARCIN.

MUZALSKI.

W tym pokoju nie ma nikogo.

MARCIN.

C..czy nie ma?

MU-

Muzalski.

Pódź precz pijaczyſko! ty sam nie wieſz, na którym mieyscu zoſtajesz.

Marcin.

C..zy nie wiem?

Muzalski.

Idź, i położ ſię spać.

Marcin.

C..zy tak zrobić? I..i..ja tak myślilem. K..łaniam WMPanu. *Odchodzi.*

Muzalski.

Owoż nasi goście!

SCENA VIII.

Hrabia, Swiatłecki, Muzalski.

Hrabia.

Chwałaż Bogu, że WMPana wreszcie znaydujemy!

Muzalski.

Ja też wreszcie ledwie WMPanow znayduję.

Swiatłecki.

Pijak tu jakiś lokay zrobił nam z tych kilku pokojow labirynt Kreteńſki!

MUZALSKI.

Jakiż tu traf WMPanow tak niespodzianie przynosi?

HRABIA.

Przyszła nam fantazya tu zboczyć za naszym towarzyszem, żebyś się nie frasował o dopędzanie nas.

MUZALSKI.

A ja tylko co już wyjeżdżać miałem.

HRABIA.

Jak to? tak prędko? Także to WMPanu Pan Puharołykowski jest rad?

MUZALSKI.

Ach wiele o tym mówić Hrabio! Szkoda żeście trochę nie pospieszyli, mielibyście tu moim kosztem dobrą Komedyykę.

HRABIA.

No, cóż to takiego? mówże nam. Wszak wiesz jak móy humor rzeczy Komiczne lubi. Cóż się ci tu zdarzyło?

MUZALSKI.

Jakiego mnie figla Pan Podkomorzy wyrządził!

HRABIA.

No?

MU-

MUZALSKI.

Napisał o mnie jeszcze kilką dniami pierwiey do tego Pana Puharołykowskiego, że ma mu przysłać gościa jakiegoś szczegulnego i niezwyczaynego. On rozumiejąc że ma się spodziewać jakiegoś gościa okrytego orderami z nóg do głowy, czyni jak naywiększe przygotowania, rozsyła cały dwór swóy w tym zamiarze; słowem wynurza się i wywnętrza się jak nayusilniey.

HRABIA.

Bardzo grzecznie.

SWIATŁECKI.

Bardzo chwalebnie.

MUZALSKI.

Przyjeżdżam ja o niczym nie wiedząc. Oddaję list od Pana Podkomorzego. Znayduje on w tym, że ja jestem tym oczekiwanym gościem, którego on zaleca jako literata, i Poetę. Na te słowa porywa się jak podstrzelony niedźwiedź, dąsa się, uskarża się, łaje, oszukanym siebie być woła, wali pioruny i na mnie, i na P. Podkomorzego, i na wiersze, i na nauki, i co się kolwiek jemu nawinie.

Ja przeſtraszony chciałem uciekać; ale mnie nie puścił. Przerażeniem moim wreszcie zmiękczony rozdobruchał ſię nieco, i mnie gwałtem u ſiebie na obiad zatrzymał. Na tym chłodząc swoje przeszłe smutki i alteracye upił ſię okropnie, i śpi w samey ſtołowey sali od kilku godzin.

HRABIA.

Cha cha cha.

SWIATŁECKI.

Nie darmo tu wszyſtko lud pijany!

HRABIA.

Ale to być musi ciekawy charakter tego Pana Puharołykowſkiego!

MUZALSKI.

Jeſt to fasa winna na dwóch nogach, mająca głowę na wierzchu dla tego tylko, żeby winne humory miały się dokąd zbierać. Ta głowa niczym nie jeſt zaprzątniona jak tylko winem, albo rojeniem o ſwojey rodowitości. On rozumie, że jego krew, którą zawſze wſpomina, jeſt ze wſzyſtkim inszego rodzaju niż inszych ludzi, przeto zapewnie, że ſię z wina rodzi lepszego i delikatnieyszego,

tak

tak właśnie, jak w Homerze krew bogow jeſt cale inszego rodzaju niż ludzka przeto, iż ſię rodzi z Nektaru.

SWIATŁECKI.

Jabym jednę moję myśl chciał takiemu człowiekowi objawić, która do pojęcia nayproſtszey nawet głowy okazuje, jak naywiększa rodowitość, i naywiększe razem bogaſtwa, i naywiększa razem, jaka być może, cześć żadney prawdziwey zalety same przez się bez rozumu nie czynią. Za przykład tego zdania jabym takiemu człowiekowi pokazał który Pogańſki bałwan. Ma on znakomitą rodowitość, bo bałwany zawsze robiono z drzew nayszlachetnieyszych, z cedru, z bukszpanu, z cyndału, lub ze srebra, ze złota, z marmuru. Ma on bogaſtwa naywiększe, bo jakiemiż bogaſtwami i ofertami nie osypywali ſwoich bałwanów Poganie? Ma on cześć naywiększą, bo boſką. Ma naywiększą ſławę, bo ſławne bywały imiona bałwanow po całym świecie, a i teraz nawet u nas w naypóźnieyszey potomności. Cóż jednak? Jednak bałwan, zawsze jeſt bałwanem; i ja więcey

cey poważam jedno nayubożſze, nay wzgardzeńſze, naynędznieysze rozumne ſtworzenie, owszem jedną muchę nawet, niż nayświetnieyszego, naybogatſzego, nayszanownieyszego, nayſławnieyſzego bałwana.

HRABIA.

Cha cha cha! WMPan jeſteś człowiek ciekawy, który chcesz oświecać rozumem ludzi nierozumnych! Z takich ludzi trzeba sobie czynić rozrywkę, nie szczerze z nimi poſtępować. Ja jeſtem oſtatni! że muſiemy dziś naſze Komedye daley kontynuować. Dziś taki dzień, co krok, to ſię nam Komedye zdarzają. Komedyą miał Muzalſki z Panem Puharołykowſkim, Komedyą my mieliśmy z jego lokajami: przychodzi mnie na myśl Komedya trzecia zabawnieysza nierównie. niż obie pierwsze, kiedy ſię tylko uda.

MUZALSKI.

Cóż to takiego?

HRABIA.

Ha! co zabrania doświadczyć? Uda się, nie uda ſię. Karety wszak nie ſą wyprzężone. Kiedy ſię nam udawać

nie

nie będzie, to do tych pośpieszemy prędzey. Ja muszę koniecznie moję myśl exekwować, szkoda tak szczegulney myśli.

Swiatłecki.

Tym większa ſię w nas wzbudza ciekawość. Cóż to naprzykład?

Hrabia.

Trzeba się nam dziś za Muzalſkiego koniecznie pomścić. Rzecz, zdami się, że mam w myśli dość dobrze ukartowaną, i z okolicznościami pogodzoną... Pałac cały puſty... kilku tylko ludzi pijanych... ſam Pan pijany śpi jak zabity... Będę oſtatnim, że póydzie dobrze! Chodźcie zemną.

Swiatłecki.

Dokądże?

Hrabia.

Uczyńmy potrzebne rozporządzenia: chodźcie tylko, nauczę wszyſtkiego.

Muzalski.

Idziemy za przewodnictwem takiego dowcipu. Co on przedſiębierze, to ſię zawsze udać musi.

Swiatłecki.

Jużciż kiedy nasz Hrabia zechce robić figle, to zawsze swego dokaże.

AKT

AKT III.

SCENA I.

HRABIA, SWIATŁECKI.

HRABIA.

Czy jeſzcze nie idzie?

SWIATŁECKI.

Jeſzcze nie widać.

HRABIA.

Czy WMPan tylko dobrze obwarowałeś tuteyſzych lokajów, żeby ſię który nie wyrwał, i nam ſceny nie pomieſzał.

SWIATŁECKI.

Co o tych, to zupełne bespieczeńſtwo. Zamknięci wſzyscy na zamek, i człek naſz nadto u drzwi na warcie ſtoi.

HRABIA.

A inne wſzyſtkie drzwi Pałacu czy dobrze wartami obwarowane, żeby kto nie wſzedł?

SWIATŁECKI.

Wſzyſtkie obwarowane dobrze. Ledwie jeden ſię człowiek przy koniach i pojazdach zoſtał.

HRA-

Hrabia.

Więc wszystko póydzie dobrze.

Swiatłecki.

Ja bardzo wątpię.

Hrabia.

Początki idą dobrze. Patrzałem na początek naszey sceny przez szczelinę, rzecz jest przy dobrey nadziei. Ludzie nasi przystawieni do Puharołykowskiego dobrze odprawują swoję rolę, i nasz nieboszczyk w wielkim jest pomieszaniu, i ambarasie. Musi rzecz póyść dobrze. Głowa jest, jak upewnia Muzalski, bez tego bardzo miałka, a nadto jeszcze teraz nie zupełnie z wina wyspana. Ale otoż idzie....

Swiatłecki.

Im rzecz lepiey będzie się udawała, tym ja się bardziey boję, żeby się nie pomieszała; bo ja tym się trudniey wstrzymam od śmiechu. Czy można taką rzecz wyperswadować!.. Cha cha cha! Ja na samo wspomnienie śmiać się muszę.

Hrabia.

Zmiłuy się wstrzymuy się!.. Właśnie w takich okolicznościach śmiać się! WM.

WMPan pamiętay na to, że to są rzeczy ſmutne, nie śmieſzne. Z umarłemi ſprawa! WMPan tylko udaway poważnie osobę gospodarza, i mów kiedy chceſz, a kiedy ſię będzieſz chciał śmiać, to milcz, gębę chuſtką zatknąwſzy chrząkay, albo ſię obróciwſzy pluy. Otoż już wchodzi.

SCÆNA II.

Ci ſami, i PUHAROŁYKOWSKI.

PUHAROŁYKOWSKI

Nie poſtrzegając przytomnych.

Jak to być może?.. W Imię Oyca, i Syna, i Ducha Swiętego Amen. Ja pojąć nie mogę, co ſię tu dzieje!... Prawda, że pełny pałac ludzi nieznajomych, a z moich żadnego nie widzę...

HRABIA *do Swiatłeckiego.*

Otoż ten jeſt ſam, ten; nie wątp WMPan; i nie lękay ſię bynaymniey, bo jeſt zapewnie żywy.

SWIATŁECKI.

A drugiż gdzie?

HRABIA.

Nadeyść i drugi nie bawiąc musi.

SWIA-

SWIATŁECKI.

O jakie cudo!

PUHAROŁYKOWSKI.

Mości Panowie!...

HRABIA.

Patrz WMPan, jednak bladość znaczna pozoſtała na twarzy.

SWIATŁECKI.

Prawda, znaczna bladość!

PUHAROŁYKOWSKI *ſam do ſiebie.*

Co? i bladość jeſt? *Dobywa luſterka i przegląda ſię.* Coś, coś, zda ſię w rzeczy ſamey, że jeſtem blady.

HRABIA.

Przyſtąp, przyſtąp do nas bliżey rzadki gościu ſłonecznych krajów! Przyſtąp poufale do nas, i przywykay do towarzyſtwa ludzi żyjących. Oto jeſt godny gospodarz tego domu (*pokazując na Swiatłeckiego*) Hrabia Ligen-dorf (*Swiatłecki zakrywając chuſtką twarz odwraca ſię, i śmieje ſię*) którego ſię łasce i gościnności poleć.

PUHAROŁYKOWSKI.

Jegomość jeſt tuteyſzym gospodarzem?

HRABIA.

Tak jeſt.

PU-

PUHAROŁYKOWSKI.

I nazywa ſię Ligen.. Ligen.. jak tam?

HRABIA.

Hrabia Ligen-dorf. My chcemy też wzajemnie wiedzieć o nazwiſku WM. Pana.

PUHAROŁYKOWSKI.

Jeſtem Michał na wielkich i małych puharach Puharołykowſki.

HRABIA *do Swiatłeckiego.*

Wiadome WMPanu to imię?

SWIATŁECKI.

Nie pamiętam, abym o nim ſłyſzał.

HRABIA.

U mnie to ſamo pierwſzy raz to imię w uchu powſtaje.

PUHAROŁYKOWSKI.

Jak to? Imię Puharołykowſkich WM Panom nieznajome? imię tak ſławne po całym kraju Polſkim, Litewſkim, i Ruſkim?

HRABIA.

Znakiem to jeſt, że WMPan dług śmiertelności bardzo już dawno wypłacić musiałeś; chociaż tuteyſza ziemia, w którey WMPan byłeś pogrzebiony, tey jeſt natury i mocy, że

WM.

WMPana zwłoki a nawet i ſuknie w całości zupełney zachowała. Takie ziemie na świecie bywają, że wieki w nich całe ciała zupełnie nie naruſzone zoſtają. Takiey natury i ta jeſt ziemia, w którey WMPan ſpoczywałeś, bo nie tylko jego zwłoki, ale też i jego towarzyſza, który z nim razem zoſtanie wſkrzeſzony, całe zupełnie i nie naruſzone leżały.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale dla Boga! o jakim mnie WM. Panowie mówicie wſkrzeſzeniu? o jakich zwłokach? o jakim pogrzebieniu? o jakim długu śmiertelności? Ja, zda mi ſię, że przed kilką godzinami....

SWIATŁECKI *do Hrabiego.*

Ale jak to, móy przyjacielu? czy żadnego już znaku, żadnego napisu przy Jegomościnym grobie nie znaleziono, którыby oznaczał rok jego śmierci.

HRABIA.

Zadnego zgoła. Wſzyſtko czas zatarł. Ziemia jeſt tego gatunku, że nie konserwuje jak tylko ſame ciała i ſukno.

SWIA-

SWIATŁECKI.

Prawda, że rozmaite ziemie rozmaite mają mocy.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale chcieycie mnie WMPanowie posłuchać....

HRABIA.

Wszakże dóyść łatwo, około którego czasu ten świat Jegomość pożegnał. *do Puharołykowskiego.* Czy pamiętasz WMPan, jaki za WMPana czasów Monarcha panował!

PUHAROŁYKOWSKI.

Za moich czasów! .. Nim poszedłem spać panował Paweł Pierwszy, a i teraz tenże sam zapewnie panować musi.

HRABIA.

Tenże sam? Bardzo się WMPan pomyliłeś; bo teraz panuje u nas Piotr Jedynasty.

PUHAROŁYKOWSKI.

Piotr Jedynasty?

SWIATŁECKI.

A Papież który w ten czas siedział na Stolicy Apostolskiey?

PUHAROŁYKOWSKI.

Co to, to trzeba przypomnieć....

Wszak

Wſzak teraz u nas podobno Papieżem Pius Szóſty?

HRABIA.

Owſzem Dwudzieſty piąty.

PUHAROŁYKOWSKI

Dwudzieſty piąty?

SWIATŁECKI.

Patrz tedy WMPan, jak dawno WM Pan na świecie byłeś; i czy dziwna, że imienia nawet WMPana familii nie znamy?

PUHAROŁYKOWSKI.

Oto tak, Wielmożny Mości Panie Ligen-Dorfie, i WMPan drugi ktokolwiek jeſteś, mnie ſię zdaje pewnie, że ja teraz ſpałem, i byłem obudzony; ale ponieważ wſzyscy mówią, że jeſtem wſkrzeſzony, ja w to wreſzcie nie wchodzę; to przynaymniey pewna, że dziś i kilką godzinami pierwiey nim byłem czy obudzony, czy wſkrzeſzony, byłem pewnie żywy i zdrowy: miałem u ſiebie gościa, z nim jadłem obiad, wypiłem z dziesiątek butelek wina Węgierſkiego, i położyłem ſię ſpać...

HRABIA.

A! to teraz cała rzecz jasna, jaki

był rodzay WMPana śmierci. To WM Pan byłeś pewnie rażony apoplexyą, którą WMPanu ſprawił zbytek gorącego trunku. I WMPanu zdało ſię wtenczas, że WMPan zasnąłeś? tak?

Puharołykowski.

Oczewiście zdało ſię.

Hrabia.

To oczewiście apoplexya, bo apoplexya jeſt rodzay śmiertelney śpiączki; i tą chorobą rażeni ſpać zawſze zdają ſię, i chrapią.

Puharołykowski.

Cokolwiek bądź, ale to przynaymniey było dziś.

Hrabia.

Dziś? Cha! cha! cha! Miarkuy WM Pan, jeżeli za życia WMPana panował Paweł Pierwſzy, teraz zaś panuje Piotr Jedynaſty?

Swiatłecki.

I kiedy za życia WMPana był Papieżem Pius Szóſty, a teraz jeſt Dwudzieſty-piąty?

Hrabia.

I kiedy imienia nawet familii WM Pana nie znamy?

Pu-

Puharołykowski.

Ale kiedy ja to, co mówię, tak dobrze pamiętam, jak widzę WMPanów przed sobą.

Hrabia.

WMPanu tak się to zdaje; ponieważ nie chce znać Pan Bóg, żebyś WMPan pamiętał, co się po śmierci z WMPana duszą aż dotąd działo, zdaje się WMPanu, żeś umarł przed momentem.

Puharołykowski.

Ale mówcie sobie WMPanowie, co chcecie, ja jednak...

Swiatłecki.

Jak to? Czy jeszcze WMPan wierzyć nie chcesz?

Puharołykowski.

Ale moi Dobrodzieje! cale się temu nie trzeba dziwować, że ja wierzyć nie chcę. Nie o fraszki tu chodzi! Mnie się zdaje oczewiście, że przed kilką godzinami byłem Panem tego domu, i bardzo obszernych majątków; a teraz mam uwierzyć, że te wszystkie majątki należą do jakiegoś Pana Ligen-dorfa, i że mojey nawet familii ani pamięci nie pozosta-

ſtało, i że ja muſzę chodzić z torbą. Proſzę uważać czy takim rzeczom można chcieć łatwo wierzyć.

HRABIA.

Jak ja uważam, WMPan nie jeſteś kontent, że jeſteś wſkrzeſzony.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale o jakim WMPanowie mnie gadacie wſkrzeſzeniu? Kto mnie wſkrzesił? kiedy? gdzie? jak? jakim ſposobem?

HRABIA.

Czy jeſzcze WMPan o wſzyſtkim nie wieſz?

PUHAROŁYKOWSKI.

Gadali mnie tam ludzie, między któremi ſię ocknąłem (bo ja tak wierzę, że ſię ocknąłem) o jakimś pielgrzymie,.. o jakichś...

HRABIA.

Ja WMPanu całą rzecz dokładnie opowiem. Jako to już WMPanu mówiliśmy, ziemia na naſzym gruncie jeſt tego gatunku, że ciała w naydłużſze czasy nieſkażone zupełnie zachowuje. Ponieważ tedy to jeſt rzecz bardzo ciekawa i ſzczegulna, zchodzą ſię zewſząd ludzie ten cmentarz

oglą-

oglądać. Tą ciekawością przyciągniony przyszedł dziś jakiś pielgrzym; prawda, że z samych oczu i z całey postaci świątobliwość mu wyglądała. Kiedy opatrywał rozmaite ciała, mina WMPana bardzo się mu podobała. „Niechay wezmą tego brzuchala, były jego właściwe słowa, „bo człowiek jest wesołego humoru, i niechay jego zaniosą do pałacu, szkoda tego nieboraka, że tak długo „bez żadnego tu posiłku leży: mina „się mnie jego podoba, człowiek to „nie zda się być złośliwy, i nie był „tam gdzie Chrystusa przedawano;„ potym obróciwszy oczy na drugie ciało, które przy WMPanu leżało, „wziąć, „prawi, i to drugie jemu do kompanii, żeby nieboraczek nie tęsknił, „nim się z żyjącemi ludźmi nie pozna.„ Z wielką radością porywamy zaraz ciało WMPana z jego towarzyszem, przynosiemy do pałacu, i kładziemy w sali. Mąż Boży pada na kolana, modli się gorąco. Po chwili widziemy WMPana ruszającego się, a potym i WMPana towarzysza. Swięty człowiek skoro to postrzegł

ſtrzegł, unikając pochwał i aplauzów, jak mu pokora kazała, zaraz uciekł. I dla tego WMPan jego może nawet nie widziałeś?

PUHAROŁYKOWSKI.

Nie widziałem zapewnie.

HRABIA.

Otoż ta była przyczyna, że z pokory zaraz uciekł, ſkoro ſię WMPan ruſzać począłeś.

PUHAROŁYKOWSKI *rzyga głośno.*

Ach! ach! Przysięgam, że mi ſię jeſzcze odrzyga to wino, które nie dawno piłem!

HRABIA.

Tak jeſt, bo dla prędſzego ocucenia WMPana, kiedy znaki życia pokazywać zacząłeś, wleliśmy WMPanu do uſt trochę wina.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ach ja nieſzczęśliwy człowiek! A zda ſię, że już teraz byłem znalazł nie zbity argument na moję ſtronę!.. I ten w niwecz poſzedł.

HRABIA.

Ale otoż wreſzcie i WMPana towarzyſz. Teraz ſię WMPan o wſzyſtkim zupełnie przekonaſz.

SCENA

SCENA III.

Ci sami, i MUZALSKI.

HRABIA *do Puharołykowskiego.*

Znasz WMPan tego Kawalera?

PUHAROŁYKOWSKI.

Ten Jegomość jest razem ze mną wskrzeszony?

HRABIA.

Tak jest.

MUZALSKI.

Nie poznajesz mnie WMPan, z którym tak długo przebywaliśmy w dolinie Szekol?

PUHAROŁYKOWSKI.

W dolinie....

MUZALSKI.

W dolinie Szekol, gdzie nasze dusze zatrzymane zostawały aż do naszego wskrzeszenia.

PUHAROŁYKOWSKI

Po momencie zdumienia.

Prawdziwie głowa mi się kręci.

MUZALSKI.

WMPan nie przypominasz towarzysza swego, z którym tak często pijałeś kwaśne piwko w traktyerze Bogacza Ewangelicznego? (*Puharołykowski*

ski milczy mając wlepione oczy w Muzalskiego)....W owym cyprysowym gaiku, gdzie jeſt bagno nazwane Sodomy i Gomory?...Nie pamiętaſz WMPan, kiedy na tego brzegach zabiłem gryfa, który leciał przeciwko WMPanu na czterech ſkrzydłach?.. tam, bliſko drzewa Nabuchodonozorowego?..

HRABIA *do Muzalskiego.*

Nie dziwuy ſię WMPan, Jegomość nic nie pamięta. Jegomości ſię zdaje, że dziś przed kilką godzinami umarł.

MUZALSKI.

Czy podobno?

SWIATŁECKI.

Rozmaite są gatunki duſz: jedne pamiętają powróciwſzy do ciał, co ſię z niemi działo po śmierci, drugie nie pamiętają.

MUZALSKI.

Nie wiem, czy Jegomość przynaymniey okoliczności śmierci ſwojey pamięta; bo razem umarliśmy.

SWIATŁECKI.

Razem? Czy podobna?

HRA-

Hrabia.

Opowiedź nam te WMPan zmiłuy ſię; bo WMPana towarzyſz mało i te pamięta; mówi tylko o obiedzie, o winie, o gościach.

Muzalski.

Więc pamięta. Tak było w rzeczy ſamey. Byłem u tego Iegomości w gościnie, w tym ſamym domu, jeśli ſię nie mylę. Jedliśmy obiad ſmaczno, piliśmy też nie źle. Nie wiem czy w potrawach czy w winie musiała być trucizna. Nagle mego gospodarza z krzeſła walącego ſię uyrzałem; gdy ſię porywam ku jego ratunkowi, ſam ſię czuję nie dobrze, ćmi ſię mi coraz w oczach: jak upadłem, i ducha oddałem, już tego niepamiętam. Już więcey nie obaczyłem ſię z moim towarzyſzem aż na dolinie Szekol.

Swiatłecki *do Puharołykowskiego.*

Jakże? i zgoła WMPan tego człeka nie poznajeſz, który nie tylko żył tak długo z WMPanem na dolinie Szekol, ale i razem z WMPanem umarł, i razem jadł z WMPanem oſtatni obiad?

Pu-

PUHAROŁYKOWSKI.

Co śię tycze obiadu, to pamiętam dostatecznie. To prawda, obiad Jegomość ostatni jadł ze mną, czy on był dziś, czy dawniey; bo nie wiem już jak mówić: ale o dolinie, o traktyerze, o gryfach, o Sodomie, to niech mnie paraliż weźmie, kiedy wiem cokolwiek. To pamiętam, że obiad z tym Jegomością ostatni jadłem, i mnie śię zdaje, że to było dziś, i że ten Jegomość nazywa śię Muzalski.

SWIATŁECKI.

Muzalski?

PUHAROŁYKOWSKI.

Muzalski.

HRABIA.

Muzalski?

PUHAROŁYKOWSKI.

Tak jest.

SWIATŁECKI *do Muzalskiego.*

Czy nie Jan imię?

MUZALSKI.

Tak jest, jestem Jan Muzalski.

HRABIA.

Co słyszę?

SWIA-

Swiatłecki.

Jakie zdarzenie!

Hrabia.

Ow tak ſławny Poeta!

Swiatłecki.

Ow nieśmiertelny dowcip!

Muzalski.

WMPanowie mnie przymuſzacie prawie, żebym ſię drugi raz ze wſtydu do grobu ſchował. Mojeż imię do tych czas jeſt światu znajome?

Swiatłecki.

Owſzem ſię coraz bardziey rozświeca.

Hrabia.

A czyjeż imię ma być znajomſze? Imiona wſzelkiego rodzaju z czasem giną. Imiona ludzi bogatych i rodowitych ryte na kruſzcach i marmurach, giną z kruſzcami i marmurami. Materye te są długo-trwałe, ale nie wieczne; materyą prawdziwie wieczną, wiecznie zachowującą imiona, są ſame księgi i pisma; i ten wątły i błahy papier trwalſzy jeſt nad marmury i dyamenta.

Puharołykowski *na ſtronie.*

Tam do kata! do czego to ten Muzalſki przyſzedł!

Swia-

SWIATŁECKI.

Okrom ſzacunku potomności, nie ma żadnego inſzego śrzodka, którymby imiona ludzkie wiekowały. Na ten zaś nie zaſługują jedno cnota lub dowcip.

PUHAROŁYKOWSKI *na ſtronie.*

Kiedy to wſzyſtko prawda, to ja na móy wſtyd dziś wſkrzeſzony jeſtem. Wie świat jeſzcze, kto to był Jan Muzalſki, a nie wie, czy była jaka kiedy familia Puharołykowſkich na świecie!

HRABIA *do Muzalskiego.*

Wielki Mężu! to zadumienie, w którym zoſtajeſz...

MUZALSKI.

Temu zadumieniu WMć Panowie chcieycie darować. Mnie pojąć trudno i wierzyć, jako ja tak chudy niegdyś pachołek...

SWIATŁECKI.

Ach zapomniy na to, proſzę, kim byłeś, a uważ kim jeſteś. Teraz więcey jeſteś niż Królem, niż naywiękſzym Monarchą. Wielu pomarło Królów od twoich czasów, o których świat żadney ciekawości nie ma, i któ-

których imion zapomniał. Zadnego zaś człowieka nie ma, któryby nie pałał ciekawością twarz twoję i osobę widzieć, i całować te ręce, które są źrzódłem światła, pożytku, i ukontentowania dla tylu wieków.

HRABIA.

Na kogokolwiek ſpadł choć naydrobnieyſzy promyk jakiegokolwiek światła, wie o twoim imieniu, i widok twóy w zachwycenie go wprawić musi.

MUZALSKI.

Prawda, że być teraz widokiem ludzi uſtawicznie muſzę, bo nie wyniosłſzy nic z ſobą z grobu okrom tey jedney ſukni, którą mnie zachowuje ſzczęśliwa natura ziemi, i nic okrom tey nie mając na świecie, nie inaczey to drugie życie, które zaczynam prowadzić mogę, jedno o żebranym chlebie.

SWIATŁECKI.

Co mówiſz nieopłacony Mężu! oto ja ſam za naywiękſze ſobie ſzczęście poczytam, dzielić ſię z tobą moim majątkiem Oto ten pałać ze wſzyſtkie-

ſtkiemi do niego należącemi dobrami, które znaczne są, twoim jeſt. Ja mam inſze majętności, które dla mnie wyſtarczą. Chciey proſzę przyjąć odemnie ten choć ſzczupły dar. Ten pałac i te dobra już tego momentu twoje są.

PUHAROŁYKOWSKI *na ſtronie.*

Wey! Muzalſki więc w moich dobrach Panem, a mnie u niego choć za lokaja przyſtać!

MUZALSKI *do Swiatłeckiego.*

Móy Panie! nie dziwuy ſię, że taka wspaniałość i hoyność niemym mnie na moment czyni, i nie daje znaleść ſłów doſtatecznych....

PUHAROŁYKOWSKI.

Mości Panie Hrabio Ligen-dorfie! Wſzak nie wieſz WMPan, co mnie na pamięć przyſzło! Zaczynam przychodzić coraz bardziey do pamięci. Przypominam ſobie, że i ja byłem Poetą.

SWIATŁECKI.

Czy podobna?

PUHAROŁYKOWSKI.

Tak, a nie inaczey. Nie pamiętaſz, Panie Muzalſki, jak my wierſze robiliśmy

liśmy w tamtym Cyprysowym gaiku, o którym WMPan mówiłeś?

Muzalski.

Co tego to prawdziwie nie pamiętam.

Puharołykowski.

Ale przypomniy tylko WMPan?.. Przy tamtym pagórku.. w tamtey jaſkini.. około tamtego źrzódła.

Muzalski.

Czy nie około pagórka, co to nazywa ſię pagórek *Idyotow?*

Puharołykowski.

Tak, tak, tak.

Muzalski.

Czy nie w jaſkini, co to nazywa ſię: *Nec legere nec ſcribere.*

Puharołykowski.

Ale, ale, ale.

Muzalski.

Czy nie około źrzódła co ſię nazywa: *Fons ſtultitiæ?*

Puharołykowski

Tak właśnie, tak; tak ſię nazywa.

Muzalski.

Coś przypominam jak przez ſen... Czy nie WMPan to napisałeś ów nadgrobek, który ſtał nad owym właśnie

śnie źrzódłem na grobie jakiegoś tłuſtego wielkiego Pana?

PUHAROŁYKOWSKI.

Ja, ja, ja ten nadgrobek napisałem.

MUZALSKI.

Zeby cały przypomnieć!.. bardzo jeſt piękny nadgrobek... Oto taki:

Tu leży brzuch ozdobny blaſkiem gwiazdy świetney,
Daremny ciężar ziemi, drożdże krwi ſzlachetney,
Wielki wór na pieniądze, i fasa ku piciu,
Niechay mu światłość świeci, którey nie miał w życiu.
Ktoby chciał wiedzieć, czym ſię za żywota wſławiał:
Jadł, pił, ſpał, tłuściał, o ſwey wielkości rozmawiał.
Nie zgoła do niczego jednak świat go użył,
Bo ludziom oświeconym za rozrywkę ſłużył.
Smiało takim nadgrobkiem jego ſławię duſzę,
I wiem, że go na ſiebie za to nie obruſzę;
Bo chociaż w dzień oſtatni wſtanie ſłońce witać,
Nie rozgniewa ſię na mnie, bo nie umie czytać.

Co ſię WMPanom o tym nadgrobku zdaje?

SWIATŁECKI.

Przedziwny!

HRABIA.

Bardzo piękny!

MUZALSKI.

Otoż Jegomość jeſt jego Autorem.

HRABIA.

Jegomość?

MUZALSKI.

Tak jeſt. *Do Puharołykowskiego.* Wſzak WMPan?

Pu-

PUHAROŁYKOWSKI.

Tak jeſt, ja.

MUZALSKI.

Co do mnie, ja ceny temu nadgrobkowi należytey znaleść nie mogę. Owa summa, którą wziął Sennazaryusz za napis do Wenecyi, i owa, którą wziął Wirgiliusz za szóſtą Kſięgę swojey Eneidy, fraszką jeſt za ten nadgrobek. Mospanie Puharołykowſki, jeżeli ci godni Panowie tak szacują we mnie talent Poetycki (chociaz bardzo szczupły) jako WM Pan widzisz, jakiby dla mnie był wſtyd, gdybym sam będąc Poetą, umiał mniey szacować tak szczegulne w tey sztuce talenta, jakie WM Pan w tym nadgrobku okazałeś. Oto więc ten pałac i te dobra, które mam z świeżey łaſki tego mego Dobroczyńcy, WMPanu uſtępuję za ów nadgrobek, zwłaszcza że te dobra niegdyś do WMPana familii należały. Używay więc WMPan ſzczęśliwie tego owocu ſwoich talentow, który WMPanu przynosi i tyle pożytku i tyle ſławy. Póki świat światem, nigdy ta naychwalebnieysza dla

WMPana osobliwość z pamięci ludzkiey nie ustąpi, że te tak piękne dobra są nadgrodą za dwanaście wierszy. Zostań więc WMPan zdrów, i żyy dłużey niż w pierwszym życiu, na ozdobę i pociechę oświeconego świata, i zaszczyt Rzeczy-pospolitey Literackiey.

Swiatłecki.

Byway zdrów zaszczycie doliny Szekol i traktyeru Bogacza Ewangelicznego!

Hrabia.

Byway zdrów delicye cyprysowego gaiku, i ozdobo bagnow Sodomy i Gomorry! *Odchodzą. Puharołykowski w zadumieniu zostaje.*

SCENA IV.

Puharołykowski.

Co mam myślić, i co mam rozumieć, nie wiem. Jednak ja nie znam ani tey doliny, ani tego traktyeru, ani Sodomy i Gomorry, ani tamtego pagórka, ani tamtego zrzódła, ani żadnych wierszów nigdy nie robiłem, ani żadnych nadgrobków. Owszem

ten

ten nadgrobek taki właśnie być zda ſię, jakby przeciwko mnie samemu był zrobiony. „ Brzuch wielki „ nie „ umie czytać „ to właśnie jakby do mnie. Jednak ja sam do tego nadgrobku przyznałem się, jakbym jego pisał, bo cóż miałem robić? wlazłem w ciasny kąt, trzeba było przyznać się do wierszów, żeby z torbą nie chodzić. Cokolwiek bądź, dobrze że jeſtem znowu Panem w moim domu. Ale jednak byłaby rzecz piękna, żeby cała ta dzisieysza awantura była filuteryą, i ten Pan Ligendorf z swęmi towarzyszami był to filut, który ze mnie sobie dziś tak piękną rozrywkę zrobił. A jednak kiedy przychodzę do reflexyi, i zaczynam spokoynie rzeczy rozbierać, to boję ſię coraz bardziey, żeby nie tak było. Wszakże z drugiey ſtrony mnie . . pośrzód mojego domu . . Jaśnie Wielmożnemu Puharołykowſkiemu . . ktoby takiego figla mógł wyrządzić? i jakby ſię to jemu udało? Ale to naygorzey, że żadney żywey duszy około nie ſłychać. . . *ſłyſzy ſzeleſt przychodzących lokajów:* Cyt! przecież ſły

szę, że tu ktoś nadchodzi ...Ja mówiłem, że wszystko filuterya! Otoż nadchodzą moi lokaje: Andrzey, Maciey, i Marcin. Czy i oni razem zemną z martwych wskrzeszeni?

SCENA V.

PUHAROŁYKOWSKI, ANDRZEY, MACIEY, MARCIN, *przetrzeźwieni trochę, ale cali senni, przecierający oczy.*

PUHAROŁYKOWSKI.

Czy i wy przychodzicie z gaiku Cyprysowego?

ANDRZEY.

Mospanie!

MACIEY.

Co Pan każe?

MARCIN.

przecierając sobie oczy idzie prosto na Puharołykowskiego, i mało go nie wywraca.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ty! lunatyku ty!...Gdzie wy byliście hultaje?

ANDRZEY *do Macieja.*

Dalibóg ja nie wiem, gdzie my byliśmy! Odpowiaday ty.

MA-

Maciey.

Jeſtem oſtatni! że i ja nie pamiętam. Marcinie, gdzie my byliśmy?

Marcin.

A paraliż was wie!

Puharołykowski.

Co wy tam burczycie między sobą? Pytam ſię was, gdzie wy byliście?

Andrzey.

Mospanie, zda ſię, że na jakimś polu, które było okryte gęſtą mgłą, i które...

Puharołykowski *na ſtronie.*

Ho! ho! czy doprawdy i oni byli na tamtey dolinie, gdzie dusze w zatrzymaniu zoſtają? Słuchay! czy nie było na tym polu jakiego traktyeru?

Andrzey.

Och! co ten to musiał być; bo pamiętam, że byłem utraktowany bardzo dobrze.

Puharołykowski

W tym traktyerze czy nie było piwo kwaśne?

Andrzey.

Co tego to niepamiętam; owszem zda mi ſię, że było wino dobre Węgierſkie.

Pu-

PUHAROŁYKOWSKI.

Około tego traktyeru czy nie latały gryfy?

ANDRZEY.

I tego nie pamiętam.

PUHAROŁYKOWSKI.

A ty Macieju co mówisz? gdzie byłeś?

MACIEY.

Ja tam Mospanie byłem, gdzie Andrzey.

PUHAROŁYKOWSKI *na ſtronie.*

Hiſtorya! *do Macieja:* I ty byłeś na jakimś polu mgliſtym? tak? gdzie ſtoi traktyer?

MACIEY.

Marcina WMPan pytay ſię, on o wſzyſtkim lepiey wiedzieć musi.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ty więc mów mnie, Marcinie, gdzie wy byliście?

MARCIN.

Ja to tylko wiem, Mospanie, że tam byłem, gdzie był Maciey.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale gdzie był Maciey?

MARCIN.

Tam gdzie Andrzey.

PU-

PUHAROŁYKOWSKI.

Więc gdzie był Andrzey?

MARCIN.

Wszakże dopioro WMPanu mówił.

PUHAROŁYKOWSKI.

Gdzie? na polu jakimś mglistym? tak?

MARCIN.

On tak mówi.

PUHAROŁYKOWSKI

Ale ty jak mówisz?

MARCIN.

Ja tak mówię, jak Pan każe.

PUHAROŁYKOWSKI.

Jak Pan każe! Ja każę, żebyś tak mówił, jak było.

MARCIN.

Ja też tak mówię, jak było.

PUHAROŁYKOWSKI.

Jakże więc było?

MARCIN.

Ale co Pan do mnie jednego przywiązał się? day Pan mnie odpocząć, mnie już tchu nie staje odpowiadać. Pytay się Pan drugich; a ja tym czasem odetchnę.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale czy nie ostatnie utrapienie z

temi

temi ludźmi!.. Słuchay Andrzeju!.. kiedy ty mnie wraz dokładnie wszystkiego nie powiesz...

ANDRZEY

Ale przysięgam, że Panu wszystko powiedziałem, co mogłem.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ze byłeś na polu mglistym? tak?

ANDRZEY

Tak mnie zdaje się.

PUHAROŁYKOWSKI.

Zdaje się!.. Mów więc; czy to było na jawie, czy we śnie?

ANDRZEY.

Dalibóg niewiem!

PUHAROŁYKOWSKI *na stronie.*

Czy nie ostatnie awantury!.. Wszak to jeszcze dotychczas zupełnie nie wiem, czy żyję za czasow Pawła Pierwszego, czy Piotra Jedynastego! Słuchaycie hultaje! Wraz mnie idźcie wszyscy, i szukaycie jakiego człowieka czwartego, i kogo-kolwiek pierwszego znaydziecie, zaraz mnie tu jego przyprowadźcie.

SCE-

SCENA VI.

PUHAROŁYKOWSKI.

Ale czego jeszcze wątpię?.. Oni wszyscy trzey hultaje musieli się dziś tak upić, jak ja; i dziw, że prawią mnie sny, i nie pamiętają, gdzie byli?.. To darmo, wszystko filuterya! .. Ale co to widzę?.. *przypatruje się za scenę.* Tak jest, już więc żadnego wątpienia nie pozostaje, że żyję za czasów Pawła Pierwszego. Oto powraca móy Marszałek, oto i móy Koniuszy. Już oni nie powracają zapewnie z żadney doliny umarłych. Wczoray ich posłałem, dziś powracają. Rzecz więc cała zupełnie odkryta, i nie szpetnie zostałem oszukany. Idę i wraz rozsyłam na wszystkie strony, żeby się rospytywano o imieniu Ligen-dorfa. Ja Jegomości zażyję! Że mnie tak żartować? posyłać mnie na kwaśne piwo do Sodomy i Gomorry? Odbierać mnie moje dobra w moim domu? Gładzić do szczętu pamiątkę mego imienia, i całey moiey familii? Oddawać moje majątki Poetom? i mnie samego przy-

muszać

muszać, żebym zoſtawał Poetą? Robić mnie żyjącemu nadgrobki? i przymuszać, żebym ſię przyznawał, że sam przeciwko sobie wiersze robiłem? „ Brzuch ozdobny blaſkiem gwiazdy „ świetney? „ Drożdże krwi szla-„ chetney? „ Fasa ku piciu? „ Nie-„ chay mu światłość świeci, którey „ nie miał w życiu? „ Kiedy wſtanie „ ſłońce witać, nie rozgniewa ſię „ na mnie, bo nie umie czytać? „ Oy rozgniewa ſię i bardzo! Kiedy takie zgorszenia bez kary iść będą, to kray nasz długo nie poſtoi, i nie doczeka ſię Jedynaſtego Piotra! Ale szkoda czasu na ſłowach trawić. Spieszę dowiadywać ſię o tym Panu Ligen-dorfie; ponieważ jeſt Hrabią, jako mówił, imię Ligen-dorfow musi być ſławne, i nie utai ſię.

K O N I E C.